

JAN GODLEWSKI

OBIEŃNICA



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

JAN GODLEWSKI




OFICYNKA
WYDAWNICTWO


Copyright © Oficynka & Jan Godlewski, Gdańsk 2022

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2022

Opracowanie redakcyjne: zespół

Korekta: Anna Marzec

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce: © Ivan Siarbolin/pexels

© Aleksandar Pasaric/pexels

ISBN 978-83-67204-65-1



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

Opracowanie ebooka

Katarzyna Rek

*Luriego znów przebiega znajome uczucie: apatia, zubożnienie,
ale zarazem nieważkość, jakby coś go wyżarło od środka
i została tylko zwietrzała łupina serca. Jakim cudem,
myśli, człowiek w takim stanie ducha ma znaleźć słowa
i muzykę, które wskrzeszą umarłych?*

J. M. Coetzee, *Hańba*
(przeł. M. Kłobukowski)

ROZDZIAŁ 1

Za oknem przejechał tramwaj, doniczki na balkonie zadzwoniły jedna o drugą, w parku po drugiej stronie ulicy zaszczekał pies, a potem ulica ucichła. Wahadło zegara na pustej, białej ścianie tykało uporczywie, jakby czas poczuł się ignorowany i domagał naszej uwagi. Chłopiec stał przy krześle. Plecy miał wyprostowane, a chude ręce trzymał opuszczone wzdłuż tułowia. Poprosiłem, żeby usiadł obok mnie. Jego włosy pachniały czymś słodkim. Przekrzywiłem lekko szyję, żeby powąchać swój kołnierzyk, a potem, udając, że kicham, zanurzyłem nos w miejscu, gdzie moja marynarka zaginała się w łokciu. Poczulem kurz. Ulicą znowu przejechał tramwaj. Chłopiec oparł głowę na pięści i westchnął.

– Na co masz dziś ochotę? – zapytałem.

– Nie wiem – odparł i wcisnął policzek mocniej w nadgarstek.

– Jeśli nie wiesz, to sam ci wybiorę zadanie. Zgoda?

Chłopiec odgarnął z czoła rdzawozłoty lok i wzruszył ramionami.

– Jeszcze nigdy nie widziałem cię aż tak obojętnego – powiedziałem. – Stało się coś?

– Nic się nie stało – odparł.

Kiedy to mówił, jego twarz wydłużyła się i zmatowiała jak u dorosłego mężczyzny. Jego głos również zabrzmiał dorośle wraz z całym smutkiem, jaki słowo „dorosłość” w sobie nosi.

– Chodzi o twoich rodziców? – spróbowałem jeszcze raz ale już bez nadziei, że dowiem się, co go gryzie. Krzyś, bo tak brzmiało imię chłopca, lubił mnie. W zasadzie nawet nie wiem dlaczego. Nie byłem wobec niego ani zanadto poufały, ani specjalnie pobłażliwy. Mimo to jednak darzył mnie sympatią i bywało, że zwierzał mi się ze swoich ponurych przemyśleń na temat matki i ojca. Z jego zdawkowych wyznań i z własnych obserwacji stworzyłem sobie w głowie obraz rodziców Krzysia. Musiała to być dosyć roztargniona para, mocno skupiona na karierze zawodowej, a syn wskoczył do ich napiętego grafiku jak niechciana karta w talii. Tego dnia Krzyś pozostawał niezmiennie milczący i zamyślony, a ja postanowiłem nie ciągnąć go za język w nadziei, że sam mi się zwierzy, kiedy będzie miał na to ochotę.

– Przykro mi, że nie masz dziś nastroju – powiedziałem. – Ale twoi rodzice nie płacą mi za siedzenie z tobą w ciszy. Myślę, że już zaczniemy, co?

Przysunąłem do siebie granatowy brulion w kratę i zacząłem wertować strony.

– Pamiętasz, jaki czas przerabialiśmy jako pierwszy?

– Present simple.

– Kiedy stosujemy present simple?

– Kiedy opisujemy znane prawdy.

– Podasz przykład?

– What goes around comes around.

– And when else?

– When we talk about features of people and items.

– For example?

– Your hair is grey.

– Dobrze. A co było później?

– Później był present continuous.

– Właśnie tak. Present continuous. Więc następny będzie...?

– Następny będzie present perfect.

– Zgadza się. Weź zeszyt, długopis i pisz: czas present perfect nie posiada odpowiednika w języku polskim. – Obsadka długopisu zaczęła cicho skrobać o papier. – Jego zadaniem jest łączenie przeszłości z teraźniejszością. Używamy go na przykład wtedy, kiedy czynność wykonana w przeszłości ma swoje skutki w teraźniejszości...

– Panie Janie? – Krzys odłożył długopis i schował twarz w dłoniach. Widziałem, że jest mu trudno skupić się na czymś innym, niż na swoich przygnębiających myślach. – Chyba nie dam rady dzisiaj nauczyć się niczego nowego. Jestem rozkojarzony. Bardzo pana przepraszam. Nie musimy przerywać lekcji, po prostu poróbmy coś innego. Mógłbym, na przykład, nie wiem... może poczytać na głos?

Korciło mnie, żeby wymóc na nim wyznanie powodu jego przygnębienia, ale nie zrobiłem tego. Wskazałem dłonią podręcznik z readingami, ale Krzys tylko na niego popatrzył i bezsilnie złożył ręce na kolanach.

– A czy może być coś nie po angielsku? Chciałbym zrobić sobie przerwę od angielskiego...

– Ale przecież to są korepetycje z angielskiego, chłopaku.

Popatrzyłem na jego umęczoną twarz i uznałem, że dam już mu spokój. Pod przymusem nie można się niczego nauczyć.

– Czyli chcesz po prostu coś poczytać? I to nie po angielsku? – upewniłem się.

Kiwnął głową, a ja położyłem sobie torbę na kolanach i zacząłem przeglądać brzegi okładek.

– Obawiam się, że wszystkie są po angielsku. Gdybym wiedział wcześniej, że...

– A pańska książka? – przerwał mi nieśmiało.

Cisza. Tykanie zegara.

– Moja książka?

– Ta, którą pan zawsze ma ze sobą.

Spojrzałem w dół. Z kieszeni mojej marynarki pomiędzy piersią a pachą wystawał skrawek cienkiej książeczki.

– Naprawdę zawsze ją mam? – zapytałem głupio, jakbym nie wiedział, że tak jest.

– Chyba tak. Widziałem ją u pana już kilka razy.

Bystry szczeniak. Codziennie nosiłem ze sobą tę książeczkę. Przed każdym praniem przekładałem ją do kieszeni marynarki, którą zamierzałem nosić jako następną. Po kilka razy na dzień sprawdzałem, czy nadal ją mam, macając wyświechtaną, śliską okładkę w kolejce w piekarni, w tramwaju albo spacerując nad rzeką. Było to *Życie snem* Pedro Calderona de la Barki. Stary, sfatygowany egzemplarz, który dostałem od mojego brata; ostatniej osoby z rodziny, z którą miałem jeszcze kontakt. Inni bliscy albo już dawno umarli, albo wyjechali gdzieś daleko i zapomnieli o mnie. Od wielu lat nosiłem *Życie snem* pod prawą pachą każdego dnia, bez wyjątków. Swego czasu czytywałem ją tak namiętnie, że w końcu nauczyłem się jej na pamięć. Całkowicie niecelowo, tak się po prostu stało. Kiedy znałem już całą treść słowo po słowie, przestałem do niej zaglądać i towarzyszyła mi już tylko jako swojego rodzaju talizman. Teraz gdy miało przeczytać go, nieobce mi przecież, dziecko, poczułem się nieswojo. Jakbym miał odsłonić przed nim swój mroczny sekret. Daj spokój, powiedziałem do siebie. Niech dzieciak czyta. Dla ciebie jest już po wszystkim i nic, co jest tam napisane, nie może cię zranić. Kiwnąwszy głową, przytaknąłem sobie samemu, wyjąłem z kieszeni książeczkę i położyłem na stole.

– Czytaj chociaż na głos – powiedziałem. – Udawajmy, że to dalej lekcja.

Krzys zaczął czytać, a ja słuchałem, ale nie rozbrzmiewających w nieruchomym powietrzu słów, ale dynamiki, barwy i tempa głosu Krzysia, jakbym słuchał grającego w pokoju instrumentu.

Wszystkie te słowa od dawna były już we mnie i nie miałem potrzeby do nich wracać. Po kilku minutach poczułem chęć na papierosa. Zdjąłem okulary i przetarłem ręką zmęczone oczy.

– Wyjdę zapalić – oznajmiłem.

Wstałem i ruszyłem w stronę balkonu. W połowie pokoju zatrzymałem się obok zegara. Chłopiec czytał, a ja policzyłem szybko, że coś ważnego wydarzy się za czterdzieści siedem minut. Czas w końcu osiągnął swój cel: został zauważony i wzięty pod uwagę. Na chwilę, zanim znów miałem o nim zapomnieć, nadałem mu wartość. O tym, co miało się stać, wiedziałem już dziś rano, ale także i wczoraj, przedwczoraj, a nawet całe tygodnie i miesiące temu. Ale wtedy było jeszcze tak daleko do dzisiaj, do teraz, że nie martwiłem się o nic, co dotyczyło przyszłości. Teraz również się nie martwiłem. Przecież nic złego się nie wydarzy. Wyszedłem na ciemny balkon i zapaliłem. Ulica Marii Skłodowskiej była szara i pusta. Powoli zaczynała się noc. Przez szparę w drzwiach słyszałem, jak Krzyś czyta:

*Rodzi się zwierzę wśród nory,
A oto, ledwie natury
Ręka w cudowne mu wzory
Szerść jędrnej łoży skóry:
Rwie się w krwiożerczej dzikości
Niszczyć, co słabsze i mniejsze:
Ja czucia mam szlachetniejsze,
Czemuż to mniej mam wolności?*

Wypuściłem dym nosem i strąciłem popiół z żarzącego się papierosa.

*Ryba się rodzi, fal dziecię, Zwierzę, Morze
Podwodnych głębin stworzenie,
A oto, ledwie przestrzenie
Wiosłami płetew poczuje,
W oceanu buja świecie,
Piersią nieskończoność pruje.
Taka szczęśliwa w światłości
Morza, choć zimna i głucha:
Lecz ja, co więcej mam ducha,
Czemuż to mniej mam wolności?¹*

Zachęczone brakiem słońca komary powyłaziły ze swoich kryjówek i zaczęły krążyć w poszukiwaniu krwi. Jeden zabzyczał tuż przy moim uchu. Trzepnąłem się w głowę, ale go nie trafiłem. Popatrzyłem na stojący po drugiej stronie ulicy szpital uniwersytecki, w którym szybko i trafnie zdiagnozowano moją bezsenność i skurcze mięśni jako objawy nerwicy i dobrano mi skuteczne leki.

*[...] Głos twój w mą duszę przecieka
Dziwnymi serca dreszczami
Drzę pod twoimi oczami.
Kto jesteś? Skąd twoja siła
Nad tym, któremu kolebą
Czarna ta była mogiła,
Któremu za świat i niebo
Starczy to dzikie pustkowie,*

*Trupowi, co żyć zmuszony,
Żywemu, co życia zbawiony.
O potępionej mej głowie
Jeden wie człowiek, jedyny,
Strzegąc mnie — ludzkiej zwierzyny...*²

Ponownie wymierzyłem sobie policzek. Tym razem na rozpostartych palcach zostało zmiażdżone ciało komara, które poruszało jeszcze skrzydełkiem w rozartej smudze mojej i jego krwi. Wyrzuciłem papierosa przez barierkę, wszedłem do pokoju i zamknąłem za sobą drzwi. Do czegoś ważnego zostało trzydzieści pięć minut. Podszedłem do Krzysia i położyłem mu rękę na ramieniu.

– Możemy kończyć – powiedziałem.

Chłopiec zsunął się z krzesła, przemieścił na kanapę, przeciągnął się i ziewnął. Schowałem książeczkę do kieszeni, a podręczniki i brulion do teczki.

– Kiedy wrócą twoi rodzice? – zapytałem.

– Nie wiem. Późno. Może dopiero rano.

– Czy... – zawahałem się przez moment – ...czy będzie ci przeszkadzać, jeśli jeszcze chwilę tu posiedzę?

– Nie. Niech pan siedzi. Tylko proszę zgasić światło.

Zrobiłem tak jak prosił. Wróciłem na krzesło, położyłem sobie teczkę na kolanach i słuchałem tykania zegara. Na dole zapaliły się latarnie i w jasnym prostokącie odbitym w szybie mogłem widzieć jego tarczę. O dwudziestą cztery Krzys zaczął cicho pochrapywać. Oparłem policzek na pięści, tak jak on wcześniej, i obserwowałem plamkę światła na złocistym talerzu wahadła. Pomyślałem, że wcale nie chce mi się spać i kiedy nadejdzie wyczekiwana godzina, pójdę jeszcze na spacer. Może odwiedzę jakiś miły lokal i wypiję w nim jedno zimne piwo. Noc będzie dziś bardzo ciepła. Tak myśląc, doczekałem do dwudziestą dwadzieścia dwie. Wstałem i podszedłem do drzwi prowadzących na korytarz. Po drodze zmieniłem kierunek, wróciłem do kanapy, zdjąłem z oparcia narzutę i przykryłem chłopca.

– Dlaczego zamknęli go w wieży? – wymamrotał przez sen.

Pogłaskałem go po głowie i wyszedłem, zamykając mieszkanie na klucz, który jego rodzice dali mi w geście zaufania. Na ulicy zastał mnie wilgotny zapach pobliskiej rzeki, gęsta woń rozgrzanego asfaltu i delikatna słodycz lipy ze Skweru Sandlerowej. Spojrzałem na telefon. Była dwudziesta dwadzieścia sześć, dwudziestego drugiego lipca dwa tysiące dwudziestego roku. Dokładnie sześćdziesiąt pięć lat temu zaczęło się moje życie. To właśnie to wielkie wydarzenie, do którego odliczałem minuty. Przeżyć sześćdziesiąt pięć lat to niezły wynik. Tak sędzę.

¹ P. Calderon de la Barca, *Życie snem*, tłum. J. Szujski, wyd. Księgarnia Wilhelma Zukerkandla, Lwów-Złoczów 1924, s. 5–6.

² Tamże, s. 7.

ROZDZIAŁ 2

W środowe lipcowe noce Wrocław poza rynkiem nie jest zbyt ruchliwy. Do Placu Grunwaldzkiego doszedłem, nie spotykając ani jednego człowieka. W przejściu podziemnym na rondzie minąłem dwóch chłopców i dziewczynę. Byli ubrani na czarno, uśmiechali się do siebie i słuchali muzyki z telefonu. Chłopcy przykucnęli na schodach, paląc papierosy, a dziewczyna podrygiwała, tupiąc w miejscu, i powtarzała: „Chyba mi nie wjeżdża. Wam już wjeżdża?”. Pod przeszkloną fasadą Pasażu Grunwaldzkiego zaczepił mnie bezdomny. Miał długie wąsy i brodę, z daleka mógłby uchodzić za starca, ale w rzeczywistości nie miał więcej niż dwadzieścia pięć, góra trzydzieści lat. Z lewego ucha zwisała mu maseczka pokryta brudną, lepką cieczą. Zapytał mnie, czy jestem za koronawirusem czy przeciwko. Odparłem, że pragnę remisu i kibicuję wirusowi tak samo, jak ludziom. Dodałem, że moje zdanie i tak nie ma tu większego znaczenia. On powiedział, że jego zdaniem wirus powinien wymordować wszystkich bogatych. Dałem mu trochę drobnych, które wygrzebałem z kieszeni wraz z grudką tytoniu i papierkiem po cukierku. Odchodząc, obejrzałem się jeszcze i zobaczyłem, jak liczy pieniądze przy świetle szyby wystawowej, a łysy manekin w srebrzystej sukience patrzy mu na dłonie. Zaplanowałem, że dojdę do rynku, przechodząc przez Ostrów Tumski, jako że lubiłem patrzeć, jak reflektory oświetlają w nocy stare mury. Wybrałem najszybszą drogę, przez ulicę Szczytnicką, wąski lejek z kocimi łbami i torowiskiem pośrodku, ciągnący się wzdłuż poniemieckich kamienic, które byłyby piękne, gdyby ktoś je wreszcie odrestaurował. Idąc, popadłem w głębokie, zupełnie niekonkretne i niejasne zamyślenie, z którego wyrwało mnie dopiero dziwnie szuranie niosące się echem po murach. To jakiś staruszek powłóczył nogami. Biednymi, starymi nogami, które już dawno się wysłużyły i zasługiwały na odpoczynek. Jedna stąpała ciszej, kładąc na chodniku najpierw piętę, a potem palce, a druga ślamazarnie próbowała za nią nadążyć, trąc po podłożu całą powierzchnią podeszwy. Rozczulił mnie ten starczy chód. Dokąd tak łazisz po nocy, dziadku? Rozejrzałem się i zrozumiałem, że na ulicy nie ma nikogo innego i sprawcą tego żalostnego szurania jestem ja sam. To ja byłem tym dziadkiem, którego przed chwilą w przyływie dobroci serca chciałem wziąć pod rękę i pomóc mu doczłapać dokądkolwiek zmierzał. Zmobilizowałem prawą nogę do większego wysiłku. Wsłuchując się w rytm kroków, szedłem, z trudem korygując stąpanie, aż do osiągnięcia zamierzonego efektu równych, silnych tupnięć. To nic złego, pomyślałem, tak przez chwilę podroczyć się z czasem. Pokazać, że to nie on, lecz ja ustalam tu zasady i jeśli zechcę maszerować energicznie jak dwudziestolatek, to przecież mogę.

Ostrów Tumski z urokliwie oświetlonymi kościołami, uliczkami, drzewami i fontanną nie wywarł na mnie oczekiwanego wrażenia. Przemknąłem przez wyspę zatopioną w myślach, parę razy tylko zawieszając wzrok na jakimś wyjątkowo ładnym detalu architektury, którego akurat nie skrywała ciemność. Czy spodziewałem się, zapytałem sam siebie, że ten sam widok oglądany po raz kolejny będzie rezonował we mnie z równą mocą co kiedyś? Wszystko ma datę ważności, wszystko kończy się, odchodzi i przemija, a im zacieklej próbujemy zaprzeczać, tym mocniej ta prosta prawda dociska nas do ziemi. Z której powstaliśmy i do której wrócimy. Most Tumski wykarczowano z naręczy kłódek wieszanych na barierkach przez zakochanych i teraz wyglądał, jakby ktoś zdarł z niego ubranie. Zatrzymałem się i wychyliłem przez poręcz, na której widniała

biała blizna po szlifierce. W Odrze odbijały się gwiazdy. Wiedziony jakimś trudnym do opisania przecuciem zerknąłem na telefon. Nie, nikt nie dzwonił. Nikt nie dzwonił już od lat. Nie istniał też powód, dla którego tego dnia miałyby być inaczej. Skąd w takim razie to przecucie? Nie byłem pewien. Może po prostu chciałem, żeby ktoś zadzwonił. Tak. To mogło być to. Za mostem zszedłem kamiennymi schodami na bulwar Włostowica. Po lewej stronie, na wodzie, wyciszone łódki kołysząc się, czekały na weekendowy ruch. Na trawniku dwie dziewczyny leżały na kocu, policzek przy policzku, i pokazywały sobie gwiazdy. Przeszedłem przez Most Piaskowy, przeciąłem Plac Nankiera i ulicą Uniwersytecką doszedłem do Art Cafe Kalambur. To miejsce jest tylko o dziewięć lat młodsze ode mnie, pomyślałem. Nie trafiłem tu przypadkowo. Intuicyjnie szukałem miejsca o długiej historii, żeby łatwo dostroić do niego moje nostalgiczne i nieco rozgoryczone myśli. Zerknąłem do środka przez szkło kolorowej mozaiki i ze smutkiem stwierdziłem, że lokal jest przepełniony. Rząd odwiesił lockdown i tłumy momentalnie zalały lokale i kluby, tak jak kiedyś lawa zalała Pompeje. Niby obowiązywały jeszcze jakieś zalecenia sanitarne, ale po tym, co widziałem na mieście, wnosilem, że nikt się tym nie przejmował. Klienci, dla których nie starczyło już stolików, stali po prostu w przejściu, zbici w małe grupki. Popijali piwo z wysokich szklanek, śmiali się i dyskutowali, nie przejmując się ścisaniem. Stoliki na zewnątrz również były zajęte. Chciało mi się siku, więc spróbowałem przynajmniej dopchać się do toalety, ale tu również musiałem skapitulować. Oddaliłem się pokonany i lekko zgięty w pasie. Skręciłem w ulicę Nożowniczą, skryłem się w bramie i załatwiłem tam potrzebę, rozglądając się nerwowo w obawie, że zostanę przyłapany. Uważałem, że w moim wieku nie trzeba już się przejmować takimi drobnostkami, jak sikanie w bramie, a jednak, gdzieś z tyłu głowy, ciążyła mi świadomość, że sikać w bramie po prostu nie wypada. Ten wewnętrzny konflikt wzbudził we mnie delikatny niepokój, a wraz z nim drżenie rąk, w którego wyniku obsikałem sobie palce prawej dłoni. Zakląłem i wytarłem rękę w skarpetę. Wychodzę z założenia, że jeśli trzeba już wetrzeć coś niehigienicznego we własne ubranie, to najlepiej właśnie w skarpetę, jako że jest to część garderoby, która znajduje się najdalej od twarzy. Mam o wiele więcej takich mądrych spostrzeżeń, ale z oczywistych względów zachowuję je dla siebie. Miałem już opuścić bramę i wyprzeć z pamięci wszystko, co się w niej wydarzyło, kiedy za plecami usłyszałem miauczenie kota. Rozpaczliwe wołanie zwierzęcia powtórzyło się kilka razy. Dochodziło zza kontenerów skupionych w rogu między ścianami dwóch kamienic. Cofnąłem się i zobaczyłem białego kota wtulonego w ścianę pojemnika na szkło. W miejscu prawej przedniej łapy widniał krótki, obły kikut.

– Cześć, Blaise – powiedziałem i przykucnąłem przy nim.

Do jego czarnej skórzanej obróżki przypięta była srebrna adresówka w kształcie beczułki. W środku znajdowała się karteczka, której treść poznałem już wcześniej, kiedy spotkaliśmy się z Blaise'em po raz pierwszy:

Nazywam się Blaise

Mieszkam przy Placu Uniwersyteckim 1, w pokoju 303.

Proszę przekazać mnie nocnemu stróżowi.

Dziękuję.

Przysunąłem się bliżej i wzięłem białego kota na ręce. Napreżył mięśnie i swoim starym zwyczajem wbił mi pazurki zdrowej łapy w szyję. Dawał przez to do zrozumienia, że ufa mi tylko odrobinę i jeśli zacznę coś kombinować, podrapie mnie i ucieknie. Lewą ręką złapałem go od dołu, prawą przycisnąłem do piersi i ruszyliśmy. Przeszliśmy znowu obok Kalamburu, w którym nadal było przesadnie tłoczno, potem weszliśmy na okrągły brukowany plac, minęliśmy Bramę Cesarską i Pomnik Sermierza i dotarliśmy pod błękitne wrota ze złotymi zdobieniami. Okna w całym budynku były wygaszone i pozamykane. Zapukałem w bramę trzy razy, a kiedy nikt nie otworzył,

nacisnąłem klamkę. Drzwi uchyliły się bezgłośnie i weszliśmy na słabo oświetlony korytarz. Postawiłem Blaise'a na ziemi, a on ruszył przed siebie, krocząc zgrabnie i pewnie, mimo braku łąpy. Włączyłem latarkę w telefonie i poszedłem za nim. Mineliśmy pustą stróżówkę, przez szybkę zobaczyłem książeczkę z krzyżówkami, krzesło odsunięte od blatu i wieszak na ubrania, na którym wisiał samotny kaszkiet. Blaise zaczął wspinać się po szerokich schodach. Na każdym piętrze i półpiętrze zatrzymywał się i oglądał za siebie, żeby na mnie poczekać. Prawa noga, zmęczona wcześniejszymi próbami odmładzania, mocno dawała mi teraz w kość. Szedłem bardzo powoli, co jakiś czas przystając, żeby odczekać, aż piekący ból i sztywność w mięśniach trochę odpuszczą. Z trudem dotarłem na ostatnie piętro. Blaise siedział cierpliwie w połowie korytarza, oświetlony przez jasność księżycy wpadającą przez wysokie okna. Pokuściłem w jego stronę i znalazłem się przed ciemnobrązowymi drzwiami z numerem 303. Znowu zapukałem i znowu trzy razy. Nastąpiła krótka chwila ciszy, a potem usłyszałem szmer, skrzypnięcie starych zawiasów i kroki. Osoba znajdująca się w pokoju 303 podeszła do drzwi i zatrzymała się. Rozległo się ciche, krótkie stuknięcie. Pomyślałem, że być może oparła z rezygnacją czoło o drzwi, ale zrobiła to mocniej niż planowała... I chyba miałem rację, bo zaraz po stuknięciu usłyszałem równie ciche „au...”. Delikatny, naznaczony chrypką staruszki głos zapytał:

– Kto tam? Czy to pan, panie Tomaszu?

– Nie, to ja. Jan. Drzwi były otwarte.

– Jan... Witaj. Czy Tomasz nie było na dole?

– Nie.

Odpowiedziało mi ciche westchnienie.

– Przyniosłem Blaise'a – oznajmiłem.

– Dziękuję. Czy możesz...?

– Oczywiście.

Oddaliłem się na koniec korytarza i stanąłem twarzą do ściany. Słyszałem, jak drzwi otwierają się i zamykają. Rozległ się zgrzyt zasuwanego rygla. Kiedy się odwróciłem, kota już nie było. Wróciłem pod drzwi.

– Kawa? – zapytałem.

– Chętnie.

– To co zwykle?

– Chyba chce mi się czegoś nowego. Myślałam o caffè latte z syropem karmelowym.

– Ekstrawagancki wybór.

– Mam ochotę na odrobinę szaleństwa.

W szparze pod drzwiami błysnęła moneta.

– Dzisiaj ja stawiam, Ewo.

– Ach, no tak. Faktycznie.

Czubkiem buta wsunąłem monetę z powrotem pod drzwi, a tam już przejęły ją jej palce. Zszedłem na niższe piętro, gdzie stał automat z kawą. Zniosłem kawę latte pod salę 303, odwróciłem się i czekałem, aż Ewa ją zabierze, a kiedy drzwi się zamknęły, wróciłem tam, usiadłem i oparłem o nie plecami. Czuję jak stawy i mięśnie nadwyreżonej nogi pulsują mi pod nogawką. Zdjąłem but, poruszałem palcami i wyprostowałem kolano, sapiąc przy tym donośnie. Napiliśmy się kawy. Była to nie najgorsza Douwe Egberts, aromatyczna i łagodna. No i miło było po prostu zwilżyć język po nieudanej wizycie w knajpie. Usłyszałem szelest ubrań i skrzypnięcie podłogi. Wywnioskowałem, że Ewa usiadła i oparła się o drzwi tak jak ja. Gdyby ich nie było, opieralibyśmy się plecami o siebie. Ale to dobrze, że były. Lubiłem te zamknięte drzwi między nami.

– Mam nadzieję, że nie zabieram ci czasu – powiedziała.

– Skąd – machnąłem ręką. – Jedyne, co mam teraz do roboty, to doczekać śmierci w jakiś sensowny sposób.

Musiała wyczuć mój gorzki nastrój, bo kolejne pytania zadawała już cichym, opiekuńczym półszepceniem.

– Masz ciężki wieczór?

– Nie... – odparłem po chwili namysłu. – Właściwie całkiem lekki. Mam dzisiaj urodziny, wiesz? Skończyłem sześćdziesiąt pięć lat.

– Och... W takim razie wszystkiego najlepszego.

– Dziękuję.

– Chcesz tu ze mną siedzieć w taki ważny wieczór? Nie jesteś z nikim umówiony? Nie świętujesz?

– Nie... – westchnąłem. – Nie mam z kim świętować.

– Zawsze się kogoś ma. Nawet niech by to była tylko jedna osoba.

– Właśnie z nią rozmawiam.

– Nie, nie, nie, mój drogi – sprzeciwiła się stanowczo. – Mówię o prawdziwej bliskości. Twoim jedynym przyjacielem nie może być stuknięta staruszka, której przynosisz kota.

– Dlaczego nie?

– Bo to głupie.

Nie uważałem, że to głupie, ale nic nie powiedziałem.

– A twój brat, Jerzy?

– Co z nim?

– Mówiłeś, że jesteście blisko.

Mimowolnie sięgnąłem do kieszeni i pogładziłem okładkę *Życia snem*.

– Powiedzmy, że blisko. Piszemy do siebie listy.

– A nie odwiedza cię?

– Mieszka bardzo daleko i nie może podróżować.

– Ale ty możesz?

– Mogę. Ale wolę pisać listy. Lubię ten sposób. Tak jak lubię rozmawiać z tobą przez drzwi.

– Nie przeszkadza ci, że mnie nie widzisz?

– Wręcz przeciwnie. Bardzo mi to służy. Ja nie jestem dobry w rozmawianiu. Nie wiem, co i kiedy trzeba mówić. A kiedy nic nie mówię, to się martwię, że kogoś tym urażam. To dla mnie za trudne. Gdybym miał jeszcze mieć rozmówcę tuż przed nosem, to bym chyba zapadł się pod ziemię ze wstydu. Dobrze mi z Jerzym i naszymi listami. Dobrze mi z tobą i drzwiami, które nas dzielą. Zawsze mogę po prostu wstać i wyjść. Nie musiałbym się tłumaczyć, dlaczego wychodzę.

– A myślisz, że Jerzy nie chciałby, żebyś go odwiedził?

– Nawet jeśli chciałby, to mi tego nie zaproponuje. Za dobrze mnie zna.

Napiłem się kawy i pomyślałem, że wystarczająco już jej powiedziałem o sobie. Więcej niż kiedykolwiek. To pewnie przez tę starczą chandrę, pomyślałem.

– Ta twoja sala – zapytałem, zręcznie zmieniając temat – naprawdę jest przerobiona na mieszkanie?

– I to jeszcze jakie – odparła z dumą. – Mam tu kuchnię, łazienkę, sypialnię... Nawet obrazy na ścianach. I kwiaty. Bardzo dużo kwiatów.

– Studenci wiedzą, że tu mieszkasz?

– Tak, to żadna tajemnica. Jestem oficjalnym duchem tego wydziału – oświadczyła z rozbawieniem. – Uczyłam w tej auli przez dwadzieścia cztery lata. Kiedy zachorowałam, moi przyjaciele z uczelni chcieli mieć mnie na oku, więc przerobili salę na mieszkanie i zaproponowali, żebym się wprowadziła.

- Czego uczyłaś? Chyba już mi mówiłaś, ale zapomniałem.
- Geografii politycznej. Zawsze lubiłam podróże.
- Przykro mi – powiedziałem bardziej z grzeczności, bo wcale tego nie czułem.

Od zawsze miałem ten problem: mówiłem kłamstwa, żeby rozmówcy było ze mną dobrze. Rozwiązałem go tak, że przestałem rozmawiać z kimkolwiek. Może coś na tym straciłem. Nie wiem.

– Mam tu globus i mnóstwo map – odparła jakby to mnie, a nie siebie chciała podnieść na duchu. – Podróżuję sobie z nimi codziennie.

– Dobrze wiedzieć, że jakoś sobie radzisz. Ale skoro boisz się wychodzić... To jak się tu w ogóle dostałaś?

– Pozwoliłam się nafaszerować lekami nasennymi. Zostałam tu przywieziona i wniesiona tak jak moje książki, ubrania i reszta moich rzeczy.

– I nie wyszłaś stąd ani razu? Przez dwanaście lat?

– No niezupełnie „ani razu”. Czasami w nocy spaceruję po korytarzu. A kiedy czuję się naprawdę dobrze, wchodzę nawet na Wieżę Matematyczną.

– Byłem tam niedawno, chwilę przed pierwszym lockdownem. – Pomyślałem, że dla Ewy rządowy lockdown musi być czystą ironią, ale nie poruszyłem tego wątku. – Za dnia wieża była otwarta dla zwiedzających. Postawili tam taką lunetę na żetony. W bezchmurny dzień można było przez nią zobaczyć Sudety.

– Ja znam ten widok jedynie nocą. Tylko ciemność, światła i zarysy domów. Ale dla mnie to i tak bardzo, bardzo dużo. Mogę na nie patrzeć godzinami. Oczywiście tylko w te dni, kiedy mniej się boję. Jeśli chcesz, możesz tam teraz pójść. Wieża jest otwarta. Pewnie siedzi tam Tomasz. To ten starszy portier, któremu kilka razy przekazałeś Blaise'a.

– Zauważyłem, że nie ma go na dole.

– Niedawno zmarła jego matka. Zasnęła na fotelu w domu starców i już się nie obudziła. Kiedy żyła, w ogóle o niej nie mówił, ale po jej śmierci całkowicie się załamał. Czasem kiedy spaceruję po korytarzu, słyszę jego wycie. To nie jest płacz ani szloch, tylko wycie. Potem przestaje wyć, ze zmęczenia, i już tylko cicho łka. Musiała być mu bardzo bliska. Myślę, że żałuje, że nie zdążył jej tego powiedzieć, i dlatego tak teraz cierpi.

– Biedny facet.

– Biedny. Opowiedz mi coś jeszcze o sobie. Czym się zajmowałeś przed emeryturą?

Znowu „o sobie”. Dlaczego ludzie lubią słuchać o sobie nawzajem? Co w tym ciekawego? W moim przypadku z pewnością nic, jednak przyjemnie mi się siedziało z Ewą. Zmusiłem się do mówienia.

– Uczyłem angielskiego.

– W szkole?

– Tak. W szkole podstawowej. Jednej i tej samej przez całe życie.

– Czegoś tu nie rozumiem. Mówisz, że nie umiesz rozmawiać z ludźmi, a całe życie uczyłeś dzieci języka. Chyba nie robiłeś tego na migi, co?

– Z dziećmi to co innego. Dzieci nie są jeszcze ukształtowane. Ten proces u nich dopiero się zaczyna. One się uczą, jak się żyje z innymi, z dorosłymi i z rówieśnikami. Uczą się też hierarchii. Na etapie podstawówki już dobrze wiedzą, że one i nauczyciel nie są sobie równi. Ja stoję w tej hierarchii wyżej. Mają mnie słuchać, notować moje słowa, odpowiadać, kiedy są prozione, i milczeć, kiedy mówię. Nietrudno utrzymać porządek wśród dzieciaków. Nie są jeszcze tak butne i aroganckie jak na przykład niektórzy licealiści. Nie buntują się, nie testują naszych granic. Zwyczajnie się nas boją. Gorzej mają ci nauczyciele, którzy sami nie przestali być dziećmi i próbują wytworzyć poczucie równości. Pozwalają sobie wejść na głowę. Ja taki nie byłem, nigdy nie

starałem się przypodobać. Może nie byłem przez to zbyt lubiany ale nie to było moim celem, żeby zdobyć przychylność dziesięciolatków.

– A co było twoim celem?

– No właśnie. Nawet teraz tego nie wiem. Ale chyba głównie chodziło o pieniądze? Lubilem kupić sobie czasem jedzenie, zapłacić rachunki...

– Przestań. Nie wierzę ci. Nie jesteś aż tak cyniczny.

– To nie cynizm, a pragmatyzm. Chyba nie wymagasz ode mnie, bym lubił swoją pracę tylko dlatego, że nic innego nie umiałem robić?

– A ja uwielbiałam moich studentów – zignorowała moje pytanie. – I lubiłam się z nimi integrować po zajęciach. Nawet spałam z jednym – dodała po chwili. – Wiem, że się uśmiechasz. Czemu nic nie mówisz?

Miała rację. Uśmiechałem się.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Kiedy to było?

– Dawno... Kiedy moje piersi były bliżej obojczyków niż pępka.

Teraz zaśmiałem się na głos i ona także. Dwa zachrypnięte głosy. Śmiechy ludzi, którym zostało niewiele czasu.

– W takim razie jak radziłeś sobie z innymi nauczycielami? – spytała, śmiejąc się jeszcze.

– Pytasz mnie o stosunki koleżeńskie? Niech pomyślę... Na samym początku nawet jakieś miałem. Dawałem się czasem wyciągnąć na domówkę czy dansing. Chodziłem tam głównie chyba z ciekawości. No i także trochę z grzeczności, bo nie za bardzo umiałem odmawiać. Ale potem już się tego nauczyłem.

– Nie chciałeś spędzać czasu ze swoimi znajomymi?

– Miałem taki problem, że nigdy nie wiedziałem, o czym mam z nimi rozmawiać. Byli mili, ale nie interesowało mnie, co mówią. Traciłem tylko czas.

– Jak zareagowali na to, że się od nich odciąłeś? Nie pytali dlaczego, co się stało?

– Na początku trochę pytali. A ja najgrzeczniej jak umiałem przedstawiałem im różne wymówki. Przez jakiś czas naciskali, żebym gdzieś poszedł, żebym z nimi pogadał, ale szybko przestało ich to bawić. Uznali, że jestem po prostu sympatycznym nudziarzem i trzeba mnie zostawić w spokoju.

– Nie było ci smutno tak żyć?

– Było.

– Teraz też jesteś smutny?

– Kiedy o tym wspominam, to trochę tak.

– Biedaku. To może dla rozweselenia opowiem ci o Hemingwayu. Chcesz?

– Nie jestem pewien, czy Hemingway potrafi rozweselać.

– Sam zobaczysz.

– No to opowiedz.

Usłyszałem, jak opiera się wygodniej o drzwi i bierze łyk kawy, żeby zwilżyć gardło.

– Mój mąż był wielkim miłośnikiem Ernesta Hemingwaya. Zbierał pieczołowicie wszystkie jego książki. Miał nawet po kilka różnych wydań tych samych tytułów, ale i to nie powstrzymywało go przed kupowaniem następnych. Fascynował go Hemingwayowski bohater, odważny i surowy macho, który wysadza mosty, bije się na pięści i poluje na dzikie zwierzęta. Antoni też chciał taki być. Męski, surowy i „niezlomny”. Sęk w tym, że on był zupełnym przeciwieństwem tych postaci, które tak ubóstwiał. To był niski, bardzo delikatny mężczyzna o twarzy chłopca, cudownie niezdarne, romantyczny i czuły. To były wspaniałe cechy, jednak Antoni z jakiegoś powodu nienawidził ich w sobie. Pragnął za wszelką cenę je zdusić, zabić, zniszczyć i stać się kimś zupełnie innym. Nie wiem, dlaczego tak siebie nie lubił i nigdy się nie dowiedziałam.

– Na razie jest smutno. Kiedy będzie to śmieszne?

– Cierpliwości. Pewnego dnia wróciłam z pracy i zobaczyłam w naszej sypialni następujące nabytki: strzelbę, koszulę khaki, hełm korkowy i bilet do Kenii. Antoni bez mojej wiedzy zorganizował bardzo drogie wczasy we wschodniej Afryce, na które, jak się wkrótce okazało, nie zostałam zaproszona. Na swojego kompana wybrał naszego wspólnego przyjaciela. Oznajmił mi, że ten wyjazd to dla niego „być albo nie być”, że drugiej takiej szansy nie będzie i że jeśli nie pojedzie, zgorzknienie i umrze za życia jako nikomu niepotrzebny wykładowca nieudacznik (Antoni wykładał filozofię i literaturę antyczną). Na moje pytanie dlaczego to Jan Wawrzyniec, a nie ja, jego żona, dostał zaszczytu towarzyszenia mu w tej wyprawie, odparł, nie kryjąc zniecierpliwienia, że tego jeszcze świat nie widział, żeby mężczyzna odbywał inicjacyjny rytuał zabijania pod ręką z małżonką. Nie było nic więcej do dodania. Nie oponowałam. Odwiozłam ich nawet na lotnisko. Po tygodniu Jan zadzwonił do mnie i jękając się, i klucząc niezbornie od tematu do tematu, wyznał, że Antoni znalazł sobie na miejscu kochankę i całe dni spędzają na baraszkowaniu pod moskitierą, podczas gdy strzelba, koszula i korkowy hełm nie zostały nawet wypakowane z walizek. Odłożyłam telefon na stół obok aparatu i płakałam tak długo, że odstawiłam go z powrotem na widełki dopiero po kolejnym wchodzie słońca. A potem stało się to... Ostatniego dnia tej afrykańskiej przygody rozgorzała pijatyka, wstawieni faceci wzięli się do strzelb, było strzelanie do puszek, do butelek. Antoni, który jeszcze nigdy nie strzelał, próbował załadować swój sztucer... Nie wiem dokładnie, jak to było, znam przebieg tylko z opowieści Jana, który też nie był wtedy najtrzeźwieszy... Ponoć Antoni łądował strzelbę, trzymając ją między nogami, lufą w dół i jakoś, nie wiem jak, nie znam się na tym, no po prostu nabój eksplodował w komorze. Jan powiedział, że być może strzelba była trefna. W końcu Antoni kupił ją tak tanio i bez pozwolenia, i nikomu nie chciał powiedzieć od kogo. W każdym razie ten nabój wybuchł przy jego kroczu i no wiesz... Rozwalił mu tam wszystko na dole. Jakoś dowieziono go do szpitala. Prowadził jeden z myśliwych, ten, który najmniej wypił, ale i tak był tego nawalony, więc to też w ogóle cud, że nie zabili się po drodze. Chirurg powiedział, że niczego tam się nie da odratować, że trzeba usunąć to, co zostało z jego genitaliów, odkazić, zaopatrzyć i pilnować, żeby nie wdały się zarazki. Nie muszę chyba mówić, że Antoni wrócił z tej wyprawy niezwykle odmieniony... i to nie w sposób, o którym marzył, kiedy chłonał łapczywie kolejne strony *Zielonych wzgórz Afryki*. Przez kolejne sześć miesięcy nie odezwał się do nikogo łącznie ze mną ani słowem, aż w końcu pewnego styczniowego poranka wyszedł na ogród w samych majtkach i strzelił sobie w głowę z tej trefnej strzelby, z której chciał strzelać do lwów. Tym razem zadziałała znakomicie. Antoni w pewnym sensie spełnił swoje marzenie. Upodobił się do swojego idola, bo Hemingway też się zastrzelił.

Kawa w kubku ostygła. Dopilem resztę, patrząc otepiale na moją stopę w zielonej skarpetce włożonej na drugą stronę.

– I od tego czasu nie wychodzisz? – Mój głos był pusty i głuchy.

– Sąsiedzi usłyszeli huk i wezwali policję. Funkcjonariusze próbowali ze mną porozmawiać, ale zatrzasnęłam się w domu i musieli dostać się tam siłą. Bałam się, że za progiem zobaczę znowu to leżące nieruchome ciało z mokrą, otwartą głową. Do dzisiaj się tego boję.

– W porządku – powiedziałem ostrożnie. – Ale nie rozumiem, w jaki sposób ta historia miałaby mnie rozśmieszyć.

– Nie rozumiesz?

– Nie.

– Nie zaśmiałeś się?

– Ani trochę.

– Hm... – W jej głosie pobrzmiewało lekkie rozczarowanie. – Szkoda. Chciałam ci przedstawić, za pomocą tej komiczno-makabrycznej metafory, że życie bywa bardzo, ale to bardzo ironiczne.

Jeśli będziemy brać je tylko na poważnie, to się wykończymy. To taka przypowieść. Moja własna. Z Ewangelii według świętej Ewy. Uważam, że ma całkiem niegłupie przesłanie.

– I akurat ty to mówisz?

– A kto wie o tym lepiej niż ja?

Domyślałem się, że ten pokrętny przekaz jest na swój sposób trafiony. Potrzebował jednak więcej czasu i świeższej głowy, by przyznać, że się z nim zgadzam. Poczułem, że mimo wypitej kawy, jestem senny i bardzo zmęczony. Bardzo powoli włożyłem z powrotem but na stopę i zacząłem wiązać sznurowadła.

– Co teraz będziesz robił? – zapytała Ewa i ziewnęła. Też była śpiąca.

– Pójdę na tramwaj i będę myślał o tym wszystkim. O Hemingwayu, o trefnej strzelbie i o ironii losu.

– Myśl o tym. Może ci się to przyda... Kiedy znowu do mnie przyjdiesz?

– Nie wiem. Pewnie gdy znów znajdę Blaise'a.

– Lubię cię, Janie. Jesteś dobrym mężczyzną. Trochę smutnym. Ale ja lubię smutnych.

– Dziękuję. – Chciałem powiedzieć „ja też cię lubię”, ale nie powiedziałem. – Pojawię się szybciej niż myślisz. Może nawet otworzysz mi drzwi i pozwolisz się zobaczyć?

– Może. Może zdążymy.

– Jak to „zdążymy”? Wybierasz się gdzieś?

– Owszem, Janie. Tam gdzie wszyscy. Mówiłam ci przecież.

Poczułem jak gęstnieję od środka, jakby ktoś wlewał w moją skorupę ciekły ołów.

– Jest już data? Jakiś termin? – Mój głos był tak cichy, że sam go ledwo słyszałem.

– Nic konkretnego. Ale mówią, że lepiej przygotować się wcześniej.

Zamilkłem na chwilę, ale cisza, która zapadła, była nieznośna.

– Wrócę szybciej niż myślisz. – Przerwałem ją.

– Przychodź jak najczęściej. Nie chciałabym, żebyśmy się minęli.

„Minęli” – powtórzyłem w myślach.

– Do widzenia – powiedziałem, a Ewa odpowiedziała w tej samej chwili i nasze głosy zwały się w jeden.

Zanim skierowałem się do wyjścia, poszedłem jeszcze krętymi schodkami na Wieżę Matematyczną. Podświetlony czterema reflektorami taras błyszczał pod ogromnym, ugwieżdżonym niebem. Ciepły wiatr zafurkotał koszulą, która sterczała mi ze spodni. Na czterech rogach balustrady nad miastem pochylały się personifikacje nauk: prawa, teologii, filozofii i medycyny. Na środku tarasu siedział po turecku stróż Tomasz i chowając twarz w rękach, lkał cicho, zmęczony wyciem.

ROZDZIAŁ 3

Stary dom pod adresem Orłowskiego 33 stał zaraz przy wejściu do parku. Po śmierci rodziców zostałem jego jedynym właścicielem. Przez jakiś czas mieszkaliśmy tam całą rodziną, ale nie trwało to długo, bo mama i tato zostali zabici, kiedy miałem dwadzieścia cztery lata. Ojciec był dziennikarzem, a matka fotografem. Pracowali razem. Tamtego lata robili reportaż o konflikcie w Zatoce Bengalskiej. W zniszczonej wiosce w stanie Karen w Mjanmie natknęli się na żołnierzy junty. Kazano mamie oddać aparat. Zrobiła to bardziej opieszale, niż oczekiwał dowódca i jeden z żołnierzy (powiedziano mi potem, że miał zaledwie dwanaście lat) strzelił jej między oczy. Ojca zabito sekundę później, nie wiem dlaczego. Myślę, że patrząc na śmierć żony, mógł coś krzyknąć, niepotrzebnie powiedzieć lub wykonać jakiś zbędny gest. W każdym razie zabito ich i pochowano tam, w tej spalonej wsi w środku dżungli, a ja zostałem jedynym właścicielem domu na Biskupinie i przeżyłem w nim całe życie. Jak już wspomniałem, dom stoi zaraz przy wejściu do parku, równoległe do alei wysokich dębów, dlatego przez większość dnia pozostaje ukryty w cieniu. Kiedy poszedłem zdiagnozować moje problemy ze snem i skurczami mięśni, lekarka zasugerowała, że ten regularny brak słońca może wpływać na moje usposobienie i że być może przez to właśnie stałem się taki posępny i wycofany. Ale ja nie wierzę, żeby taka drobnostka jak cień mogła wpływać na charakter człowieka. Wydaje mi się, że po prostu zawsze taki byłem. Ponadto od kiedy biorę tabletki, nie czuję się już ani posępny, ani wycofany. Na lekach jestem może ciut bardziej opieszaly, ale nie przeszkadza mi to. Od kiedy siedem lat odszedłem na emeryturę, w domu spędzam większość czasu, próbując nie zgnuśnić i „nie umrzeć za życia”, przed czym przestrzegał mnie mój świętej pamięci ojciec. Tak jak powiedziałem Ewie, staram się doczekać śmierci w jakiś sensowny sposób. Dużo czasu i pracy wkładam w pielęgnowanie przydomowego ogrodu. To hobby, które odkryłem na półmetku życia, a pomogła mi w tym moja sąsiadka, jedyna obca osoba, której towarzystwo lubiłem. Za domem mam niecały ar niezłej jakości ziemi. Kiedyś był tam wyłącznie trawnik, który irytował mnie swym ciągłym odrastaniem i domaganiem się koszenia. Kiedy pracowałem w szkole, prawie w ogóle nie korzystałem z dobrodziejstw odpoczynku w ogrodzie, a trawę i tak musiałem kosić i było to dla mnie absolutnym utrapieniem. Kiedy przeszedłem na emeryturę, pod wpływem mojej sąsiadki postanowiłem zamienić tą nieszczęsną trawę na coś bardziej praktycznego. Poczytałem trochę o usuwaniu trawnika pod grządki i przekopałem spory prostokąt trawy, wytrząsając darń i usuwając chwasty. Piaszczystą powierzchnię przykryłem ziemią kompostową z dodatkiem torfu i odkwasilem dolomitem. W miarę upływu czasu i rozwoju mojej ogrodniczej pasji pas trawnika stawał się coraz węższy, kurczył się i cofał w stronę tarasu, ustępując rozrastającym się od strony ogrodzenia grządkom. Przez siedem lat emerytury dorobiłem się okazałego poletka warzyw strączkowych, rzepowatych i liściastych, a także ziół (bazylię, tymianek, lubczyk, estragon, rozmaryn, mięta, lawenda, szalwia, koper włoski) i owoców (maliny, truskawki, poziomki, borówka, agrest, jagoda, rokitnik, pigwowiec, morwa i dereń). Mam także dwie jabłonie, gruszę, wiśnię i czereśnię, a tej wiosny posadziłem jeszcze sadzonki białych winogron, których pędy oplatają się teraz bujnie wokół tyczek. Ten przydomowy ogród, który jest moją radością, ale i także źródłem oszczędności (nie muszę kupować warzyw i owoców), nie zaistniałby, gdyby nie pomoc mojej sąsiadki. Laura była kobietą na oko czterdziestoletnią, bardzo

elegancką i bardzo seksowną. Nigdy oczywiście jej tego nie powiedziałem, ale myślę, że wiedziała, że tak uważam. Dlaczego tak myślę? Nie wiem. Po prostu tak czuję. Laura samotnie wychowywała córeczkę, Zosię. Mieszkały w domu naprzeciwko, a nasze ogrody oddzielała siatka z giętego drutu. Dom Laury jest podobny w budowie do mojego i stoi dalek od wysokich drzew w parku, dlatego na jej posiadłość szybciej dociera słońce. Przez większość dnia nasze domy wyglądają jak odbite w jakimś dziwnym, baśniowym lustrze: jeden jest jasny i pogodny, a jego odbicie ciemne i ponure. Na tym jednak lustrzanej analogii się nie kończą. Pewnego dnia odkryłem zaskoczeniem, że rozmieszczenie pokoi w domu Laury jest takie samo jak w moim. Zaskoczenie było jeszcze większe, kiedy okazało się, że rankiem poruszamy się po nich w podobnym czasie i robimy podobne rzeczy, ja i ona, jakbyśmy byli swoimi odbiciami. Laura z Zosią wprowadziły się rok po moim przejściu na emeryturę, czyli w dwa tysiące czternastym. Po jakimś czasie zorientowałem się, że jej sypialnia znajduje się na piętrze, w lewym rogu budynku, dokładnie naprzeciwko mojej. Laura nie zawsze zaciągała na noc zasłony, zwłaszcza latem, kiedy noce bywały gorące. Ja również tego nie robiłem. Kilka razy z rzędu, gdy po przebudzeniu stawałem w oknie, widziałem ją, jak wstaje z łóżka, narzuca szlafrok i również podchodzi do okna. Świadomość, że przez chwilę widziałem jej zgrabne, szczupłe ciało pozbawione okrycia, wcale jej nie peszyła. Jednakże, kiedy nasze spojrzenia spotykały się, podciągała poję szlafrocka wyżej na piersi i uśmiechała się do mnie delikatnym uśmiechem nienawykłym do gier i wieloznaczności. Potem szliśmy do łazienki. Wiem to, bo kiedy wychodziłem spod prysznic, na wąskim okienku jej łazienki widziałem jeszcze osadzającą się parę. Po kąpieli schodziliśmy na dół, od czasu do czasu zerkając na siebie podczas przygotowywania posiłku, a następnie znikaliśmy w jadalniach, których już nie widać przez okna od strony sypialni. Potem wychodziliśmy na ogród, gdzie słuchając ptaków, piliśmy kawę i czytaliśmy, ja książkę, a Laura gazetę. I tu nasze rytuały się rozmięły, ja zostawałem w wiklinowym fotelu i czytałem, dopóki nie zasnęłem. Po odejściu z pracy byłem tak przewlekłe zmęczony, że sam nocny sen mi nie wystarczył i musiałem dospać jeszcze chwilę po śniadaniu. Kiedy czytałem, a potem zasypiałem, Laura wyjmowała ze składziku narzędzia i zajmowała się ogrodem. Gdy budziłem się ze strużką śliny na piersi, obserwowałem jej wysiłki i zmiany zachodzące w zielonej przestrzeni za ogrodzeniem. W końcu pewnego dnia pojechałem do sklepu ogrodniczego i kupiłem na chybił trafił trochę nasion i kilka sadzonek. Nazajutrz po czytaniu Laura wzięła się do pracy, a wtedy ja również odgrzebałem z garażu starą łopatę i zacząłem kopać pierwsze dołki pod grządki. Z początku podpatrywałem Laurę tylko z daleka, ale później nabrałem odwagi. Podchodziłem do płotu i bezwstydnie studiowałem każdy jej ruch, kiedy na klęczkach umieszczała sadzonki w rozkopanej ziemi. Tak nauczyłem się na przykład, że pomidory powinno się sadzić co trzydzieści pięć – pięćdziesiąt centymetrów, pilnować, by korzenie nie były pogięte ani złamane, a ziemię po przysypaniu trzeba lekko ugnieść i umieścić w niej palik do późniejszego podwiązania. Resztę wyczytałem już w internecie i tak dowiedziałem się między innymi, czym charakteryzuje się zdrowa rozsada pomidorów i że najlepiej przyjmuje się ona w pochmurny dzień, ale sadzona do ciepłej ziemi. I koniecznie po piętnastym maja, bo wtedy ponoć już ostatecznie mija zagrożenie przymrozkami. Podpatrując starania Laury i doksztalając się na własną rękę, zacząłem tworzyć własny ogród. Kiedy i mi zaczęło się coś udawać, na przykład wykielkowały pierwsze zalążki groszku, Laura udzielała mi aprobaty lekkim uśmiechem lub skinięciem głowy. Nigdy się do siebie nie odezwaliśmy: ja, ponieważ jestem „mrukiem”, a ona... cóż, nie wiem. Pewnie miała swoje powody. Nie przeszkadzało to jednak w tym, by wytworzyła się między nami zbliżona do sympatii więź. Laura nie podała mi nawet swojego imienia. Nazwałem ją Laurą, ponieważ kiedy pierwszy raz zobaczyłem ją w ogrodzie, słuchałem akurat *Laury* Charlie’go Parkera. Nie wiem, czy ona znała moje imię, i nie sądzę by to miało jakiegokolwiek znaczenie. Spędziliśmy tak „ze sobą” trzy lata.

Wyprowadziła się w styczniu, nagle i niespodziewanie. Któregoś zimnego poranka jak zwykle zajrzałem przez okno do jej sypialni i zobaczyłem puste łóżko bez pościeli. Na ogrodowym stoliku zostawiła talerzyk z niedokończonym rogalikiem i fioletowy kubek, z którego pijała kawę. Na krawędzi ganku siedział pluszowy miś Zosi. Po zimie przyszła wiosna, a potem lato. Grzyb w kubku rozrósł się i wystawał ponad brzeg, rogalik kawałek po kawałku rozkradły mrówki, a miś najpierw smagany śniegiem i mrozem, a potem deszczami i duchotą, schudł, pomarszczył się i zapadł do środka. Nie zdążyłem podziękować Laurze za jej codzienne lustrzane towarzystwo, dzięki któremu czułem się prawie tak, jakbym żył z kobietą, ani za miłość do ogrodu, którą we mnie zasiała. Mam nadzieję, że wie, jak ważnym była dla mnie człowiekiem i jak mocno jestem jej za to wszystko wdzięczny. Mam nadzieję, że gdziekolwiek teraz się znajduje, jest szczęśliwa i że powody, dla których musiała w pośpiechu zostawiać dom i uciekać w środku nocy, już jej nie dotyczą.

Kiedy wróciłem z mojej nocnej włóczędzy, dochodziła pierwsza w nocy. Dante, stary czarny kocur, obwąchał moją nogawkę i chyba wyczuł zapach Blaise'a, bo odszedł obrażony. Poczulem, jak po plecach spływa mi pot. Powietrze, mimo późnej pory, było gęste i parne. Podeszedłem do drzwi tarasowych i spojrzałem z czułością na mój ogród. Cieszyłem się, że spadnie deszcz i rośliny w końcu będą miały używanie. Pouchylałem okna, żeby zrobić przeciąg, zapaliłem lampkę nad stołem i nalałem sobie wody do szklanki. Połknąłem jedną tabletkę tritico, którą miałem przypisaną na poprawę snu, i wypilem wodę duszkiem. Przez ponad połowę życia męczyła mnie bezsenność. Gdybym wcześniej zaufał medycynie, miałbym za sobą więcej przespianych nocy, byłbym bardziej wypoczęty, szczęśliwszy, no i ogólnie zdrowszy; nie ma co jednak płakać nad rozlanym mlekiem. Cieszyłem się, że wreszcie po tylu latach tortur zasypiam od razu, a wstaję wypoczęty, cudownie spokojny i chętny do działania. Miałem też drugi lek, przeciwdepresyjny symfaksin, który miał również za zadanie łagodzić objawy lęku wolnopłynącego. Jedyne, co mógłbym mu zarzucić, to drastyczne osłabienie libido, co w moim wieku i przy moim mniszym trybie życia i tak było bez znaczenia. Dzisiaj rano zapomniałem go połknąć i zauważyłem, że nawet przy pominięciu jednej dawki zachodzą, co prawda drobne, ale jednak odczuwalne zmiany. Z tego dnia zapamiętałem trzy konkretne sytuacje napadu lęku i towarzyszącego mu poczuciu splątania: kiedy Krzyś czytał *Życie snem*, kiedy obsikałem sobie palce w bramie i kiedy powiedziałem Ewie, że muszę doczekać śmierci w jakiś sensowny sposób. Położyłem blister symfaksinu na stole, w widocznym miejscu. Nie chciałem rano znów zapomnieć wziąć pigułki. Przycisnąłem listek cukierniczką, żeby nie zdmuchnął go przeciąg. Jeszcze przez kilka minut siedziałem bez ruchu na krześle, aż w końcu długie ziewnięcie przypomniało mi, jak bardzo jestem zmęczony. Poszedłem schodkami na górę, w sypialni rozebrałem się do majtek, przykryłem kołdrą i zwinąłem w kłębek. Zanim zasnąłem, pomyślałem jeszcze o Ewie. Zastawiałem się, jak wygląda i czy dane mi będzie ją zobaczyć zanim odejdzie. Obiecałem, że będę przychodził częściej i miałem zamiar dotrzymać słowa. Martwiła mnie jednak pewna myśl: czy kiedy nie będzie między nami drzwi, wciąż będziemy umieli tak lekko i otwarcie ze sobą rozmawiać? Czy patrzenie i bliskość nie odstraszy nas, nie zawstydy, nie oddali nas od siebie? Od trzydziestu sześciu lat nie miałem kobiety. To była ostatnia myśl, zanim tritico zamknęło moje powieki, wypełniając ciało nieznanym spokojem.

Nocą nad miastem przeszła burza. I chociaż po tabletkce nic nie było w stanie wyrwać mnie ze snu, tym razem się obudziłem. Otworzyłem oczy w momencie, kiedy grzmot pioruna przewalał się nad dachem. Zobaczyłem, jak za oknem po niebie pełźnie złota błyskawica. Ułożyłem głowę z powrotem na poduszce, ale nie mogłem już zasnąć. Deszcz bębnił o blaszane parapety, a ja przewracałem się z boku na bok, przysypiając i wybudzając się na zmianę. Kiedy odpływałem, w półśnie dochodziły do mnie dziwne dźwięki, jakby ktoś jęczał, a może miauczał i skrobał

paznokciami w ścianę. Budziłem się kilkakrotnie i siadałem na łóżku albo spacerowałem po pokoju. Zszedłem do kuchni napić się wody, zrobiłem jeszcze kilka okrążeń wokół pokoju i w końcu, wycieńczony, zasnąłem. Obudziłem się ponownie jeszcze przed świtem. Budzik pokazywał czwartą dziesiątą. Otworzyłem okno, żeby zaczerpnąć powietrza. Na dworze wciąż jeszcze panowała noc i padał gęsty deszcz. Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się zaspanymi oczami w okno Laury, zanim układ nerwowy przekazał mi do mózgu, co właśnie widzę. W ciemnym pokoju dostrzegłem niewyraźny kształt ludzkiej sylwetki. Widziałem ciemny kontur głowy i ramion, podczas gdy reszta tonęła w mroku. Postać uniosła do ust czerwony świetlik papierosa i zaciągnęła się. Żar zaświecił mocniej, ale twarz postaci nadal pozostawała w cieniu. Odruchowo cofnąłem się od okna w obawie, że zostanę zobaczony, jednak zreflektowałem się szybko: skoro do opuszczonego domu wtargnął intruz, to nie ja powinienem się chować, lecz on. Wymacałem okulary i niezdarnie włożyłem je na nos. Wyjąłem latarkę z szuflady biurka i zaświeciłem prosto w okno. Kropelki deszczu ikrzyły się w snopie światła, który padł na szumiące na wietrze drzewa i ścianę domu. W pokoju Laury, który teraz wypełnił się szarym, rozmazanim światłem, nikogo nie było. Dla pewności ubrałem jednak sztormiak, wyszedłem na dwór i obszedłem jej dom wzdłuż ogrodzenia (wciąż nazywałem go w myślach „jej domem”), świecąc w okna latarką. Oprócz mnie i siedzącej na gałęzi sowy na całym osiedlu nie było o tej porze żywej duszy. Zaczynasz wariować, starcze, zbeształem się w myślach, po czym wróciłem do domu i ponownie, czwarty lub piąty raz tej nocy, położyłem się do łóżka.

Silne słońce zaświeciło mi prosto w oczy. Ptaki na drzewach pokrzykiwały jeden przez drugiego, po jeszcze mokrej ulicy co jakiś czas z szumem przejeżdżał samochód. Od lat budzik przerywał mój sen równo o siódmej, ale tego dnia było inaczej. Zegar nad drzwiami pokazywał jedenastą. Na budziku nadal była czwarta dziesiątą. Usiadłem na łóżku, wyjąłem z szuflady przy nocnym stoliku nowe baterie, włożyłem je do budzika i ustawiłem godzinę zgodnie z zegarem nad drzwiami. Wskazówki ruszyły posłusznie. Zszedłem do ogródka, żeby zerwać pomidora i cebulę do jajecznicy. Po drugiej stronie płotu ogródek Laury porosły wysokie kępy trawy i tylko tu i ówdzie było widać sterczące połamane tyczki, do których podwiązywała pomidory. Grzyb w kubku usechł i rozpadł się, a wymizerowanego misia prawie w całości oblażyły już chwasty. Podszedłem do płotu i pomyślałem o tym, o czym dumalem podczas nocnego spaceru: o dacie ważności, przychodzeniu, odchodzeniu i godzeniu się z tym drugim. Kiedy tak sobie rozmyślałem, coś po drugiej stronie ogrodzenia przykuło moją uwagę. Tuż pod oknem sypialni Laury leżał pomarańczowy filtr papierosa. Nerwowo mrugnąłem kilka razy, nie spuszczać go z oczu. To niemożliwe, stary ośle, powiedziałem do siebie. Wyszedłem na ulicę, gdzie ogrodzenie było niższe, przelazłem przez płot i odszukałem niedopałek. Leżał na wąskim chodniczku okrążającym dom, we wnęce okna piwnicznego, która osłoniła go przed deszczem. Podniosłem go i powąchałem. Był suchy i nie zwieterzał jeszcze do końca. Wciąż pachniał wypalonym tytoniem. Czyżbym to ja palił, nie mogąc zasnąć tej nocy? Cisnąłem go przez okno, a wiatr zaniósł go aż pod dom Laury? Budziłem się i zasypiałem tyle razy, że nie umiałem już stwierdzić, co było jawą, a co snem. Obejrzałem niedopałek ponownie. Na spopielonej bibułce nad filtrem nie widniało żadne logo. Nie miałem pojęcia, które papierosy nie mają napisu nad filtrem, ale z pewnością nie moje marlboro. Schowałem peta do kieszeni i wróciłem do domu. Zrobiłem jajecznicę i jadłem ją, patrząc przez okno na dom mojej byłej sąsiadki. Po jedzeniu położyłem niedopałek na stole, połknąłem symfaksin i wyszedłem z kawą na taras. Usiadłem pod spadzistym daszkiem i zacząłem czytać *For whom the bell tolls*. Trefna strzelba i ironia losu, myślałem przewracając strony. Miło było wrócić do starego dobrego Hemingwaya, kiedy i ja byłem już całkiem stary. Prawie pięćdziesiąt lat od pierwszej lektury dałem się na nowo zahipnotyzować tej niepowtarzalnej precyzji opisywania rzeczy takimi, jakie Hem je widział, bez poetyzowania i dorabiania znaczeń tam, gdzie ich nie ma. Kiedy miałem

dwadzieścia kilka lat i dowiedziałem się, że Hemingway cierpiał na chorobę afektywną dwubiegunową, moje gorące uczucie do niego uległo znacznemu ochłodzeniu. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że zostałem w jakiś sposób oszukany. Wyobrażałem sobie Papę, który w fazie maniakalnej pisze te wszystkie samczo-alfie slogany o „umieraniu na stojąco”, „takich, co nie dają się złamać” i „braniu śmierci jak aspirynę”, a potem markotnieje, chowa się pod stół i mamrocze, żeby zrobić mu kakao, a potem zostawić w spokoju. Dopiero na starość dojrzałem do tego, żeby spróbować go jednak zrozumieć i trochę mu odpuścić. Niech człowiek sobie będzie, jaki chce, przecież tu o książki chodzi, a nie o człowieka. I kiedy mu odpuściłem, przyjemność z czytania od razu wróciła. Warto było czekać czterdzieści lat. W okolicach trzeciego rozdziału przysnąłem. Obudziło mnie mokre klapnięcie. Coś spadło za żywoplotem okalającym ganek. Odłożyłem książkę i wstałem z fotela. Na wilgotnej trawie między tarasem a płotem leżała jaskółka. Miała połamane skrzydła i rozszarpany tułów, z którego wnętrzości częściowo wylały się na zewnątrz. Najwyraźniej wypuścił ją ze szponów jakiś drapieźnik, może jastrząb albo kobuz. Krwawiła obficie, jej małe ciało spazmatycznie drżało. Otwierała szeroko dzióbek, z trudem łapiąc powietrze. Wiedziałem, co trzeba było zrobić, i wiedziałem też, że nie jestem do tego zdolny. Kiedyś już znalazłem się w podobnej sytuacji, dawno gdy byłem jeszcze dzieckiem. Wtedy samochód potracił psa i odjechał. I potem także raz w dorosłym życiu. Tym razem chodziło o fretkę, którą młodociani chuligani kopali na podwórzu jak piłkę, a potem zostawili ledwo żywą i odeszli. Wtedy, i wtedy z psem, odwracałem głowę i odchodziłem. Nie umiałem dobić umierającego zwierzęcia. Nie wyobrażałem sobie siebie skręcającego kark albo rozgniatającego głowę czemuś małemu i bezbronnemu. Wiem, że należy to zrobić, żeby zwierzę nie cierpiało, ale nie potrafię tego. Zabrałem książkę i wróciłem do kuchni. Próbowałem czytać, ale nie mogłem się skupić. Wciąż myślałem o ptaku, który umierał na trawniku za ścianą. Patrzyłem, jak moje palce sztywnieją i zaczynają drżeć. Zamknąłem oczy i zacząłem liczyć. Przy dwustu dwudziestu podniosłem powieki i wyszedłem sprawdzić. Jaskółka już nie żyła. Chwyciłem ją delikatnie za skrzydło, włożyłem do foliowej siatki i zaniósłem przed dom. Chwilę zastanawiałem się, czy wrzucić ją do odpadów bio czy do zmieszanych. W końcu wybrałem bio. Kiedy zatrzasnąłem klapę, zobaczyłem mężczyznę stojącego po drugiej stronie ulicy. Był sporo starszy ode mnie, mógł mieć koło osiemdziesiątki. Miał szczupłe ręce, chude, blade nogi bez włosów i wypięty brzuch. Ubrany był w szorty khaki i błękitną koszulę z kołnierzykiem i obszerną plamą potu na piersi. Pilnie studiował gazetę, przysuwając i odsuwając ją od twarzy. W jego rysach było coś dziwnego, ale stał za daleko, żebym mógł powiedzieć, co dokładnie. Wróciłem do ogródka, postąłem tam przez chwilę, a potem cofnąłem się do garażu, wziąłem łopatę, podwinąłem rękawy i zacząłem przerzucać ziemię. Nie miałem w planach niczego sadzić. Potrzebowałem zająć się pracą, żeby nie myśleć już o jaskółce. Przekopałem ostatni kawałek trawnika prawie do samego tarasu, a potem wziąłem się za sprzątanie. Włożyłem do odtwarzacza płytę Dissy’ego Gillespy’ego *Be-bop*, pozdejnowałem wszystkie przedmioty z blatów, stołów i półek, wytarłem kurze, odkurzyłem podłogi i umyłem okna. Około osiemnastej wyszedłem przed dom, żeby wyrzucić śmieci. Mężczyzna z gazetą nadal tam był. Spojrzałem na zegarek. Czy to możliwe, że stał tu od sześciu godzin? Teraz już nie czytał. Gazetę trzymał w luźno opuszczonej ręce i patrzył na mnie albo trochę obok, trudno powiedzieć. Po jego twarzy prześlizgiwał niezdecydowany uśmiech, jakby toczył walkę ze wstydem, czy odezwać się do mnie, czy też nie. Wyglądał na zagubionego, a jego oczy, rozbiegane i nieobecne, wskazywały na to, że z reguły przebywa myślami poza rzeczywistością i tylko sporadycznie do niej powraca. Mógł to być staruszek z demencją, który odłączył się od swojego opiekuna, albo po prostu jakiś wariat. Tak czy inaczej, nie miałem ochoty z nim rozmawiać. Zignorowałem jego wyczekujące spojrzenie, wyrzuciłem śmieci i zamknąłem się w domu.

Następnego dnia zobaczyłem go pod piekarnią. Miał na sobie te same ubrania, brudniejsze i bardziej wyświechtane, co wskazywało, że tej nocy musiał spać na dworze. Jego siwe włosy, wczoraj zaczesane na bok, były zmierzwione jak u stracha na wróble. Sterczały z nich sosnowe igły i kawałki mchu. Starzec co jakiś czas bezwiednie strącał je ręką. Przypiąłem rower do stojaka i zacząłem go obserwować. Kiedy wytrzepał z włosów i ubrań większość ziemi i roślinności, wyjął z kieszeni tę samą co wczoraj, jak mi się zdawało, gazetę i podszedł z nią do młodego chłopaka. Rozmawiali przez chwilę, po czym chłopak machnął ręką i przyspieszył kroku, zostawiając staruszka w pół zdania, ze sterzczącym palcem stukającym o papier. Staruszek zaczęził tak jeszcze kilka osób i nie uzyskawszy pomocy, usiadł na trawniku i zasłonił gazetą głowę przed słońcem. Kiedy wychodziłem z piekarni, nadal tam siedział. Wsiadłem na rower i pojechałem w stronę domu, myśląc sobie, że dzisiaj jest być może dobry dzień, żeby zerwać trochę wiśni i spróbować zrobić z nich kompot. Nigdy nie robiłem kompotu i nie było to coś, na co miałem największą ochotę, ale alternatywą była tylko bezgraniczna nuda i karygodne nieróbstwo. Wybrałem więc kompot. Kiedy przygotowałem sobie składniki, okazało się, że nie mam wystarczająco dużo cukru. Znowu wsiadłem na rower i popedałowałem do sklepu. Jadąc, w jednej z bocznych uliczek usłyszałem wołanie starego człowieka i chóralny dziecięcy śmiech. Staruszek stał pod rozłożystą wierzbą, otoczony przez grupę wyrostków. Jeden z dzieciaków zabrał mu gazetę i podał następnemu, a ten schował ją za plecami do spodni i zakrył koszulką. Staruszek podszedł do niego i wyciągnął ku niemu rękę, a wtedy inny rzucił mu w głowę piłką.

– Nie dotykaj go, pedofilu! – krzyknął któryś z chłopców.

– Wypierdalaj, zboczeńcu!

Było oczywiste, że staruszek nie jest żadnym zboczeńcem. Chłopcy zabawiali się jego kosztem. Starszy pan zobaczył wędrującą z rąk do rąk gazetę i skierował się w jej stronę, a wtedy jeden z chłopaków kopnął go w plecy. Staruszek upadł na kolana i zasłonił się ręką w obawie, że ktoś będzie chciał go uderzyć.

– Proszę mi to oddać – powiedział tylko tyle.

Usłyszałem wtedy wyraźnie jego głos, szeleszczący i piskliwy, jak u małego dziecka. To był głos, który może obudzić w oprawcy najmroczniejsze instynkty. Głos łatwej ofiary. Oznaka słabości, która zasługuje na karę. Miałem już szczerze dość patrzenia na ten przygnębiający spektakl. Podjechałem bliżej, nie schodząc z roweru pochyliłem się, podniosłem z ziemi piłkę i rzuciłem nią najbliższemu stojącemu chłopcu w twarz. Trafiała go w nos. Chrupnęła chrząstka. Nigdy nie przepadałem za dziećmi i nie cackałem się z nimi. Mały otarł usta dłonią i kiedy zobaczył czerwień na swoich palcach, zbladł i zaczął płakać. Któryś z kamratów wziął go pod pachę, jak żołnierza rannego na polu walki, i rzucili się do odwrotu, pokrzykując coś o ich silnym tacie i że pożałują, że się urodziłem. Położyłem rower na ziemi, podszedłem do staruszka i pomogłem mu wstać. Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego jego twarz z daleka wydała mi się dziwna. Nos mężczyzny był złamany na prawo i krzywo zrosnięty. Brakowało mu też kawałka prawego ucha. Spojrzałem w dół. Skóra na jego kolanie była zdarta do mięsa. Krew wąskimi strużkami ściekała po jego bladej nodze i wsiąkała w skarpetkę. Nieopodal leżała gazeta. Schyliłem się i podałem mu ją, a on uśmiechnął się do mnie niepewnie.

– Dziękuję – wyseplenił.

– Proszę – odparłem, wchodząc na rower i szykując się do odjazdu.

– Czy pan może... – staruszek zaczął mówić, ale widząc mój niechętny wzrok, wycofał się i zamilkł.

Nie podobało mi się współczucie, które nieświadomie wywoływał. A mimo to uległem mu.

– No, słucham – powiedziałem niecierpliwie.

– Czy pan może widział tego człowieka? – mówiąc to, podsunął mi pod nos gazetę.

Periodyk był mocno pozółkły, a zdjęcia w środku czarno-białe. Wyjąłem z kieszeni etui i włożyłem okulary. Jedna z fotografii przedstawiała dobrze zbudowanego, mniej więcej trzydziestoletniego blondyna. Mężczyzna uśmiechał się szeroko i patrzył prosto w obiektyw. Miał duże, równe zęby, trochę szpiczaste uszy, a jego spojrzenie i mimika zdradzały zdrową żywotność i dużą pewność siebie. Tytuł artykułu brzmiał: *Gdzie jest Adam Bartoszewicz?* Rzuciłem okiem na tytuł i datę wydania. „Wieczór Wrocławia”, siódmy sierpnia osiemdziesiątego piątego roku. Spojrzałem na dziadka.

– Kto to jest Adam Bartosiewicz?

– To jest... To jest mój przyjaciel – odparł.

– Dawno zaginął? – zapytałem, licząc, że może spojrzy na datę i otrzeźwi nieco swój zamglony umysł.

Dziadek dumiał chwilę, masując skroń brudnymi palcami.

– Nie wiem, nie mam... – wskazał swoją głowę – ...nie mam dobrej pamięci do dat. Dawno albo niedawno – ciągnął w roztargnieniu. – Czy to ważne? Ważne, że był i gdzieś zniknął i nikt nie wie, gdzie teraz jest ani co się z nim dzieje. – Spojrzał na mnie wzrokiem pełnym nadziei. – Pan go być może widział?

– Nie. Przykro mi. Nie widziałem.

Dziadek pokiwał tylko głową, najwidoczniej przyzwyczajony do takiej odpowiedzi.

– W takim razie pójdę sobie już. Dziękuję panu...

Przyglądził dłonią zmierzwiłone włosy, złożył gazetę, wepchnął ją do tylnej kieszeni spodni i posyukując z bólu, ruszył uliczką w stronę stojących w słońcu domów. Na skrzyżowaniu zatrzymał się i rozejrzał po okolicy, skubiąc brodę. Wiedziałem, że nie ma pojęcia, gdzie się znajduje ani dokąd chce iść. Pomyślałem o cukrze i o kompocie z wiśni, o Dizzym Gillespiem i o innych dobrych rzeczach, które czekały na mnie w domu. Skląłem się w duchu za swoje dobre serce, którego podszepty przynosiły mi zazwyczaj tylko rozczarowanie. Patrzyłem na niezgrabne ciało starca garbiące się w słońcu. A jeśli ktoś go szuka? Ile nocy jeszcze będzie spał na ziemi? Kiedy ostatnio jadł? Niech go szlag. Podjechałem w jego stronę. Kiedy mnie zobaczył, zaprezentował dziwny grymas, chyba coś w rodzaju uśmiechu, chociaż trudno było to stwierdzić na pewno.

– Mieszka pan w okolicy? – zapytałem, zrównując się z nim.

Potrząsnął głową. Sosnowa igła spadła mu znad ucha na kołnierzyk.

– A gdzie?

– Oj, daleko.

– Ale nie dalej niż granice miasta? Mieszka pan we Wrocławiu, tak?

Kiwnął głową.

– Odprowadzę pana. Wie pan jak się tam dostać?

– Wiem. – Jego nieobecne spojrzenie na chwilę nabrało ostrości. – Wiem – powtórzył, jakby sam siebie musiał o tym przekonać.

– Pójdę z panem. Rodzina pewnie się martwi.

– Nie trzeba... To kawał drogi.

– Mam czas – powiedziałem, starając, by nie usłyszał wyrzutu, który krył się w moim głosie.

Przypiąłem rower do czyjegós ogrodzenia i ruszyliśmy w stronę ulicy Olszewskiego, skąd kursowały tramwaje do centrum. Na niebie nie było ani jednej chmury, na ulice lał się gęsty, lepki żar. Po kilkuset metrach marszu poczułem, jak pot z pleców wlewa mi się do tyłka. Nienawidziłem tego uczucia. Rozejrzałem się, czy nikt nie patrzy, włożyłem ręce między pośladki i poszurałem o ciało majtkami. Teraz z kolei one zrobiły się mokre. Z tego piekła nie było ucieczki. Kazałem dziadkowi się zatrzymać i wszedłem do sklepu po wodę mineralną. Kiedy wychodziłem, staruszek wypytywał już kobietę z psem o mężczyznę ze zdjęcia w gazecie. Ująłem go łagodnie pod rękę,

posłałem kobiecie przepaszające spojrzenie i odeszliśmy. Na przystanku napiliśmy się wody. Patrzyłem na jego marną, upoconą i brudną sylwetkę. Pił łączywie, woda spływała mu z kącików ust po szyi. Przyszła mi do głowy pewna myśl, głupia, jak mi się po chwili wydało, ale przecież niczym nie ryzykowałem. Zapaliłem papierosa i poczęstowałem swojego towarzysza.

– Oj, nie – odparł. – Po papierosach robi mi się niedobrze.

Nie zaszkodziło spróbować. Schowałem paczkę do kieszeni.

– To dokąd jedziemy, panie Dziadku? – zapytałem, zaciągając się.

„Panie Dziadku” było serdeczne, niepozobawione szacunku i dobrze brzmiało. Postanowiłem, że od teraz będę go tak nazywał. Nie interesowało mnie jego prawdziwe imię, a przecież musiałem jakoś się do niego zwracać. Pan Dziadek znowu pokazał na swoją głowę.

– Nie umiem powiedzieć. Mylą mi się nazwy ulic. Ale jak już wsiądziemy do tramwaju, będę wiedział gdzie wysiąść.

– Do którego tramwaju?

Staruszek rozłożył ręce.

– Jak zobaczę, to panu powiem.

Staliśmy na tym koszmarnym upale, piliśmy wodę i obserwowaliśmy, jak tramwaje zatrzymują się, wypływają ludzi i odjeżdżają. Na początku za każdym razem pytałem staruszka „Czy to ten?”, ale kiedy czwarty z rzędu tramwaj zniknął nam z oczu, przestałem pytać. Zapaliłem następnego papierosa. Zaczynałem już tracić cierpliwość. Dlaczego zdecydowałem się pomóc akurat temu najbardziej schorowanemu i dziwnemu ze wszystkich dziadków? Domyślam się, że mogło to mieć jakiś związek z moim „problemem z odpuszczaniem”. To jedna ze szpitalnych diagnoz, nie wiem, na ile naukowa, a na ile prywatna. Usłyszałem ją od pani psychiatry. Tej samej, która przypisała mi tritico i symfaxin. Tak już ze mną jest, że jeśli coś postanowię, nie odpuszczę aż do końca. Nie wiem, czy to w zasadzie jest jakiś „problem”. To ona użyła tego słowa: „problem”. Sądzę, że w niektórych przypadkach takie podejście w ogóle nie jest problemem, w innych jest całkiem dobre, a w jeszcze innych, tylko ono ma sens. Pani doktor powiedziała mi też, że można nauczyć się odpuszczania, że są do tego specjalne terapie, ale niestety są kosztowne i zabierają dużo czasu. A ja miałem sześćdziesiąt pięć lat na karku i nie czułem, żebym miał „problem” z odpuszczaniem ani „dużo czasu” na cokolwiek. Niech więc w tych terapiach biorą udział ci, którzy mają problem i czas. Ja tam lubiłem swój upór. Pan Dziadek podniósł oczy, zasłaniając je ręką przed słońcem.

– O! – powiedział, po czym zrobił pauzę. – Dwójka.

Tramwaj z numerem dwa powoli wtoczył się na przystanek. Wsiadł z niego chłopiec w różowych włosach, a my wsiedliśmy. W środku było gorąco jak na saunie. Siedzenia były tak nagrzane, że nie sposób było usiąść. Kiedy złapałem uchwytu, sparzyłem się w rękę. Uchwyt po drugiej stronie były w cieniu i tam stanęliśmy z dziadkiem.

– Nie wie pan, gdzie wsiadamy, prawda? – zapytałem.

– Jeszcze nie.

Tramwaj sunął przez miasto niespiesznie, jakby wiedział, że w środku gotują się dwaj starzy ludzie, i napawał się tym w sadystyczny sposób. Małe okienka pod sufitem były uchylone. Poczulem nagłą potrzebę wystawienia przez nie twarzy do wiatru. Nie dosięgałem jednak z podłogi. W wagonie oprócz nas nikogo nie było, zdjąłem więc buty, wspiąłem się na siedzenie i wychyliłem głowę. Pan Dziadek zrobił to samo. Wyglądaliśmy jak dwa siwe psy wystawiające pyski przez szybę auta. Minęliśmy ZOO, a potem szpital uniwersytecki, Halę Stulecia, urząd wojewódzki i dworzec główny. Minęliśmy ulice Wielką, Sztabową i Hallera, a dziadek wciąż nie kwapił się do wyjścia.

– Daleko jeszcze? – zapytałem bez żadnej nadziei.

Wyciągnął szyję i spojrzeniem fachowego topografa zbadał krajobraz za oknem.

– Nie. Już blisko.

Nie uwierzyłem mu. Pragnąłem, żeby nasza wspólna przygoda jak najszybciej dobiegła końca. Martwiła mnie tylko myśl o powrocie tą samą drogą w tym cholernym skwarze. Wyszliśmy na ostatnim przystanku. Nie byłem pewien, czy to część planu dziadka, czy też po prostu wysiadł, bo tramwaj nie jechał już dalej. Teraz już tylko szedłem za nim, nie mając sił ani ochoty pytać go o cokolwiek. Prawa noga powoli zaczynała mi o sobie przypominać. Stęknąłem. Przeszliśmy jeszcze kilkaset metrów Aleją Karkonoską i skręciliśmy w ulicę Przyjaźni. Pan Dziadek zatrzymał się pod cudacznym, modernistycznym blokiem na planie walca, o różnobarwnej, pastelowej elewacji poprzecinanej pasami żółtych balkonów. Podeszedł do drzwi i z wprawą, o którą go nie posądzałem, wpisał na klawiaturze długi ciąg cyfr. Drzwi zabrzęczały i weszliśmy na klatkę schodową, a potem do windy.

ROZDZIAŁ 4

– Ktoś będzie w domu? Ma plan klucza? – dopytywałem, kiedy stara winda dudniąc, wiozła nas w górę.

– Nie wiem.

Stanęliśmy na ostatnim piętrze. Wyszliśmy na korytarz. Spojrzałem przez brudną szybę na obłany słońcem skwer i pusty plac zabaw. Staruszek podszedł do drzwi na końcu korytarza, a ja stanąłem za nim. Po chwili usłyszeliśmy cmokanie bosych stóp na parkiecie i w drzwiach stanęła chuda dziewczynka ubrana jedynie w czarne majtki. Mogła mieć nie więcej niż siedem lat. Jej ciemne włosy ostrzyżone były krótko i nierówno przy samej skórze. Na widok staruszka zafrasowała się nieco. Przez długą chwilę w milczeniu taksowała nas swoimi dużymi, czarnymi jak węgle oczami, wychylając się zza wpółotwartych drzwi. W końcu otworzyła je szeroko i cofnęła się do ciemnego przedpokoju. Dziadek bez wahania wszedł za nią i zniknął mi z oczu. Przez moment wahałem się: staruszek został odeskortowany, mogłem więc zakończyć moją podróż, zjechać widną na dół, wyjść na ulicę i wrócić do swoich spraw. Jednak przecucie podpowiadało mi, że to jeszcze nie koniec. Coś było nie tak. Kim była ta dziwna, ogolona dziewczynka i dlaczego przyjęła pojawienie się dziadka tak obojętnie? Najchętniej wyszedłbym stąd i miałbym to już za sobą, ale upór nakazywał mi sprawdzić czy Pan Dziadek naprawdę jest już bezpieczny. Niechętnie wszedłem do przedpokoju, włożyłem okulary i rozejrzałem się. Długie pomieszczenie tonęło w czerniach i szarościach, rozjaśnione gdzieś słabym światłem przedostającym się zza pochylanych drzwi. Stąpając uważnie, żeby się o nic nie potknąć, doszedłem do pierwszych z nich i otworzyłem je szerzej. Nie znalazłem tam ani dziadka, ani dziewczynki, za to na kuchennym blacie siedział biały szczur o czerwonych oczkach. Był zajęty pochłanianiem rozrzuconych wokół niego obierków. Kiedy mnie zobaczył, obrócił się grzbietem, nie wypuszczając skórki kartofla z łapek, jakby się bał, że mu ją zabiorę. Poszedłem dalej. Kolejny pokój był ciasny jak schowek na miotły i pozbawiony okien. Na środku leżała poduszka i koc. Ktokolwiek tu mieszkał, z pewnością nie przepadał za wygodami. Między lampą a materacem znalazłem Biblię gęsto poprzątaną zakładkami. Zapaliłem lampkę, podniosłem biblię do światła i otworzyłem na pierwszej zakładce. Przeczytałem szeptem zakreślony ołówkiem fragment:

Wielu zaś, co posnęli w prochu ziemi, zbudzi się: jedni do wiecznego życia, drudzy ku hańbie, ku wiecznej odrazie³.

Przerzuciłem strony do kolejnej zakładki.

Mówili też żeglarze jeden do drugiego: Chodźcie, rzućmy losy, a dowiemy się, z powodu kogo to właśnie nieszczęście spadło na nas. I rzucili losy, a los padł na Jonasza⁴.

Poprawiłem okulary na nosie. W korytarzu rozległo się ciche skrobanie. Podniosłem oczy nad Biblię i ujrzałem białego szczura patrzącego wprost na mnie. Zwierze pisnęło, zastrzygło wąsikami i potruchtowało dalej. Odłożyłem Biblię, zgasłem światło i poszedłem za nim. Minąłem łazienkę, gdzie w zatkanym zlewie na powierzchni wody kręciły się gęste pukle czarnych włosów. Koniec

korytarza rozgałęział się na dwa wejścia. Między nimi siedziała ogolona dziewczynka. Głaskała szczurka, który rozciągnął się na jej udzie z łapkami wiszącymi swobodnie w powietrzu, jakby leżał brzuchem na gałęzi drzewa. Pokój po prawej był jaśniejszy niż reszta mieszkania, ponieważ tylko w nim paliło się światło. Wszedłem do środka. Wnętrze sprawiało wrażenie ogromnej damskiej garderoby po trzęsieniu ziemi. Znalazłem się w bezładnej płataninie spódniczek, bluzek, staników i majtek. Na parapecie, za lekko odsuniętą zasłoną stały doniczki z uschniętymi kwiatami. Pomiędzy częściami garderoby walały się butelki i popielniczki, w których niedopałki oznaczone były malinową pieczętką ze szminki. Dopiero po dłuższej obserwacji zorientowałem się, że właściciel pokoju też już w nim był. Pod ścianą, w kłębowisku ubrań spała postawna kobieta w beżowej bluzce ubrudzonej winem. Blond włosy posklejane w strąki zasłaniały jej twarz. Ich końcówki unosiły się wraz z każdym jej oddechem w miejscu, gdzie znajdowały się usta. Po cichu wyszedłem na korytarz. W progu ostatniego pokoju stał Dziadek. Prawą ręką drapał się po uchu i nie mrugając, z miną pełną żalu i bezsilności przyglądał się czemuś, czego ja nie mogłem widzieć, dopóki nie stanąłem obok niego. Najpierw nad jego ramieniem zobaczyłem oprawione w złotą ramkę zdjęcie przedstawiających rodziców z córką. Dziewczynka trzymała w ręku lizaka, była pulchna i miała blond kędziorki jak kobieta, która spała teraz pijana za ścianą. Jej matka, podobna do niej jak kropla wody, miała na sobie kwiecistą sukienkę i smutnym wzrokiem patrzyła w obiektyw. Za rękę trzymał ją dobrze zbudowany mężczyzna o wilczym uśmiechu i lekko szpiczastych uszach. Rozpoznałem w nim człowieka z gazety Pana Dziadka. Stanąłem za staruszką i spojrzałem przez jego drugie ramię. W pokoju stały trzy łóżka z kompletami białej pościeli. Na ostatnim leżała młoda dziewczyna ostrzyżona na krótko. Jej nos i usta zasłaniała przezroczysta maska, na której co chwilę pojawiała się i znikła biała mgiełka. W jej odsłoniętym ramieniu powyżej nadgarstka, pośrodku ciemnego siniaka tkwił wenflon z rurką prowadzącą do kroplówki. Na krześle obok łóżka tak samo ubrana i ogolona dziewczyna trzymała ją za rękę. Z oczami zamkniętymi jakby spała, nuciła cicho jakąś smutną melodię. Musiały to być siostry. Wszystkie trzy, łącznie z dziewczynką ze szcurem, były do siebie bardzo podobne. Smukła budowa ciała tej, która nuciła piosenkę, i jej surowa koścista twarz wskazywały, że jest najstarsza. Dziewczyna w śpiączce była jeszcze nastolatką. Stojący przy łóżku elektrokardiogram co jakiś czas od niechcenia wypluwał z siebie ciche piknięcie. Nie wiem jak długo tam staliśmy wpatrzni w tę przedziwną piętę. W końcu dziadek przełknął głośno ślinę i odchrząknął, żeby coś powiedzieć. Dziewczyna przestała nucić i otworzyła oczy. Na widok staruszka jej czoło spochmurniało, a źrenice błysnęły jak czubek noża. Teraz byłem już niemal pewien, że starszy pan wcale tu nie mieszka i, co więcej, nie jest tu mile widziany. Rysy dziewczyny tężały coraz mocniej, a usta rozchyliły się złowroźnie, jakby miało z nich zaraz wypaść tornado albo szarańcza.

– Co pan tu robi? – zapytała lodowato i puściła rękę siostry, a ta bezwładnie opadła na białą koldrę.

– Czy już coś wiadomo? – wyseplenił starzec, uciekając spłoszonym wzrokiem przed spojrzeniem najstarszej z sióstr. – Czy on już wrócił?

Dziewczyna wstała, obeszła łóżko i stanęła na środku pokoju.

– Obiecał pan matce i ojcu, że przestanie tu przychodzić. – Dzika iskra jej oczu przeskoczyła teraz na mnie – A pan kim jest?

– Pomagam temu człowiekowi wrócić do domu – odparłem.

– To nie jest jego dom. Kto was tu wpuścił?

Milczeliśmy. Starsza siostra z impetem wyszła z pokoju i ryknęła na całe gardło:

– Kasandra!

Obróciliśmy się i zobaczyliśmy mały cień znikający w łazience. Starsza siostra dobiegła do drzwi, otworzyła je i krzyknęła, tym razem jednak inaczej – był to strach przemieszany z irytacją

i bezradnością.

– Coś ty zrobiła? Coś ty zrobiła z włosami?

Przerażony szczur przebiegł jej pod nogami i schronił się w kuchni. Po chwili z łazienki wybiegła Kasandra i dołączyła do niego.

– To nie są żarty! – wołała za nią siostra. – To nie jest zabawa, słyszysz?

Wtargnęła za nią do kuchni.

– I nie chcę tu więcej widzieć tego ścierwa!

Usłyszeliśmy dźwięk szamotaniny i spadający talerz, a potem przerażony pisk szczura i otwieranie okna. Kasandra płacząc, wybiegła z kuchni, otworzyła drzwi do mieszkania i puściła się biegiem po schodach.

– Mała naprawdę nazywa się Kasandra? – zapytałem dziadka.

Siostra wyszła z łazienki i zobaczyła, że nadal stoimy w przedpokoju.

– Co tu jeszcze robicie?

– Nie wiem, dokąd mamy pójść – odparłem. – Ten człowiek nie wie, gdzie mieszka.

Dziewczyna fuknęła z pogardą, wyjęła z kieszeni telefon i wybrała numer. Po chwili przymknęła za sobą drzwi kuchni i ściszyła głos. Słyszałem, jak mówi: „Pani ojciec... nachodzi... zabrać... wezwę policję”. Po krótkiej rozmowie wyszła z łazienki, stanęła przy drzwiach, których nie domknęła Kasandra, i czekała niecierpliwie, aż wyjdziemy. Kiedy ją mijalem, wyjęła coś z tylnej kieszeni i postawiła na podłodze. To był szczur. Rozejrzał się niepewnie i wbiegł po szafę. Spojrzałem na nią zdumiony, a ona wyzywająco uniosła brew, podczas gdy reszta jej twarzy pozostawała nieruchoma jak u woskowej figury. Kiedy drzwi trzasnęły za naszymi plecami, zrobiło się jasno od słońca bijącego w okna, w alejkach pod blokiem rozległy się dźwięki kroków i rozmów, a ja wziąłem głęboki wdech, jakbym wynurzył z wody się po bardzo długim nurkowaniu. Jadąc windą, w zamyśleniu przyglądałem się swojemu odbiciu w pobazgranym lustrze. Moja lewa powieka drżała nieustannie.

– Ktoś po pana przyjedzie, tak? – zapytałem dziadka.

– Moja córka – skinął głową. Był roztrzęsiony.

Słońce nadal paliło niemiłosiernie, jakby uparło się, że tego dnia usmaży nas na wiór. Pan Dziadek pokazał ręką na parującą w oddali ulicę na znak, że mamy tam iść. Kiedy wyszliśmy z za rogu, zobaczyłem Kasandrę. Ocierając mokre policzki i ciągnąc nosem, brodziła w nieskoszonej trawie w poszukiwaniu szczura. Poprosiłem Dziadka, żeby na mnie poczekał, i podszedłem do niej. Podniosła głowę, mrużąc oczy od słońca. Stanąłem tak, by mogła schować się w moim cieniu, i powiedziałem:

– Twój szczur jest na górze. Twoja siostra tylko tak żartowała.

Dziewczyna pokręciła głową, dotknęła swojego ucha i położyła sobie palec na ustach. Uniosłem górne wargi, pokazując zęby i pomachałem w powietrzu rozczapierzonymi palcami, jakbym coś drapał, a potem wskazałem na okno budynku. Następnie pokazałem na swoje oczy i położyłem sobie rękę na sercu na znak, że mówię prawdę. Dziewczynka uśmiechnęła się.

– Kasandra – powiedziałem, wyraźnie poruszając ustami i pokazując na nią – Naprawdę się tak nazywasz?

Dziewczynka pokręciła głową.

– To dlaczego twoja siostra tak się do ciebie zwraca?

Mała westchnęła i przewróciła oczami. Pojąłem: trudno było to wyjaśnić bez użycia głosu. Kiedy już miałem odejść, popatrzyła na mnie przenikliwie i pokiwała mi palcem.

– A to czemu? – zapytałem rozbawiony. – Zrobiłem coś złego?

Pokiwała głową, dotknęła jej i wycelowała we mnie palec. To chyba miało znaczyć, że wiem, o co jej chodzi. Machnąłem jej na pożegnanie i odszedłem. Dogoniłem Dziadka, który widocznie

znudził się czekaniem i samodzielnie doszedł do drogi. Stanęliśmy w cieniu orzecha, wypiliśmy resztkę wody, a ja zapaliłem papierosa. Byliśmy na dworze od zaledwie kilku minut, a moja koszula już zrobiła się całkowicie mokra od potu. Poczułem jak okładka *Życia snem* w wewnętrznej kieszeni przykleja mi się do piersi. Córka Pana Dziadka zjawiała się po upływie pół godziny. Niska, mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta w tlenionych włosach, z dużym nosem i głębokimi zmarszczkami na szyi i spoconym dekolcie. Rzuciła się Panu Dziadkowi na szyję, jakby wciąż była jego małą córeczką.

– Nie rób mi tego więcej – skarciła go, wciąż przytulając. – Prawie dostałam zawału.

Kiedy dostrzegła mnie, uśmiechnęła się uśmiechem spracowanego i zmęczonego człowieka, który pewnie mógłby uśmiechnąć się szerzej, ale najzwyczajniej w świecie brak mu na to energii.

– Pan tak chodzi za nim przez cały dzień?

Kiwnąłem głową. Kobieta nieoczekiwanie objęła też mnie. Cofnąłem się. Ona także zrobiła krok do tyłu i lekko zażenowana popatrzyła gdzieś na bok.

– Przepraszam – wymamrotała. – Bywam przesadnie emocjonalna.

– Nie szkodzi. Po prostu nie jestem przyzwyczajony... Nic się nie stało.

Jej zażenowanie momentalnie zniknęło.

– Jestem panu ogromnie wdzięczna – szybko zapomniała o mojej niechęci do dotykania, delikatnie ujęła mnie pod ramię i odeszliśmy na stronę. – Wie pan, to mogą być jego ostatnie dni – ściszyła głos i oboje spojrzeliśmy na Dziadka. Stał wyprostowany pod orzechem i patrzył bezmyślnie na przejeżdżające samochody. – Tato umiera. I ma zaawansowaną demencję. W domu starców okropnie się męczy, wciąż stamtąd ucieka. Pomyślałam, że będzie mu lepiej, jak weźmiemy go do siebie, ale on nadal łązi swoimi drogami jak stary kot. Dziękuję, że się pan nim zaopiekował.

– Nie ma o czym mówić – odparłem.

– Jeżeli mogę się panu jakoś odwdziaczyć...

Chciałem już się pożegnać i wrócić do kompotu z wiśni i Dizy'ego Gillespy'ego, ale coś przyszło mi do głowy.

– Może pani zaspokoić moją ciekawość? – zapytałem. – Pani ojciec zaprowadził mnie do bardzo dziwnego miejsca. Powiedział, że tam mieszka. – Wskazałem ręką kolorowy budynek. – W środku byli dziwni ludzie. Atmosfera była raczej... przygnębiająca. Zna pani to miejsce?

Kobieta nabrała powietrza w płuca i kiwnęła lekko głową na znak, że w zamian za moje zasługi może mi o tym powiedzieć.

– Może zacznę od tego, że mój tato był policjantem – powiedziała. – To było bardzo dawno temu. Prowadził sprawę zaginięcia ojca Alicji Bartoszewicz, czyli tej kobiety, w której mieszkaniu właśnie byliście. Adama Bartoszewicza nigdy nie odnaleziono, a mój ojciec szukał go jeszcze długo po zamknięciu sprawy. To zaginięcie odcisnęło na jego psychice tak głębokie piętno, że nigdy nie przestał myśleć o tym człowieku. Nawet teraz, kiedy z jego mózgu już niewiele pozostało, nadal miewa przebłyski, by odszukać Adama Bartoszewicza. To jest jego obsesja. Chociaż teraz już ledwo co kojarzy. Czasami twierdzi, że to jego przyjaciel, innym razem, że krewny, a jeszcze kiedy indziej w ogóle zapomina, że go szuka. Wtedy jest najlepiej, bo mamy święty spokój. – Uniosła kącik ust w jakimś trudno zauważalnym uśmiechu. – Jeszcze rzadziej, ale to już naprawdę rzadko – mówiła dalej – wracają do niego wszystkie wspomnienia i znów jest tym młodym policjantem z dawnych lat i prowadzi śledztwo. Ma wtedy mnóstwo sił, jest bystry i żywotny, jakby cofnął się w czasie, rozpiera go chęć do działania. Nie muszę panu tłumaczyć, że jest to dla nas niełatwy okres... – Spojrzała, że w zamyśleniu wpatruję się gdzieś w dal i żeby wyrwać mnie z otępienia, ucięła swoją opowieść słowami: – No, i taka to historia.

Otrząsnąłem się i kiwnąłem głową.

– A dziewczynki? – zapytałem trochę jeszcze nieobecny.
– Straszna historia. Aurelia wpadła pod samochód i od dwóch lat jest w śpiączce.
– O matko. To okropne. Biedne dziecko.
– Na pewno nie pomaga im to, że ich ojczym jest religijnym oszołomem. Ma świra na punkcie proroka Jonasza. Twierdzi, że śpiączka to sprawdzian, który można zdać przepraszając Boga za swoje grzechy. A jakie ona niby miała grzechy, żeby bóg ją tak pokarał? I jak może go przeprosić, skoro jest nieświadoma?

– No ładnie – pokręciłem z niedowierzaniem głową. – Religijny oszołom, mówi pani?
– Były ksiądz – odparła, nie starając się ukryć złośliwego uśmiechu.
– A wie pani, że najmłodszą dziewczynkę nazwali Kasandra? Nietypowe imię dla dziecka...
– Katarzyna Sandra. To po prostu połączenie dwóch imion. – Kobieta przewróciła oczami. – Proszę tak na mnie nie patrzeć. To przecież nie mój pomysł.

Potrząsnąłem głową i uśmiechnąłem się lekko. Byliśmy kwita.
– Dziękuję, że mi to pani opowiedziała. Najważniejsze, że pani ojciec jest już bezpieczny. W takim razie pójdę już.

– Proszę zaczekać. Będę dzwonić po taksówkę. Podwieziemy pana. W ramach podziękowań.
– Nie trzeba – odpowiedziałem. – Przejdę się.

Kobieta jeszcze raz mi podziękowała. Kiwnąłem na dowidzenia Dziadkowi, a on przyłożył sobie rękę do skroni jakby salutował. Kiedy odchodziłem, usłyszałem jeszcze, jak jego córka podaje dyspozytorce adres. Zdjąłem koszulę, pozostając jedynie w samym podkoszulku, przerzuciłem ją przez ramię i ruszyłem przed siebie. W głębokim zamyśleniu doszedłem do skrzyżowania i stanąłem przed wystawą apteki. Moja powieka wciąż drżała. Kupiłem w aptece magnez w tabletkach i poszedłem na przystanek. Kiedy usiadłem, poczułem na skórze pierwszy od rana powiew wiatru. Co za ulga.

³ Biblia Tysiąclecia Pismo Świète, wydanie 1, Dan. 12:2, Wydawnictwo Pallottinum 1965.

⁴ Tamże, Księga Jonasza 1,7-9.

ROZDZIAŁ 5

Było jeszcze ciemno, kiedy na drutach między moim domem a domem Laury przysiadła jaskółka. Zaświergotała krótko i zaraz odleciała. Zorientowałem się, że wcale nie śpię. Siedziałem na podłodze w przeпоconym podkoszulku i bokserkach i patrzyłem w okno. W mojej głowie panowała całkowita pustka. Jak długo tu siedzę? Ile minęło minut? A może godzin? Albo dni? Czy w ogóle spałem? Myśli pojawiały się i od razu przepadały jak krople deszczu spadające na jezioro. Piekły mnie dłonie. Obejrzałem je z bliska. Pęcherze i zdarta skóra. I kurz. Kurz i czerwony pyłek, jakby z tłuczonej cegły, na ubraniu, na rękach, stopach i we włosach. Co robiłem? Oczy szczypały mnie od braku snu, a nogi zdrętwiały od siedzenia po turecku. Z parteru dobiegała muzyka. Uświadomiłem sobie, że słyszę ją już od dłuższego czasu. Receptory w moim ciele odbierały bodźce prawidłowo, ale połączenia nerwowe miały problem z przekazywaniem ich mózgowi. Docierały tam z dużym opóźnieniem, przymglone, rozlazłe i nieostre. Ta muzyka, ta płyta, kojarzyłem je bardzo dobrze, ale nie umiałem ich nazwać. Tytuły utworów, główny wykonawca, muzycy, których znałem z imion i nazwisk, pochowali się poza granice mojej pamięci. Umiałem tylko powiedzieć, a raczej pomyśleć, że to z całą pewnością jazz. Przede mną na wykładzinie stała wypita do połowy butelka piwa. Atawizmy wyprzedzały rozsądek: zanim jeszcze pomyślałem, że jest za wcześnie (a może za późno?), by pić alkohol, moja ręka podniosła już butelkę do ust, a wyschnięte gardło z radością przyjęło jej zawartość. Zaszumiało mi w głowie i od razu poczułem się pijany, co po tak skromnej ilości alkoholu było przecież absurdalne. Ta reakcja podsunęła mi rozwiązanie kolejnej z wielu zagadek związanych z tym, co robiłem, zanim się ocknąłem: otóż na pewno się upiłem. A i owszem. Suchość w gardle, szybkie odnowienie się stanu upojenia po niewielkiej dawce alkoholu, mglistość myśli. Zaburzenia percepcji, reakcji i pamięci, nudności, zawroty głowy i uderzenia gorąca. Uchlałem się w sztok, kapitanie, co do tego nie ma wątpliwości. Ale dlaczego to zrobiłem? Przecież z tak zwanym piciem przez duże P łączyły mnie już od dawna wyłącznie wspomnienia. Czułem, że prędzej czy później na to wpadnę, musiałem tylko wziąć się w garść i przeprowadzić małe śledztwo. Podniosłem się z podłogi i przytrzymując framugi, podreptałem trochę w lewo i trochę w prawo, żeby krew napłynęła do stężonych stóp. W miarę jak schodziłem po schodach i zbliżałem się do kuchni, elementy układanki usłużnie wskakiwały na swoje miejsca. Puste butelki po piwie na podłodze i stole potwierdzały to, co już wiedziałem: było pite. Z nowych rzeczy natomiast dowiedziałem się, że paliłem w domu, czego stanowczo sobie zabroniłem i przykazania tego trzymałem się przez długie lata. Niedopałki walały się pod nogami, a smród dymu, który wciąż unosił się w powietrzu, był tak ostry i drażniący, że zwymiotowałem w rogu kuchni. Okazało się też, że piłem wódkę, a tego nie robiłem już od dwudziestu lat. Przy okazji rozwiązała się także zagadka muzyczna: otóż w gramofonie obracała się płyta Davisa *Kind of blue*. Nie potrafiłem sobie wytłumaczyć tego wyboru, ale chyba musiałem być w tragicznie podłym nastroju. *Kind of blue* zawsze działała na mnie przygnębiająco i przy swoich skłonnościach do depresji wolałem na własne życzenie nie zapraszać do siebie takich emocji. Teraz jednakże Miles, Coltrane, Cobb, Chambers, Kelly, Evans i Adderley piłowali w mojej kuchni najsmutniejsze dźwięki na Ziemi, a ja jakoś wcale nie miałem ochoty im w tym przeszkadzać. Miles właśnie grał wstęp do *Blue in green*. Usiadłem na podłodze obok własnych wymiocin. Wepchnąłem sobie do ust

papierosa, ale zapomniałem go odpalić i tak doczekałem do końca tej najsmutniejszej i jednocześnie najpiękniejszej w moim prywatnym rankingu najsmutniejszych i najpiękniejszych ballad jazzowych. Kiedy wybrzmiała i zgasła ostatnia nuta pianina, moje oczy były mokre. Otarłem policzki wierzchem dłoni i wstałem. Kolejna zagadka. Po lekach, które biorę, nie da się płakać. Inhibitory wychwytu zwrotnego serotoniny doszczętnie zduszają każdy przejaw wrażliwości. Dobrze się po nich funkcjonuje i świetnie śpi, ale płacimy także i pewną cenę. Pierwszą ofiarą leków pada libido, o którym już wspominałem. Następnie pod mur idą skrajne emocje – głównie rozpacz, ale niestety również zachwyty. Bezdenna melancholia, ale też euforia. Zostają rozstrzelane parami. Człowiek zaczyna czuć się jak wzmacniacz gitarowy, w którym zdjęto całkiem *treble* i *bass* i zostawiono samo *middle*. Samo środkowe pasmo bez wysokich i niskich rejestrów. A jednak teraz, gdy siedziałem obok własnych rzygowin z nieodpalonym papierosem w ustach i słuchałem *Blue in green*, owładnęło mną wzruszenie tak silne, że mógłbym przysiąc, czułem je każdą komórką mojego ciała. Rozwiązanie tej zagadki przyniosło ze sobą także odpowiedź na jedno z pierwszych pytań, które zadałem sobie po zaraz ocknięciu: „Jak długo piłem?”. Pod petami i niedojedzoną kolacją znalazłem blister symfaxinu. Każde perforowane miejsce, pod którym tkwiła pigułka, było podpisane datą – ten prosty zabieg miał mi pomóc nie zapomnieć ani nie dublować dawek: jedna pigułka na każdy dzień. Na podstawie liczby pigułek w blistrze łatwo obliczyłem, że moja psychotyczna libacja trwała od sześciu dni, a co za tym idzie, od tyłu właśnie dni nie brałem leków. Piątek. Dzisiaj też jest piątek ale nie ten, w którym spotkałem Pana Dziadka, tylko już następny. No właśnie... Dziadek. Dziadek, Dziadek, Dziadek... Upał, tramwaj, dziwne mieszkanie, biały szczur, dziewczyna w śpiączce. Wspomnienia zakurzone i ciemne, jakbym oglądał je zza brudnej moskitiery. Z jednej strony wydawało mi się, że to było wczoraj, a z drugiej, że minęły całe lata. Nie umiałem sobie tego uporządkować. Zresztą to był zły czas i zły stan na porządkowanie czegokolwiek. Obiecałem sobie, że powrócę do tego wątku, kiedy się porządnie wyśpię i wytrzeźwieję. Znalazłem na stole suchą bułkę, pożarłem ją, wziąłem symfaxin, wyłączyłem muzykę i wróciłem do łóżka. Kiedy się obudziłem, była już noc. Za oknami huczał wiatr. Leżałem z otwartymi oczami i nasłuchiwałem, jak kołysze drzewami, łamie gałęzie i szamocze ogrodzeniami. Zawsze lubiłem nocne wichury. Uspokajał mnie szum drzew i pewność, że tu, w czterech ścianach, jestem całkowicie bezpieczny. Musiało to we mnie pozostać z okresu, kiedy żyłem w brzuchu mamy. Uklęknąłem na łóżku i przystawiłem twarz do szyby. Patrzyłem, jak wiatr huśta latarniami, jak ich świetlne kręgi przesuwały się względem siebie po chodniku. Nagle coś walnęło w okno. Odskokczyłem. Drgające skrzydełko i rozdwojony ogon zsunęły się po szkle. Jaskółka klapnęła na parapet. Po chwili strącił ją mocniejszy podmuch wiatru. Poczulem mimowolne drżenie palców i złapałem się za dłoń. Wyszedłem na korytarz i wymacałem włącznik światła na schodach. Żarówka zapaliła się, po czym zgasła, z trzaskiem wypluwając dwie czerwone iskry. Zacząłem schodzić po omacku. Kiedy byłem w połowie schodów, zadzwonił dzwonek do drzwi. Zamarłem. Od trzydziestu sześciu lat nikt tego dzwonka nie używał. Przeciągly, metaliczny brzęk wypełnił powietrze i momentalnie przywołał duchy jakiegoś starego, innego życia. Życia, które wydarzyło się tak dawno, że zapomniałem już, że było moje. Życia, w którym byli moi rodzice i mój brat, i goście, i przyjaciele. Życia, w którym dzwonek obwieszczał radosne przybycie naszych bliskich. Życia, którego już nie ma. Zszedłem na parter i przez wąski przedpokój zobaczyłem w szybie drzwi wejściowych zarys głowy i ramion. Podeszedłem bliżej. Przed domem stał Pan Dziadek. Poznałem go od razu, chociaż wyglądał jakoś inaczej. Był starannie ostrzyżony i uczesany. Miał na sobie ciemną, wyprasowaną koszulę z kołnierzykiem i modną, miejską torbę na ramieniu. Jego twarz nie zdradzała śladów zagubienia. Miał ostre i konsekwentne spojrzenie, a wąskie okulary w cienkich oprawkach wzmacniały jeszcze to wrażenie. Nie zdążyłem spojrzeć na zegarek, ale była to z pewnością zbyt późna pora na odwiedzin. Mimo to otworzyłem.

– Dobry wieczór – powiedział Pan Dziadek. Miał silny, pewny siebie głos. Już nie dziażdżał i nie seplenił. – Mam nadzieję, że nie przychodzę zbyt późno.

– O co chodzi? – zapytałem jeszcze nie do końca obudzony.

– Czy pan to Jan Brzozowski?

– A dlaczego pan pyta?

Czułem się absurdalnie, rozmawiając z odmłodzonym i pewnym siebie alter ego człowieka, który jeszcze tydzień temu dał się pobić dzieciom i nie znał swojego adresu.

– Bo jeśli to pan, to mam coś, co do pana należy – mówiąc to, machnął mi przed nosem cienką książeczką.

Było zbyt ciemno, żebym mógł przeczytać tytuł, ale i bez tego wiedziałem, co mój nocny gość trzyma w dłoni. Na pierwszej stronie *Życia snem* zapisałem moje dane adresowe na wypadek, gdybym ją zgubił.

– Skąd pan to ma? – zapytałem.

– Moja córka znalazła ją na chodniku. Wypadła jakiemuś starszemu facetowi z koszuli. Nie zorientowała się od razu, a po chwili było już za późno, gość zniknął. Kojarzy pan taką sytuację? Zgubił pan coś w zeszłym tygodniu?

Kojarzyłem. Kiedy rozstawałem się z Panem Dziadkiem i jego córką, zdjąłem koszulę i przerzuciłem ją przez ramię. Byłem zmęczony. Mogłem nie zauważyć, że *Życie snem* mi wypadło.

– Pan też tam wtedy był – powiedziałem.

– Że co proszę? – Pan Dziadek uniósł sardonicznie kącik ust.

– Był pan tam ze mną.

– Co pan mi tu opowiada, panie Janie?

– No przecież był pan. Stał pod orzechem i gapił się na samochody.

– To niedorzeczne – prychnął. – Skąd ten pomysł?

– Zgubił się pan, a ja odprowadziłem pana do domu. Spędziłem z panem prawie cały dzień. To było w zeszły piątek.

Dziadek popatrzył na mnie, jakbym był chłystkiem, który próbuje wyciąć mu głupi kawał.

– Po co pan wymyśla takie rzeczy? To ma być zabawne?

– Czy mogę? – wyciągnąłem rękę po książkę, ale zrobił krok w tył i schował ją za plecami, tak jak jeden z dzieciaków chował przed nim gazetę.

– Może pan – odparł. – Przecież to pana własność.

– No więc... – Postąpiłem krok do przodu, ale dziadek znów się cofnął. – Nie rozumiem. – Skapitulowałem.

– Oddam ją panu, ale najpierw chciałbym z panem porozmawiać.

– Porozmawiać? O czym?

– O różnych rzeczach.

– Chciałby pan ze mną porozmawiać o różnych rzeczach?

– Zgadza się. Czy ma pan coś przeciw temu, żebym porozmawiał z panem o różnych rzeczach?

– Cóż. – Podrapałem się za uchem. – W sumie to tak. Po pierwsze jest bardzo późno i chciałbym już położyć się spać. Po drugie zachowuje się pan nieprzyjaźnie i dlatego nie mam zbyt ochoty z panem rozmawiać.

– Dlaczego pan mówi, że zachowuję się nieprzyjemnie? – obruszył się Dziadek.

– Powiedziałem: „nieprzyjaźnie”. Nieprzyjaźnie, bo nachodzi mnie pan w środku nocy. Ma pan moją rzecz i nie chce mi jej oddać. To jest nieprzyjazne zachowanie.

– Ależ ja chcę ją panu oddać.

– To proszę to zrobić, do cholery!

– Toż przecież mówię, że zrobię! Proszę tylko o chwilę rozmowy. Pięć minut. Potem oddam książkę i zostawię pana w spokoju.

– Mógłbym się na pana zwyczajnie rzucić i odebrać moją własność.

– Nie radzę. To byłaby napaść na funkcjonariusza na służbie. Poza tym znam sztuki walki. – Dziadek uniósł jedną brew na potwierdzenie powagi swoich słów.

Perspektywa szarpania się z tym szurniętym staruchem w ogóle mi się nie podobała. Z bolesną rezygnacją uznałem, że mogę mu poświęcić te zasrane pięć minut, jeśli ma to oznaczać, że odda mi książkę i się wyniesie.

– Dobrze więc – stęknąłem. – Co chce pan wiedzieć?

Starzec zbliżył się i zerknął na korytarz nad moim ramieniem.

– No... Nie zaprosi mnie pan do środka?

– Nie.

– To niezbyt uprzejme.

– Niezbyt.

– Wie pan co? – zachnął się. – Sprawia pan, że czuję się jak intruz. Czy to naprawdę powyżej pana możliwości, żeby zaprosić mnie do środka i zaproponować filiżankę herbaty!?

– Ależ pan jest intruzem! Intruzem i szantażystą!

– Aha. To świetnie. W takim razie nie chcę mieć z panem więcej do czynienia. A książkę zabieram. Nie będę się pchał tam, gdzie mnie nie chcą.

– Boże! – ryknąłem już bliski rozpacz. – No dobra, włącz pan. – Na usta cisnął mi się jeszcze cały wodosпад obelg, ale powstrzymałem się w obawie, że wariat znów się wycofa.

Pozwoliłem mu pójść za sobą do kuchni. Nie miałem na sobie spodni, w których był telefon, zegarek osobisty zostawiłem na stoliku nocnym, ale na ścianie wisiał dobrze chodzący zegar. Była pierwsza trzynaste.

– Osiemnaście po pierwszej zamknę panu te cholerne drzwi przed nosem. Zrozumiano?

– Pięć minut zupełnie mi wystarczy – odparł. Był teraz dziwnie pewny siebie i opanowany.

Wodził wzrokiem po polu bitwy, które zmajstrowałem sobie na przestrzeni ostatnich paru dób. Czubkiem buta przesunął butelkę, pochylił się nad moimi rzygowinami, obszedł stół i zatrzymał się obok schodów.

– Duża imprezka, co? – spojrzał na mnie znad okularów, które zsunął do połowy nosa.

– No – odparłem. – Duża.

– Wszyscy już poszli?

– Ależ nie, są tu. Nie widzi ich pan?

Skrzywił się. Postaliśmy tak przez chwilę, nic nie mówiąc.

– Jeszcze cztery minuty – przypomniałem mu.

– Widzę. – Dziadek zacisnął dłonie na oparciu krzesła i nachylił się nad stołem. – Jak pan się w ogóle czuje? Wszystko u pana w porządku, panie Janie?

– O tak. W życiu nie czułem się lepiej. A pan?

Dziadek stuknął paznokciem w pudełko symfaxinu.

– Od dawna pan bierze te tabletki?

– Od niedawna.

– Od jak niedawna?

– Od bardzo niedawna.

Dziadek usiadł na krześle, wyjął z torby zeszyt i coś w nim zapisał.

– Wie pan, że nie należy ich łączyć z alkoholem?

– Pierwsze słyszę – zdumiałem się pozornie.

– Znajdzie pan tę informację na ulotce.

– No widzi pan. Nie miałem o tym pojęcia. Trzy minuty.

Dziadek znów coś zapisał, po czym westchnął i spojrzął na mnie cierpliwie znad okularów.

– Panie Janie. Nie czuje się pan dobrze.

– Nie? – spróbowałem udawać zaskoczonego i kątem oka zerknąłem na zegar.

– Nie. Pan bardzo cierpi. To cierpienie jest jak... jak woda, która wlewa się do domu. Próbuje pan je zatamować lekami, alkoholem, czytaniem i plewieniem ogródka, jednak ono wciąż szuka ujścia. Jeśli pan zabije deskami wszystkie drzwi i okna, to w końcu rozpadną się ściany.

– To piękna metafora. Czy wielu macie w policji poetów?

Dziadek prawie się uśmiechnął, jednak powstrzymał się w ostatnim momencie.

– Nie. Tylko ja się tak wysławiam. Za dużo książek w życiu przeczytałem, żeby gadać jak zwyczajny pies.

– Jestem z pana bardzo dumny. Ja także lubię książki. Najbardziej tę – wskazałem na leżące obok jego ręki *Życie snem*. – Ma pan jeszcze dwie minuty, żeby mi ją oddać i stąd wyjść. Co pan o tym myśli?

– Nie chciałby pan sobie ulżyć?

– Ale w czym?

– W bólu, który podkopuje pana jak nowotwór. Być może... – dziadek podrapał się w podbródek długopisem – być może zrobił pan kiedyś coś złego i nikomu o tym nie powiedział? Może jest pan z tym sam i boi się przyznać, a ta tajemnica powoli, dzień po dniu, zatruwa pańską duszę?

– Że co? – Teraz naprawdę nie rozumiałem, o czym gada ten stary świr.

– Śmiało. Może pan mi powiedzieć.

Dziadek patrzył na mnie gotów wysłuchać mojej spowiedzi, ale ja nie miałem się z czego spowiadać. Sięgnął do torby, wyjął z niej paczkę chesterfieldów, zapalił jednego i dalej patrzył. Chesterfieldy miały przy filtrze niebieskie logo pisane gotycką czcionką.

– Myślałem, że pan nie pali – powiedziałem, odpalając swojego papierosa.

Zakaz palenia w domu diabli wzięli.

– Dlaczego pan tak myślał?

– Nie wiem. Przeczucie. Jak widać mylne.

– Jak widać mylne – powtórzył za mną. – To jak? Powie mi pan coś?

Nie powiedziałem nic. Paliliśmy, tworząc z dymu obłok pod sufitem, a zegar tykał. Zostało dziesięć sekund. Dziewięć. Osiem. Siedem...

– Być może... – odezwałem się nagle.

Dziadek odstawił papierosa od ust i zamarł w bezruchu.

– Być może to ma jakiś związek z moimi rodzicami... – zacząłem niepewnie.

Dziadek oparł łokcie o blat, a głowę na nadgarstkach i czekał.

– Wie pan. Oni zostali zamordowani. Zabiła ich buddyjska bojówka, kiedy byłem jeszcze młodym facetem. Ironia losu... Tu, na Zachodzie, żyjemy w przekonaniu, że buddyści to tacy pokojowi, mili goście, którzy plewią rzepę i przeprowadzają mrówki przez jezdnię, żeby nie przejechała ich riksha. Nic bardziej mylnego... No więc zastrzelili ich w dżungli. Buddyści. Mojego tatę i moją mamę. Nie mogłem nawet się z nimi pożegnać. Pochowano ich na miejscu, w płytkim grobie, w pośpiechu. Nigdy tak naprawdę nie przepłakałem ich śmierci. Nie przeżyłem żałoby. Umarli tak dawno i tak daleko od domu, że dziś wydaje mi się już, że ta historia w ogóle nie jest moją historią. Może przez to stałem się taki wycofany. Może przez to piję, biorę leki, nie mogę spać... Mam skurcze mięśni i krzyczę w nocy... Psychologowie mówią, że nieprzepracowana trauma...

Dziadek uderzył dłonią w stół i wstał, trzęsąc się ze złości.

– Co ty mi tu pierdolisz?! Rodzicie? Trauma? Myślisz, że jestem głupi?

Miał minę, jakby chciał mnie zabić. Zaciskał szczęki tak mocno, że aż zdziwiłem się, że nie pękały mu zęby.

– Ty gnoju! – ryknął. – Obaj wiemy, co zrobicie!

– Pięć minut minęło – odparłem. – Do widzenia. Jeśli nie wyjdiesz, wezwę policję.

– To ja jestem policja! – darł się. Był strasznie głośny.

– Byłeś. Teraz jesteś tylko starym, chorym człowiekiem.

Dziadek kopnął w krzesło, podniósł moją książkę i cisnął mi ją w twarz. Pozbierałem ją z podłogi i przekartkowałem prędko w poszukiwaniu zakładki, która była dla mnie równie ważna, jak sama książka. Była to kartka z adresówki Blaise'a, która została w mojej kieszeni po pierwszej wizycie u Ewy.

Nazywam się Blaise

Mieszkam przy Placu Uniwersyteckim 1, w pokoju 303.

Proszę przekazać mnie nocnemu stróżowi.

Dziękuję.

– Jeszcze cię dopadnę, ty skurwysynu – ciągnął stary, zarzucając torbę na ramię. – Wszyscy się dowiedzą...

– Wyjdź już z mojego domu – powiedziałem spokojnie. – Jest późno. Chciałbym się położyć.

Dziadek wyprostował się i patrzył na mnie, ale nie ruszył się z miejsca.

– Nie słyszysz? – podniosłem głos. – Idź!

Dalej stał. Nawet nie drgnął.

– Do widzenia – wyartykułowałem jeszcze głośniej i z większym naciskiem.

Nic. Obszedłem stół i stanąłem z nim twarzą w twarz. Jego spojrzenie znowu było mętne i zagubione.

– Panie Dziadku? – powiedziałem już spokojniej.

Przez chwilę uciekał wzrokiem, ale w końcu spojrzął mi w oczy. Pod lśniącą kopułą jego źrenic falował niezgłębiony czarny ocean. Dziadek znowu był bezbronnym, zdezorientowanym staruszkiem.

– Wiesz gdzie jesteś? – zapytałem. – Wiesz jak masz na imię?

Drżącą dłonią ściągnął okulary i zaczął nerwowo przecierać je skrawkiem koszuli.

– Przykro mi – bąknął, patrząc na ognik lampy odbijający się w szklach. – Nie wiem. Czy my się znamy?

Znów na mnie spojrzął. Tym razem trwało to trochę dłużej. Na czarnym oceanie pojawiła się szalupa ratunkowa. Musiał skojarzyć moją twarz, ponieważ uśmiechnął się równie niemrawo, co wtedy, kiedy uratowałem go przed bandą gówniarzy. Zapytał:

– Pan mi pomoże wrócić do domu, prawda?

– Prawda – skinąłem głową.

Stary volkswagen stał przed domem jak niedający o sobie zapomnieć wyrzut sumienia. Nie lubiłem go, a on nie lubił mnie. Nie wchodziliśmy sobie w drogę. Kupiłem ten samochód całe lata temu, żeby od czasu do czasu móc wyskoczyć nim gdzieś za miasto. Volkswagen psuł się jednak z taką częstotliwością, że moje ciepłe uczucie do niego szybko zamieniło się w zniecierpliwienie. Zniecierpliwienie przeszło w irytację, irytacja w zajadłą nienawiść, a ta na końcu ustąpiła pola czystej obojętności. Niedługo potem puste miejsce po volkswagenie zajął w moim sercu rower i to on stał się moim naczelnym środkiem transportu, podczas gdy samochód straszyl już tylko swoim postępującym zapuszczeniem, rdzewiejącą karoserią i widmem wydatków na ubezpieczenie i przeglądy. Obiecałem sobie, że sprzedam go wreszcie w cholere, ale miałem problem ze znalezieniem nabywcy, a im więcej ten rzech domagał się ode mnie czasu i uwagi, tym większy

rosł we mnie sprzeciw wobec zajmowania się jego sprawami. Żeby jednak uniknąć poczucia, że nie zrobiłem nic, przykleiłem od wewnętrznej strony szyby kartkę z informacją, że auto jest na sprzedaż. Z czasem szyba zarosła brudem, a kartka wisiała sobie w środku, niedostępna dla wzroku potencjalnych nabywców. Wszedłem z domu, trzymając w rękach zmiotkę, czyszcivo i spray do szyb. Samochód pokryty był tak grubą warstwą zlepionego kurzu, że musiałem nieźle się napocić, żeby przywrócić szybom i lusterkom ich pierwotne właściwości. Kiedy już to się udało, dla odmiany nie chciałem odpalić. Spędziłem kilka stresujących minut na kręceniu kluczykiem w stacyjce i słuchaniu suchotniczego kaszlu silnika. Zaskoczył łaskawie dopiero po dłuższej chwili i po serii obrzydliwych przekleństw i ciosów w deskę rozdzielczą. Było po drugiej w nocy, kiedy wraz z Dziadkiem usiedliśmy na skraju pionowej, wysokiej na prawie trzydzieści metrów ściany kamieniołomu w Chwałkowie. Pomachałem nogami, a dziadek zrobił to samo. Piętami obtłukiliśmy kawałek ukruszony skały i drobne kamyczki posypały się do ciemnej wody, w której odbijał się biały hak księżycy. Silny wiatr dmuchnął nagle i poszarpał nasze fryzury. Wyglądaliśmy głupio. Dziadek zaśmiał się ze mnie, a ja z niego.

– Kiedy byłem dzieckiem – odezwał się nieoczekiwanie – chodziliśmy po szkole kraść śliwki z sadu pana Jendrycza. Jako jedyny miałem własną lornetkę, więc wyznaczali mnie do stania na czatach. Raz kiedy szabrowali śliwę, zobaczyłem, że Jendrycz wcale nie śpi, jak nam się wcześniej wydawało. Siedział oparty o ścianę altany, z czapką wciśniętą głęboko na czoło, ale jednym okiem obserwował, jak moi kumple kradną jego własność. Patrzył i nie reagował. Dopiero kiedy już odchodzili, wstał powoli, otrzepał się z piachu i krzyknął „Widzę was, gówniarze!”, a chłopaki puścili się sprintem, aż się za nimi kurzyło. Myślę, że może Jendryczowi było miło, kiedy przychodziliśmy kraść jego owoce. Musiał być bardzo samotny. Dzisiaj nie ma już tych ogródków. Na ich miejscu zrobili parking dla galerii handlowej. Ale śliwa wciąż tam stoi, między przystanią na koszyki a wysepką dla autobusów. Ciekawe, że akurat jej nie wycięli, bo przecież wycięli wszystko inne.

Kiedy wracałem, również myślałem o dzieciństwie. O tym, że kiedyś wszystko było łatwe, a świat zapraszał nas, a nie przerażał. Czy jako dzieci mogliśmy podejrzewać, że to zaproszenie w pułapkę? Złudzeni tyłoma możliwościami, różnymi życiami, które mogliśmy wieść, ludźmi, którymi mogliśmy zostać, nie mieliśmy pojęcia, że przyjdzie nam wyłącznie przyglądać się tym marzeniom zza pancernego szkła i miotać się od jednych zamkniętych drzwi do drugich. Opuściłem szyby i oddychałem ciepłym, suchym wiatrem, który niósł z pola zapach ziemi i dzikich ziół. Na fotelu, na którym wcześniej siedział dziadek, leżała jego torba. Włączyłem radio i na chybił trafił przerzuciłem stacje. Mój palec zawisł nieruchomo nad pulpitem, kiedy z głośników popłynął głos Elli Fitzgerald. Pomyślałem, że dzień mógłby nigdy nie nadchodzić, a ja mógłbym tak jeździć bez końca pod czarną płachtą nieba, słuchając jazzu i rozmyślając o przeszłości.

Tuż za wjazdem do miasta volkswagen postanowił zgasnąć. Udało mi się go uruchomić jeszcze dwa razy, ale za trzecim zdechł ostatecznie. „Dobrze ci tak”, myślałem, kiedy sapiąc, pchałem go przez podwórze między starymi kamienicami. Dochodziła czwarta w nocy, a ja byłem już bardzo znużony. Dopchałem trupa pod mur obok innych samochodów i usiadłem za kierownicą. Czuję się jak balon, z którego ktoś wypuścił większość powietrza. Nie spieszyło mi się w drogę powrotną. Przez niedomknięte drzwi wpadał do auta lekki wietrzyk. Rozrzedzał smród starości, który wsiąkł w filc, plastik i tapicerkę, łaskotał mnie w ucho i przyjemnie gładził po policzku. Ze zmęczenia musiałem nie usłyszeć dźwięku kroków. Dopiero kiedy oparłem głowę o zagłówek i przesunąłem ręką po zmęczonej twarzy, zorientowałem się, że ktoś stoi przy aucie. Stara baba w białej chuście na głowie. Pomarszczona twarz i oczy osadzone głęboko w czaszce. W cieniu, pod nastroszonymi, szarymi brwiami błyskały tylko kropki światła odbijającego się na rogówkach. Przetarłem oczy w nadziei, że baba być może zniknie, ale nie znikła. Stała. I patrzyła.

– Czy mogę pani jakoś pomóc? – zapytałem nieprzytomnie.

Milczenie. Wciąż stała i wciąż patrzyła białymi kropkami poruszającymi się wewnątrz czarnych obwóddek. Na jej ramieniu usiadła jaskółka i również wlepiła we mnie swoje małe czarne oczka, jakby na komendę. Może to była sztuczka, którą baba i ptak ćwiczyli specjalnie po to, żeby robić na ludziach wrażenie.

– Pewnej nocy w domu starców – powiedziała wreszcie baba – obudziłem się przestraszony i z taką myślą, że mi się bardzo chce śliwek. Ale to tak potwornie. Nie, że jeść, nie, że głód, tylko właśnie śliwek. Zwyczajny kaprys: śliwek, soczystych i słodkich, ze skórką pękającą pod zębami przy tym pierwszym ugryzieniu. Pomyślałem sobie: „Skąd ja w środku nocy w domu starców wytrzasnę śliwki”. Dokładnie tak pomyślałem, słowo w słowo. Nie miałem żadnego pomysłu, co zrobić z tym fantem. Ubrałem się, poszedłem do kuchni i pootwieriałem wszystkie lodówki, ale żaden z pensjonariuszy nie miał śliwek. Pomarańcze, winogrona, borówki, mandarynki owszem, ale śliwek nie. I wtedy mi się przypomniało, że na parkingu pod auchanem stoi śliwa pana Jendrycza. Wymknąłem się, korzystając z tego, że nasz stróż, pan Maciej, spał jak zabity, snem mocniejszym niż wszyscy starcy w naszym domu razem wzięci. Dziwny był to wybór na stróża, ten pan Maciej z jego kamiennym snem, ale cóż, nie moja sprawa. Przeszedłem przez blokowisko, złapałem nocny autobus i wczesnym rankiem, jeszcze przed świtem, dotarłem na ten wielki pusty parking i była tam. W całej swojej okazałości, śliwa starego Jendrycza, wciśnięta między pleksiglasowy daszek, pod którym stały wózki, a niebieskie miejsca parkingowe dla inwalidów. Pień drzewa był otoczony żółtą barierką. Wspiąłem się po niej, złapałem dolnych gałęzi, wciągnąłem się wyżej i już byłem tam cały. Stałem na grubej gałęzi, jak wtedy, gdy miałem dziesięć lat, i jadłem dojrzałe, słodkie śliwki pana Jendrycza, podczas gdy pan Jendrycz już od dawna nie żył. Ale jego drzewo żyło dalej i ja tego ranka na tym drzewie też żyłem i jadłem jego śliwki, które też żyły. Dobrze było przenieść się z domu starców, gdzie śmierć jest tak okropnie bliska i tak paskudnie powszednia, do tego miejsca z dzieciństwa, w którym wszystko było takie właśnie żywe, tętniące, różne, łączenie z samym panem Jendryczem. Bo wspomnienie o nim wzmocnione przez to drzewo i śliwki też ożyło, a więc i on na tę chwilę ożył...

Baba przestała mówić. Ja patrzyłem na nią, całkowicie zdezorientowany, bezsilny, bez żadnej inwencji, bez pomysłu, co można by wtrącić, co powiedzieć, o co zapytać. Wiedziałem, że przemawia do mnie słowami Pana Dziadka i wiedziałem, że Pan Dziadek leży roztrzaskany u brzegu jeziora w kamieniołomie, ponieważ niespełna godzinę temu osobiście zepchnąłem go ze skały. Dlaczego więc baba mówiła do mnie jego słowami? W końcu znalazłem coś, o co mogłem bez wstydu zapytać, i zapytałem:

– Czy pani mi się śni?

Ale baby już nie było. Pytanie pofrunęło w ciemne podwórze i rozpląnęło wśród śmietników, piaskownic, latarni i ławek.

Lepiej, żeby ci się to śniło, stary człowieku, powiedziałem do siebie, bo jeśli widzisz takie rzeczy na jawie, to źle z tobą.

Do domu wróciłem tramwajem. Już w drodze potwornie chciało mi się pić. Przeszedłem przez sień, zrzucając marynarkę i buty, dopadłem do kranu, wypilem tyle wody, aż rozboleł mnie brzuch, usiadłem na krześle i zamrugałem powiekami. Siedziałem w bezruchu i słuchałem tykania zegara, bezmyślnie wodząc na wpół śpiącymi oczami po kuchni. Czułem, jak ciężar zmęczenia rozlewa się po mojej głowie, plecach i nogach. Wzrok znudzony bezcelową wędrówką zatrzymał się na kuchennym stole i już tam został. Ciężkie powieki zamykały się wbrew mojej woli. Co jakiś czas unosiłem je mozolnie, a te znów opadały, ukrywając mnie w cieplej, przytulnej ciemności. Otwarte oczy. Zamknięte oczy. Otwarte. Zamknięte. Otwarte. Zamknięte. Stół, ciemność. Stół, ciemność. Stół, ciemność. Skrzypienie drzwiczek. Nie ruszając głową, spojrzałem w stronę sieni.

Wąskie stalowe drzwi prowadzące do piwnicy rozchyliły się bezdźwięcznie. Zobaczyłem wynurzającą się ze szpary rękę. Chude ramię zakończone długimi palcami przyległo do ściany. Po chwili w dole drzwiczek pojawiła się też stopa. Pomacała palcami podłogę i stanęła w pewniejszej pozycji. Za nią z cienia wyłoniła się łydka, a potem reszta. W przedpokoju stał chudy, długowłosy człowiek. Z trudem oddychał. Widziałem jego wysoko unoszące się i opadające żebra, wystające kolana, łokcie i miednicę. Ruszył wolno w stronę kuchni, sunąc jedną ręką po ścianie, a drugą kreśląc łuki w powietrzu. W końcu doszedł do stołu, przy którym siedziałem, wymacał krzesło i usiadł naprzeciwko mnie. Odetchnął głęboko i boleśnie. Ten krótki dystans sprawił mu wiele wysiłku. Oczy miał otwarte, ale blade źrenice, wyglądające jak zamrożone krople wody, były nieruchome. Jego ciało, włosy i brodę pokrywał kurz zmieszany z ceglanym pyłem. W miejscach, w których brud nie kleił mu się do skóry, miał liczne strupy i blizny. Wyciągnął dłoń nad stół i przez chwilę macał czubkami palców stojące na nim przedmioty. W końcu natrafił na szklanekę wody, podniósł ją, powąchał i wypił duszkiem. Pod jego połamanymi paznokciami zasychała jeszcze świeża, błyszcząca krew.

– Oślepieś – powiedziałem.

Mężczyzna otarł usta.

– Jak się wydostałeś? – zapytałem.

Odgarnął włosy, odsłaniając lekko szpiczaste uszy. Jego pewny siebie uśmiech stracił już swój cały blask. Pomyślałem o kurzu, kilkudniowej amnezji od picia i pęcherzach na dłoniach.

ROZDZIAŁ 6

Podniosłem ze stołu okulary. Do szkieł kleiło się piwo i okruchy. Wytarłem je skrajem obrusu. Adam był tak wyczerpany, że nawet oddychanie sprawiało mu trudność, ale wolałem nie ryzykować. Wyjąłem z pawlacza dwumetrową, stalową żyłkę z pętlami na obu końcach. Przez obie pętle przewlokłem opaski zaciskowe. Jedną przypiąłem do jego kostki. Była tak chuda, że w opasce prawie skończyły się ząbki. Drugą przypiąłem do balustrady schodów. Rozejrzałem się, czy w promieniu dwóch metrów nie znajduje się nic, czego mógłby użyć do uwolnienia się. Na stole leżał ząbkowany nóż do chleba. Zabrałem go i wrzuciłem do zlewu. Słoik miodu, który mógłby rozbić, żeby przeciąć plastikową opaskę, postawiłem na parapecie po drugiej stronie kuchni. Po śladach stóp odcisniętych w rdzawoszarym kurzu podszedłem do stalowych drzwiczek, zapaliłem światło na schodach i zszedłem do piwnicy. Czuję zapach stęchłej wilgoci. Wąski przesmyk schodków kończył się niskim pomieszczeniem na planie kwadratu. Pomieszczenie było ciemne i nie posiadało własnego źródła światła: część dobiegała z lampki nad schodami, a część wpadała z ulicznej latarni przez brudne przyziemne okienko. Trzymałem tu głównie nieprzydatne starocie: komode, których miałem już nadmiar na górze, stojaki na płaszcze, bo korzystałem tylko z jednego, stary junak, do którego renowacji zbierałem się od lat, koce i pościel poupychane w worki na śmieci, książki, których miałem nigdy nie przeczytać (niemiecka encyklopedia przyrodnicza od D do F, bajki i opowiadania dla dzieci, *Wielki almanach okrętów wojennych*, *Słownik wiedzy obywatelskiej*, kilka pozycji w języku rosyjskim, którego nigdy się nie nauczyłem), oraz sztalugę, którą kupił mi ojciec. Był też przepastny kufer z rzeczami rodziców: zdjęciami, biżuterią, przyborami toaletowymi, dziennikami, książeczkami oszczędnościowymi i masą innych drobiazgów. Otworzyłem go. Na wierzchu leżał pierwszy aparat mamy. Ciekawe, co się stało z drugim. Został porzucony i rozdeptany gdzieś w dżungli? Spoczął w płytkim grobie razem z nią i tatą? A może zachował go chłopak, który do niej strzelił, i dzisiaj, już jako dorosły mężczyzna, fotografuje nim swoją żonę i dzieci? Poglaskałem palcem zaślepkę obiektywu i zamknąłem kufer. Pod ścianą naprzeciwko schodów leżała wysoka gruda zbitego tynku i roztrzaskanych cegieł. O ścianę opierał się obraz, który namalowałem jako dwunastolatek. Przedstawiał otoczony białą balustradą taras na tle włoskiego miasteczka o czerwonych dachach. Na tarasie, na pierwszym planie, namalowałem dwa charty myśliwskie; jeden siedząc, unosił czujnie pysk. Drugi warował z kufą skierowaną w tę samą stronę. Obraz zatytułowałem *Ktoś się zbliża* i podarowałem go mojemu ojcu. Powiesił go w pokoju gościnnym i na każdym przyjęciu kazał mi stawać obok niego i przemawiał do zgromadzonych: „Mój syn będzie kiedyś sławnym malarzem, a ja nigdy nie będę już musiał pracować!”. Jego przyjaciele śmiali się i serdecznie kiwali głowami, a ja byłem jednocześnie zażenowany i szczęśliwy. Po śmierci rodziców obraz zamieszkał w piwnicy wraz z resztą rzeczy, na które nie mogłem patrzeć. Teraz stał oparty o mur, a w miejscu, gdzie wisiał, od połowy wysokości ściany aż do podłogi otwierał się wąski wyłom, z którego wiało chłodne powietrze. Obok obrazu leżała metalowa latarka wojskowa i ciężki młot budowlany. Rozprostowałem i zgąłem palce. Pęcherze i przetarcia zapiekły. To dlatego tak długo piłem. Pierwszy sierpnia. Tego dnia miałem go uwolnić. Nie umiałem tego zrobić na trzeźwo. Musiałem się znieczulić. Może trochę przesadziłem z tą ilością, ale to nieważne... Teraz miałem wszystko pod

kontrolą. Podniosłem z ziemi latarkę, przetarłem szkiełko z kurzu i powoli zacząłem przeciskać się przez szparę w ścianie. Na krawędzi pęknięcia było sporo krwi. Nie była to moja krew. Przypomniałem sobie o połamanych paznokciach Adama. Widocznie przerwałem wyburzanie za wcześnie. Musiał się przestraszyć, że to jakaś gra, ponury żart z mojej strony, że wcale nie zamierzam go uwolnić. Resztę naruszonego muru wytłukł i wyskrobał gołymi rękami. W połowie grubości ściany natknąłem się na żeliwne drzwi z małą kłapką na zawiasach na wysokości kostek. Tędy podawałem mu jedzenie, jeszcze zanim zamurowałem ścianę do końca. W zamku tkwił gruby, stary klucz na zardzewiałym łańcuszku. Pchnąłem drzwi, które od drugiej strony również były osadzone głęboko w murze. Zrobiłem jeszcze trzy kroki i wyszedłem z wnęki prosto do ukrytego pomieszczenia. Był to pokój równie niski co wcześniejszy, ale ściany biegnące wzdłuż domu miał dłuższe, przez co było w nim prawie dwa razy więcej miejsca. Położyłem rękę na chłodnym murze. Na samo wspomnienie zmęczenia przy pracy, jaką włożyłem w umocnienie go, drgnęły mi mięśnie ramion. Cały kamień na podłodze, ścianach i suficie ubezpieczyłem gęstą stalową siatką, którą zamurowałem, a mur zabetonowałem. Praca trwała latami. Skierowałem światło latarki na zakratowany otwór wentylacyjny. Do jednej z krat przywiązany był długi pas wydarty z poszewki na kołdrę. Otwór był zbyt wąski, żeby przeszedł przez niego człowiek, ale na tyle szeroki, żeby zapewnić dobrą cyrkulację powietrza przez długą rurę, której wylot znajdował się na końcu ogródka między drzewami a kompostem. Wylot przykryłem blaszanym daszkiem, by do środka nie dostawał się deszcz. Rurę poprowadziłem głęboko pod ziemią. Kiedy Adam wierzył jeszcze w sens wzywania pomocy, jego wrzaski wydostawały się końcem rury jako cichy szmer, który słyszał tylko kompost i pnie sosen. Czasami któryś z sąsiadów oferował mi pomoc przy tym nigdy niekończącym się remoncie. Grzecznie odmawiałem, tłumacząc, że lubię mieć się czym zająć, żeby nie myśleć o rodzicach, gdyż mimo upływu lat, ich tragiczna śmierć wciąż stanowi dla mnie źródło przygnębienia. Ze zrozumieniem kiwali głowami i zostawiali mnie w spokoju. Słuchawka i niecka prysznicowa, podobnie jak klozet były przyspawane do stalowych stelaży, a ich brzegi dodatkowo zalane betonem, żeby mojemu gościowi nie przyszło do głowy szukać ucieczki przez odpływ wody podczas napadów szału i głębokich psychoz, które nawiedzały go na przestrzeni lat. Idąc przez pokój, nastąpiłem na plastikowy talerzyk. Na stole w rogu celi znalazłem plastikową łyżeczkę i kubek. We wnęce zasłoniętej do połowy żeliwnymi drzwiczkami, w świetle latarki błyszczała sterta otwartych puszek. Znałem ich dokładną liczbę. Było to siedemset trzydzieści racji wojskowych Błyskawica, wszystkie w jednej odmianie: „gulasz wołowy z kaszą i marchewką do podgrzania bądź zjedzenia na zimno”. Musiałem ograniczyć dietę Adama jedynie do konserw, ponieważ plan na ostatnie dwa lata wyroku zakładał całkowite odcięcie go od świata zewnętrznego poprzez zmurowanie tuneliku na posiłki i wyłączenie prądu. Wcześniej po prostu gotowałem dla dwóch osób. Zajrzałem do jednej, a potem drugiej i trzeciej puszk. Nie było w nich ani śladu sosu. Wszystkie zostały wyczyszczone na błysk. Pociągnąłem nosem. Poczulem przykry, mdły zapach, którego nie powinno tam być. Dłuższą chwilę zajęło mi zidentyfikowanie jego pochodzenia. Pod puszkami leżał martwy, na wpół rozłożony szczur. Złapałem go za ogon i opuściłem na podłogę. Przypatrzyłem się dokładniej stosowi puszek. Na ściankach, spodach i wieczkach widniały dziesiątki drobnych dziurek. Ślady szczurzych zębów. Pewnie rozegrała się tu prawdziwa wojna o pożywienie. Tego nie przewidziałem. W jaki sposób te cholerne szczury wlażyły do celi? Rozgarniając puszki, znalazłem więcej ciałek. Tu i ówdzie spod zwałów aluminium wystawały szczurze łapki, pyszczki i ogonki. Niektóre były nietknięte rozkładem. Te musiały umrzeć najpóźniej. Inne wciąż jeszcze pęczniały i gniły, a z tych, które pożegnały się z życiem jako pierwsze, pozostały już tylko szkielety. W rogu pomieszczenia stał stół rozebrany na części. Między nim a regałem leżał kolejny trupek, w miarę świeży, ale za to podejrzanie płaski. Nachyliłem się i podniosłem go plastikową łyżeczką. Szczur był workiem skóry, z którego zwisały od środka

w cierpliwie wydrapanych w blaszce otworkach. Wiele z nich, mimo długiego czasu spędzonego w wodzie, miało wciąż na grzbietach i brzuchach zaschniętą krew twórcy, który wyginał oporny materiał zbolalymi palcami. Każda z rybek na końcu pyszczka miała zakrzywioną do góry blaszkę z otworem w środku. Przy betonowym cokole prysznic znalazłem wędkę wykonaną z listewki wylamanej ze stołowej nogi, nici odprutej z prześcieradła i haczyka zrobionego ze sprężyny materaca. Wędkarz. Niezlomny rybak. Pomyślałem o Hemingwayu i o ironii losu.

Aluminium, tłuczone żarówki, drewno ze stołu i sprężyny posłużyły Adamowi także do wykonania niezwykle pięknych i interesujących szachów. Wyryta w podłodze szachownica była całkiem spora, około metr na metr i zajmowała centralne miejsce celi, dokładnie pod dużą lampą. Drewniane pionki na podstawkach ze sprężyny miały błyszczące szklane oczka, a w dłoniach złote aluminiowe miecze. Konie miały kopyta i uzdy w pyskach, wieże finezyjnie wycięte blanki, a król i królowa doczekali się szklanych pereł w swoich koronach. Armia po jednej stronie była opalona na czarno, do czego musiano użyć żarówki, drewnianych drzazg oraz zapewne poświęcić trochę papieru z książek. Pod rurą wentylacyjną widniało czarne miejsce po palenisku. Na ścianie obok regału widniały rzędy podwójnych tabel, w których kolumny graczy oznaczone były A i A. Adam kontra Adam. Pod inicjałami zawodników rozwijała się lista zwycięstw, porażek i remisów.

Usiadłem na prycy, żeby zebrać myśli. Z pościeli nie zostało zbyt wiele. Pod poduszką wymacałem coś cienkiego i twardego. Ostra pokrywka konserwy. Zaschnięta krew na krawędzi. I coś jeszcze. Długi pas prześcieradła, cały brązowy po jakimś bardzo starym krwotoku. Ile tego było? Ile razy próbował i się rozmyślał? Popatrzyłem na pas materiału zwisający z kraty wentylacyjnej. Specjalnie zostawił go na widoku, tak jak specjalnie trzymał pod poduszką ostrą blachę. Żeby pamiętać, że zawsze może. Że mnie przechytrzył i mimo wszystkich zabezpieczeń znalazł drogę ucieczki. Dlaczego nie poszedł nią do końca? Dlaczego zawracał? Postanowiłem go o to zapytać, jeśli jeszcze w ogóle potrafił mówić. Przez dwa lata od kiedy zamurowałem lufcik i wyłączyłem prąd, zdążył oslepnąć. Nie przewidziałem tego, tak jak nie przewidziałem szczurów. Trudno. Nie można już tego cofnąć. Bardziej zastanawiało mnie, czy słyszy i mówi. Nazbierało się sporo rzeczy, o które chciałem go zapytać. Nie ze wścibstwa. Z ciekawości. Oprócz tych dużych, ważnych pytań nasuwało mi się też sporo mniejszych, całkiem przyziemnych i prostodusznych, na przykład: czy udawało mu się wylawiać z prysznic wszystkie rybki w całkowitej ciemności? A jeśli tak, to jak długo to zajmowało? Czy próbował odmierzać sobie jakoś upływ czasu? A jeśli tak, to w jaki sposób?

Został jeszcze regał z książkami. Były to pozycje z mojej osobistej biblioteczki. Zawsze po przeczytaniu jakiejś pozycji schodziłem do piwnicy i wsuwałem mu książkę przez lufcik. Zastanawiałem się, czy chociaż w jakiejś małej części podziela mój gust. Czy mamy podobne przemyślenia? Czy wzruszają go te same fragmenty co mnie? Może teraz, o ile mówi, będzie w stanie mi coś na ten temat powiedzieć. Wcześniej nie miałem możliwości poznać jego opinii: postanowiłem, że podając mu książki albo posiłki, nie odezwę się do niego ani jednym słowem. I wytrwałem w tym postanowieniu. Adam natomiast podczas tych krótkich wspólnych chwil, kiedy widzieliśmy swoje oczy przez dziurę w ścianie, był raczej monotematyczny, a jego wypowiedzi nie dotyczyły bynajmniej literatury. Interesowało go tylko uwolnienie, o czym informował mnie, przyjmując różne style narracyjne, od kajania się i błagania, poprzez próby targowania się, do otwartej nienawiści, gróźb i szczegółowych opisów sposobów, w jakie pozbawi mnie życia. Niektóre z tych wizji miałem teraz okazję podziwiać w postaci rytów na ścianach celi. Był taki wygadany przez tych kilka pierwszych miesięcy. Potem już tylko milczał. Milczał o wiele dłużej niż nie miał dostępu do światła, dlatego bałem się, że mógł stracić głos. Byłaby szkoda, gdyby zatrzymał odpowiedzi na te wszystkie pytania dla siebie. Podszedłem do regału i przez chwilę przeglądałem brzegi książek, po czym wziąłem do rąk *Wspomnienia z domu umarłych*. Poprawiłem

okulary na nosie. Spodziewałem się przeczytać znany mi wstęp „W odległych okolicach Syberii, pośród stepów, gór albo nieprzebytych lasów, z rzadka trafiają się małe miasta...”⁵, zobaczyłem jednak białą stronę, pozbawioną drukowanych liter, zapisaną za to odręcznym pismem. Tusz był ciemnobrązowy, miejscami tak rzadki, że z trudem domyślałem się, jaką literę przedstawia ten ledwo widoczny znak graficzny. Gdzie indziej natomiast rozlewał się grubymi strugami i przebiegał na kolejne strony. Mógł to być sos albo tłuszcz z mięsa, które zostawały mu z obiadu. Na krawędzi półki znalazłem małą kość, prawdopodobnie z kurczaka, całą czarną na końcu. Ta musiała służyć do wydrapywania tuszu ze stron. Druga, większa, której ostry koniec oblepiony był zaschniętą mazią, musiała spełniać funkcję pióra. Przekartkowałem *Wspomnienia z domu umarłych* do ostatniej strony. Cała książka wypełniona była tekstem zapisanym tłustym atramentem. Odłożyłem Dostojewskiego i otworzyłem pierwszy tom *Nędzników*. To samo. Takie same tłuste zapiski znalazłem też w *Germinalu*, *Czerwonym i czarnym*, *Szatańskich wersetach*, *Wielkim Gatsbym* i *Malowanym ptaku*. W *Zielonych wzgórzach Afryki*, mniej więcej w połowie, zmienił się rodzaj tuszu, na czarny o ziarnistej fakturze. Długo główkowałem, zanim pojąłem związek pomiędzy żarówką, książkami, nogami od stołu, puszcze po pasztecie z zająca i tym atramentem. Wydedukowałem, że mógł podpalać papier od żarówek, na ognisku zwęgląc kawałki drewna oskubane z ramy łóżka lub stołu, a potem rozrabiać je z wodą i używać jako tuszu. Przynajmniej ja bym to tak zrobił, pomyślałem sobie. Jeszcze przez jakiś czas oglądałem książki, wyciągając z rzędów po jednej na chybił trafił. Zapisał chyba wszystkie, a na pewno większość z nich. Pomyślałem, że jest tam znacznie więcej niż odpowiedzi na moje pytania. Miałem lekturę na resztę życia. Ba, nawet mógłbym nie zdążyć przeczytać tego wszystkiego przed śmiercią. Stwierdziłem, że to dobry i ciekawy cel na ostatnie lata, poznać tego człowieka bardziej niż kogokolwiek poznałem w życiu, być może bardziej nawet niż siebie samego, czytając skrupulatnie całe metry bieżące jego dzienników. Być może temu właśnie poświęcę swoją starość, kiedy tylko zakończę sprawę Adama, samemu pozostając przy zdrowiu. I życiu. Nie bardzo wierzyłem w radosne zakończenie tej historii, ale dobrze jest się czasem czegoś trzymać, choćby tych najbardziej naiwnych i głupich myśli. Na tym właśnie polega wiara, o ile się nie myli.

Kiedy wróciłem na górę, Adam siedział oparty plecami o lodówkę. Jej wyższe drzwiczki były otwarte, a na podłodze walały się opakowania po serkach, kubki po jogurtach i gałązki winogron, które nie były już zbyt świeże, ale zapomniałem je wyrzucić. Dante, który wrócił ze swoich osiedlowych wojaży, usiadł mu na udach i mrużąc, wtulał się w jego zapadniętą klatkę piersiową. Adam delikatnie gładził kota po grzbiecie i cicho płakał. Odciałem opaskę z balustrady i zaprowadziłem go na piętro. Zobaczyłem, jak w pośpiechu zabiera jeszcze ze stołu suchą bułkę. W pokoju z oknem wychodzącym na ogród stało wciąż moje łóżko z dzieciństwa. Adam położył się w nim, brudząc pościel kurzem, pyłem i krwią. Żyłkę wiszącą u jego kostki przypiąłem tym razem do kaloryfera i ponownie upewniłem się, czy w zasięgu linki nie ma niczego, czym mógłby się uwolnić.

W nocy obudziło mnie rozpaczliwe chrobotanie. Stanąłem w drzwiach i zobaczyłem Adama mocującego się z bułką. Jego szczęki były zbyt słabe, by ją pogryźć. Wyjąłem mu ją z ręki i położyłem pod łóżkiem.

– Prześpij się – powiedziałem. – Niedługo wyruszamy.

⁵ F. Dostojewski, *Wspomnienia z domu umarłych*, przeł. Cz. Jastrzębiec-Kozłowski, Warszawa: Zielona Sowa 2009.

ROZDZIAŁ 7

Przed zaśnięciem nastawiłem budzik na piątą. Spaliśmy niecałą godzinę, tyle, ile potrzebowałem, żeby choć odrobinę zregenerować zmęczony mózg i mięśnie. Adam na pewno chciałby pospać dłużej. Najlepszym rozwiązaniem dla niego byłyby teraz wakacje w jakiejś dobrej klinice, gdzie pod czujnym okiem specjalistów mógłby dochodzić do siebie. Jednak jego kara nie dobiegła jeszcze końca. Plan zakładał, że udamy się w drogę, kiedy tylko Adam będzie zdolny do samodzielnego przemieszczania się. Teraz jednak plan musiał się zmienić. Wyłączyłem alarm budzika, ale dalej leżałem w łóżku. Dzień zakradał się już na powierzchnię. Na razie tylko lekko zaznaczał swoje przyjście, rozjaśniając nocny granat i wypełniając szarym światłem cienką linię pomiędzy horyzontem a niebem. Leżąc, rozmyślałem o tym, co zrobiłem tej nocy. Zadawałem sobie pytanie, czy mogłem oszczędzić tego starego, schorowanego człowieka, licząc na to, że w jego chorej głowie nie pojawią się znów przebłyski pamięci. Dobrze wiedziałem, że nie było takiej możliwości. Zadawałem sobie to pytanie za późno. Zrobiłem coś obrzydliwego, ale odsuwałem od siebie tę myśl. Nie było czasu i miejsca na kajanie się. Użalasz się nad sobą, starcze, powiedziałem do siebie. Nie zdręczałeś się, zanim go zepchnąłeś ze skały, więc tym bardziej nie zdręczaj się teraz. To, co robisz, jest stratą cennej energii, której będziesz jeszcze bardzo potrzebował. Mój głos miał rację. Jeśli nie mogę czegoś naprawić, muszę iść dalej. Nie ma sensu grzebać w przeszłości. Przeszłości już nie ma. Wciąż jednak nie dawało mi spokoju, w jaki sposób Pan Dziadek doszedł do tego, że stoję za zniknięciem Adama. Nic nigdy nie łączyło mnie z tą sprawą. Nie byłem nawet podejrzanym. Nigdy żaden policjant nie rozmawiał ze mną ani nikim mi znanym o zaginięciu Adama Bartoszewicza. Jak więc znalazł mnie ten ledwo żywy starzec z zaawansowaną demencją, i to po tylu latach? Myślałem o naszym pierwszym spotkaniu. Pewnie już wtedy wiedział. No bo skąd wziąłby się na mojej ulicy, tak daleko od domu? To nie mógł być przypadek. W obu spotkaniach jak palec boży pomogła mi jego choroba. Gdyby tylko komuś o tym wspomniał, gdyby ktoś mu uwierzył, gdyby nie tkwił w tym całkowicie sam... aż strach pomyśleć. Miałeś szczęście, starcze, pomyślałem sobie. Dużo szczęścia. Ale to nie na szczęściu masz teraz polegać, tylko na sobie. Wiedziałem, co się teraz wydarzy. Nie trzeba było być Herkulesem Poirotem, żeby to przewidzieć. Córka Pana Dziadka zgłosi zaginięcie. Z pewnością przypomni sobie człowieka, który bez żadnego powodu tułał się z jej ojcem przez cały dzień, próbując dowiedzieć się, gdzie mieszka. Z pewnością nie zapomni też książki, która wypadła temu mężczyźnie z kieszeni, ani jego imienia, nazwiska i adresu, na który zamierzała ją zwrócić, zanim książkę zabrał jej ojciec. Policja dowie się od sąsiadów, że, owszem, mieszka tu, pod numerem trzydzieści trzy, tak, starszy pan, emerytowany nauczyciel. Jeśli wysprzątam dokładnie cały dom, z powrotem zamuruję Adama w celi i usunę wszelkie poszlaki, co im powiem? Czy będę umiał ich przechytrzyć? Zachować zimną krew? Obronić się przed każdym pytaniem kryjącym w sobie ukryte oskarżenie? Pozwolę im przeszukać dom i ogród, licząc, że przypadkiem nie znajdą ujścia rury wentylacyjnej za kompostem, nie zauważą świeżej blizny na ścianie piwnicy, nie znajdą śladów po wyburzeniu, krwi Adama na krawędzi stołu, przy którym pił wodę, nie znajdą torby dziadka, nie zapytają o samochód? Zbyt wiele tu opcji porażki. Zdecydowanie więcej możliwości dawała ucieczka, dokądkolwiek, byle nie

zostawać w tym domu, w którym wszystko wręcz krzyczało: „On jest winny wszystkiego, o co go podejrzewacie!”.

Kiedy stanąłem w progu mojego dziecięcego pokoju, Adam już nie spał. Jego ślepe źrenice były zwrócone w stronę okna. Po parapecie przechadzała się jaskółka. Palce lewej ręki drgnęły mi nerwowo, ale zaraz się uspokoiły. Uwolniłem Adama, wziąłem go za rękę i zaprowadziłem do łazienki. Rozebrałem się do naga i wszedłem razem z nim pod prysznic. Najpierw opłukałem szybko swoje ciało, a potem zacząłem obmywać jego. Woda płynąca po skórze Adama nabierała koloru kawy z mlekiem i znikła w odpływie. Musiałem bardzo delikatnie posługiwać się gąbką ze względu na dużą ilość strupów na jego ciele. Jeden przez przypadek zerwałem i Adam syknął cicho.

– Umiesz jeszcze mówić? – zapytałem.

Nie odpowiedział.

Wytarłem go ręcznikiem i posadziłem na krześle. Rany po strupach, które nie przetrwały kontaktu z gąbką, posmarowałem maścią odkażającą i zakleiliśmy plastrami. W szafce nad zlewem znalazłem nożyczki i grzebień. Przyciąłem jego zarost na grubość palca, a resztę nasmarowałem pianką i ogoliłem maszynką, przekręcając jego głowę w prawo, a potem w lewo. Skórę na twarzy i szyi miał mocno napiętą. Prawie w ogóle nie musiałem naciągać jej palcami. Kiedy wklepałem mu w policzki balsam i starłem jego nadmiar ręcznikiem, doszedłem do wniosku, że powinienem był zostawić mu jednak trochę brody i wąsów. Jego goła twarz, doszczętnie wychudzona i zapadnięta, była dziwaczna, straszna, trochę jakby nieludzka. Szczęśliwie w miejscach publicznych wciąż obowiązywał nakaz noszenia maseczek. Gdyby ktoś przypadkiem zobaczył go bez niej, z całą pewnością zapamiętałaby tę twarz. A ja nie chciałem, by ktokolwiek ją pamiętał. Koniecznie maseczka, starcze, upomniałem się w myślach. Miej to na uwadze. Zabrałem się teraz za jego włosy. Długi, wiszący prawie do połowy oparcia pukiel zebrałem w garść i odciąłem kilkoma mocnymi ruchami nożyczek. Odgarnąłem sterczącą kępkę siwizny na potylicy. Blizna po uderzeniu zadany kluczem do kół trzydzieści pięć lat temu była szeroka, wypukła i nierówna. Zrosła się najlepiej jak potrafiła, pozostawiona sama sobie, bez pomocy szwów i maści. Wróciłem do pracy. Włosy z tyłu głowy i boki wyrównałem maszynką, a górę postarałem się uporządkować i zaczesać na bok. Nie miałem w tym wprawy, więc wyszło trochę koślawo. Po strzyżeniu zaprowadziłem Adama na środek sypialni i ubrałem go w moje rzeczy. Wisiały na nim jak na dziecku. Popatrzyłem na nasze odbicie w lustrze. Ostrzyżony i ogolony, ubrany w moją koszulę i spodnie, Adam wyglądał całkiem jak ja. Jak ślepy, chudy, zaszczuty i milczący ja. Zeszliśmy na dół, żeby coś zjeść. W lodówce nie zostało zbyt wiele. Przyniosłem z ogródka trochę warzyw, wrzuciłem je na patelnię i zjadłem z resztką starego chleba. Porcję Adama zmiksowałem w blenderze, rozcieńczyłem wodą i przelałem do kufła po piwie. Pochłonął ją w mgnieniu oka, jakby nie posiadał przełyku, tylko wlewał pokarm prosto do żołądka. Zrobiłem nam kawy i zapaliłem papierosa. Uznałem, że zakazy już nie obowiązują, skoro pewnie i tak tu nie wrócę. Ta zmiana optyki miała dokonać się we mnie jeszcze kilka razy podczas naszej drogi. Raz bywałem pewny, że zrobię, co trzeba, i wrócę do swojego zwykłego, spokojnego życia. Potem myślałem, że umrę albo skończę w więzieniu. Teraz, pijąc kawę i paląc papierosa, skłaniałem się jednak ku tej drugiej wersji. Obaj byliśmy starzy. Mój towarzysz ledwo powłóczył nogami, nie mieliśmy samochodu, a od celu dzieliło nas jakieś sześćset kilometrów. Co więcej, wkrótce miała zacząć szukać nas policja. Jeśli to się miało udać, to tylko cudem, myślałem, a po wszystkim i tak czeka mnie więzienie. Patrząc na stare ściany, kolekcję płyt i rozrzucone rzeczy, po cichu i bez doniosłości żegnałem się z moim domem.

Adam nachylił się nad parującą kawą. Jej zapach musiał przywołać w nim jakieś wspomnienia, bo westchnął głęboko i pociągnął nosem, po czym wypił ją równie szybko jak swojego warzywnego szejka.

– Gotowy? – zapytałem, gasząc papierosa w nakrętce od słoika.

Nie odpowiedział.

Portfel, *Życie snem* i trochę ubrań spakowałem do sportowej torby, a torbę Dziadka zarzuciłem sobie na drugie ramię. Kiedy wyszliśmy na ulicę, zbliżała się szósta rano. Osiedle spało jeszcze twardo po tygodniu pracy i piątkowym szaleństwie. Pomyślałem o ludziach, którzy w piątek piją, żeby zapomnieć o pracy, do której pójdą w poniedziałek, a w tygodniu pracują, żeby w piątek znów móc się upić. To też musiał być dla nich rodzaj jakiegoś niewidzialnego więzienia. Kwestie skazania, kary i ograniczenia wolności rozmnażały się w mojej głowie, zajmując coraz to nowe poziomy świadomości. Ileż rzeczy mogło być więzieniem, gdyby popatrzeć na nie z innej perspektywy. Wszystko, dosłownie wszystko mogło być więzieniem. Toksyczne relacje, z których nie potrafimy odejść, tajemnice, które boimy się wyjawiać, fantazje, których się wstydzimy, wybory, których nie możemy cofnąć, słowa, których nie można już wymazać. Więzienia. Same więzienia. Adam szedł obok mnie, ściskając kurczowo moje ramię. Po tylu latach odosobnienia uwielbiał dotyk czegoś żywego. Fakt, że byłem jego oprawcą, raczej mu nie przeszkadzał. Doszliśmy do połowy ulicy, kiedy poczułem, że mój towarzysz zwalnia kroku. Jego płuca pracowały coraz ciężiej, a płytki oddech przyspieszał. Nie nadążał z lękaniem powietrza. W końcu przystanął i zgiął się wzdłuż. Oddychał szybko i konwulsyjnie przez szeroko otwarte usta. Kropla śliny zebrała się na jego dolnej wardze i kapnęła na chodnik. Kiedy lekko pociągnąłem go za rękaw, stęknął głośno, wykonał nieskoordynowany krok i prawie upadł. W ostatniej chwili objąłem go w pasie i pomogłem mu oprzeć się o płot. Odruchowo rozejrzałem się po oknach domu, przy którym się zatrzymaliśmy. Nieruchome zasłony i pogaszone światła uspokoiły mnie. Wiedziałem już, że w takim stanie Adam nie da rady pokonać drogi, którą mieliśmy przebyć. Jasna cholera, zakląłem w duchu. Rzeczy znowu układały się nie po mojej myśli, a tego bardzo nie lubiłem. Założyłem jego rękę na swoją szyję i wróciliśmy pod bramę mojego domu. Tam nie, powiedziałem do siebie. Tam na pewno nie. Niedługo słońce wyjdzie znad dębów i zaświeci w okna domów. Obudzą się pierwsi ludzie. Do tego czasu musimy zniknąć. Zerknąłem na stojący obok dom Laury. Stał pusty, odkąd odeszła nagle w środku styczniowej nocy. Od tego czasu nikt do niego wchodził, nikt się nim nie interesował. Nie próbowano go sprzedać, kupić, odnowić ani wyburzyć. Po prostu tam był, jak stały element krajobrazu, tak codzienny i oczywisty, że przestaje się zwracać na niego uwagę. Tylko na parę dni, dopóki nie nabierze sił, powiedziałem do siebie. Pomogłem Adamowi usiąść na chodniku, a sam wlałem przez płot do zarosniętego ogrodu i obszedłem dom w poszukiwaniu możliwości wejścia. Fasada pomału zaczynała nabierać żywszych kolorów od pierwszych promieni słońca. Spostrzegłem to i od razu popatrzyłem na swój dom, który wciąż jeszcze tkwił w cieniu. Jak za starych czasów, powiedziałem sobie pod nosem. Dom słońca i dom cienia. Natrafiłem na uchylone okno w podpiwniczeniu. Uklęknałem przy nim i spróbowałem otworzyć je szerzej, ale zacięło się w połowie. Położyłem pod nim torbę, żeby okno nie uderzyło prosto w beton, wstałem i z impetem przyduśiłem nogą ramę. Zawiasy w środku trzasnęły i okno oparło się na torbie. Szyba nie pękła. Odstawiłem torbę na bok i wczółgałem się do piwnicy. W półmroku stały stare meble, pralka, wapienny krasnal i jakieś rzeczy przykryte prześcieradłami. Przez okno wpadł lekki podmuch wiatru i w powietrzu zawirował kurz. Wszedłem po schodach na górę i dostałem się do sieni. Przekręciłem gałkę i odsunąłem skobel zamka. Wystawiłem głowę przez szparę i rozejrzałem się na obie strony. Ulica nadal była cicha i pusta. Między kołyszącymi się pokrzywami zobaczyłem plecy Adama. Przeszedłem przez ogród, pomogłem mu wstać i wprowadziłem go do środka. Przed zamknięciem drzwi jeszcze raz spojrzałem na ulicę. Nikt nas nie widział. Na pewno nie. Zamknąłem drzwi. Adam usiadł na wykładzinie. Wciąż oddychał z trudem. Usiadłem obok niego. Też oddychałem szybko i nierówno. Nagle jego głowa uciekła na bok i zawisła nad klatką piersiową. Przyłożyłem ucho do jego ust. Oddychał. Stracił przytomność. Poczułem nieopisaną

wdzięczność dla mojej sąsiadki. Znowu wyciągnęła do mnie rękę, nie robiąc tak naprawdę zupełnie nic. Po tym, w jaki sposób zniknęła, wnosiłem, że świetnie rozumie moją sytuację. W jakimś sensie byliśmy do siebie podobni. Spędziliśmy razem tyle czasu w lustrzanych odbiciach swoich domów, nauczyła mnie dbać o ogród, a teraz gdy tak samo jak ona musiałem uciekać, uchyliła mi swoje drzwi, chociaż nawet jej tu nie było. Wstałem. Weź się w garść, staruszk, nakazałem sobie. Do boju. Złapałem Adama pod pachy i zaciągnąłem go na najbliższą kanapę. Usiadłem przy okrągłym stole i wyciągnąłem z torby zeszyt Dziadka. Na jednej ze stron znalazłem kolumnę imion i nazwisk. Z wyjątkiem mojego, wszystkie były przekreślone. Cofnąłem się o kilka kartek. Każda osoba na liście co najmniej raz w życiu użyła wobec Adama agresji, fizycznej lub słownej. Akapit, który mówił o mnie, był zdumiewający. W wieku szesnastu lat, podczas przerwy na szkolnym boisku miałem powiedzieć do Adama: „Jeszcze mnie popamiętasz, skurwysynu”. Zdanie to zostało słowo w słowo zapamiętane przez klasowego skarżypytę, Wieśka Czarnkowskiego, a następnie przekazane wychowawcy i wpisane do dziennika uwag. Jak Dziadek na to trafił? Ile lat pracy poświęcił? Jak poskładał elementy układanki i drogą dedukcji, skreślając pozostałych, dotarł do mnie? I to wszystko mimo choroby, która z roku na rok coraz bardziej degradowała sprawność jego umysłu. Imponujące, pomyślałem. Naprawdę imponujące. Zabrałem zeszyt do kuchni i przejrzałem szafki. Znalazłem kilka zakurzonych puszek konserw, paczkę ryżu i makaron sprzed trzech lat. Na następnej, czystej stronie zeszytu Dziadka zapisałem sobie listę zakupów spożywczych niezbędnych do przeżycia kilku albo kilkunastu dni. Zastanawiałem się, na jakim etapie będą już policyjne poszukiwania, kiedy będziemy gotowi stąd wyjść. Mój więzień był na razie zbyt słaby, żeby chodzić, dlatego musieliśmy improwizować. Przeszedłem się po pokojach, patrząc na zostawione w pośpiechu rzeczy. Pająki, zachęczone nieobecnością człowieka, uwiły w kątach sieci, a potem same się wyprowadziły. Długie, oklejone kurzem, czarne pajęczyny zwisały z sufitów jak monstrualne ludzkie warkocze. Chodząc od okna do okna, zasuwalem kolejne zasłony. Na piętrze znajdowała się sypialnia Laury, tuż naprzeciwko okna mojej sypialni. Podeszedłem do łóżka i mimowolnie się uśmiechnąłem. Do jednej z poręczy przykute były kajdanki obleczone czerwonym futerkiem. W zamku tkwił złoty kluczyk. Miał rączkę z końcówką w kształcie serca. Odpiąłem je, podrzuciłem w dłoni i schowałem do kieszeni. Zszedłem na dół, zatrzasnąłem jedną obręcz kajdanek na kostce Adama, a drugą na szczebelku pod deską podpierającą wezgielnie kanapy. Adam nawet się nie poruszył. Kluczyk z serduszkem schowałem do kieszeni. Na wyprawę po prowiant udałem się późnym wieczorem, do sklepu w oddalonej części osiedla, w którym nigdy wcześniej nie byłem. W drodze powrotnej zahaczyłem o stację benzynową, gdzie kupiłem podręczną butlę z gazem. Miała gwint pasujący do palnika turystycznego, który znalazłem w piwnicy. Kiedy wróciłem, Adam wciąż jeszcze spał. Spojrzałem na swój telefon. Czy policja nie namierza dzisiaj telefonów po karcie SIM? W takich chwilach miałem sobie za złe, że nie znam się na technologii, że nie podążam z duchem czasu. Dla świętego spokoju rozebrałem telefon na części, połamałem je i spuściłem w toalecie. Bałem się być tak blisko domu, ale jednocześnie coś podpowiadało mi, że jesteśmy tu bezpieczni. Kiedy mieszkałem tuż za płotem, sam miałem okazję poczuć, jak po odejściu Laury jej dom wtapia się w otoczenie, jak znika ze świadomości mijających go od zawsze ludzi, jak stoi tam prawie niewidzialny w swojej zwyczajności. No i był też teraz świetnym punktem obserwacyjnym. Jeśli policja zapuka pod numer trzydzieści trzy, będę pierwszym, który się o tym dowie.

Deszcz, który spadł w nocy, padał bez przerwy przez następne trzy tygodnie. Była to dobra wiadomość, ponieważ w domu nie było wody. Zebrałem wszystkie miski, wiadra i duże garnki i wystawiłem je na ogród, żeby nabierać deszczówkę. W tym czasie robiłem, co w mojej mocy, żeby pomóc Adamowi stanąć na nogi. Nocami, na palniku turystycznym przy uchylonym oknie gotowałem przemysłowe ilości kurczaka z ryżem i warzywami. Ponieważ nie mieliśmy prądu,

ucierałem Adamowi papki w misce przy użyciu tłuczka. Przez pierwszy tydzień kładłem mu na kolanach serwetki i karmiłem go łyżką, wycierając mu chusteczką usta i brodę. Któregoś razu podczas karmienia położył swoją dłoń na mojej, przesunął ją na łyżkę i objął ją palcami. Puściłem i patrzyłem jak drugą ręką wymacuje naczynie, prowadzi ku niemu łyżkę i, trochę rozlewając, wkłada sobie zupę do ust. Narobił przy tym sporo bałaganu, ale zjadł posiłek do końca, a po wszystkim dokładnie oblizał miskę, tak samo jak w swojej celi oblizywał do czysta każdą puszkę Błyskawicy. Między posiłkami jedliśmy owoce i dużo ćwiczyliśmy, głównie chodzenie – na początku po korytarzu, a kiedy to przestało być problemem, w górę i w dół po schodach. Po dwudziestu dniach Adam nadal wyglądał jak strach na wróble, ale nie dusił się już podczas chodzenia, nabrał parę kilo i całkowicie samodzielnie się posilał. Wziąłem to za dobrą monetę i nadal prowadziliśmy nasz plan treningowy, zwiększając nie tylko liczbę przyswajanych kalorii, ale także dystanse spacerów i liczbę powtórzeń w schodowych interwałach. Oczywiście zrozumiałem, że „kilka dni”, które obiecałem sobie przy furtce, było naiwnością. Jednak wokół obydwu tymczasowo moich domów codziennie panował spokój. Siadając za zasłoną i obserwując ulicę, nie zauważałem żadnej podejrzanego aktywności. Żadnych dzielnicowych, patroli, radiowozów ani dziwnie zachowujących się cywili. Na ulicy z rzadka się ktoś pojawiał, a jeśli już, to w szybkim biegu pod osłoną parasola, z domu do samochodu albo w drugą stronę. Jedyną postacią, która zjawiała się cyklicznie, był listonosz. Każdego ranka od poniedziałku do piątku ze szwajcarską precyzją, bo niemal zawsze równo o ósmej, przejeżdżał pod naszym oknem na swoim rozklekotanym składaku. Dźwięk poluzowanego dzwonka brzęczącego na każdej nierówności chodnika słyszeliśmy już z daleka. Czy w takim razie wpadłem w paranoję? Może nikt po nas nie przyjdzie. Może po prostu uznali Dziadka za zaginionego. Jego córka mówiła, że często wymyka się z domu. Może szukają go w lasach, parkach, na osiedlach w okolicach miejsca, w którym mieszkają. Może nikt po nas nie przyjdzie, powtórzyłem w myślach. Za oknem wszystko toczyło się po staremu. W ciszy i niespiesznie, a sąsiedzi nie zaglądali do mnie, tak jak nie robili tego nigdy. Pojawił się natomiast inny problem, zupełnie nieprzewidziany. Nadszedł z najmniej oczekiwanej strony, nie z zewnątrz. Zaczęło się to tak, jak zaczyna się zawsze, od niepewności. I od tego, że zostawiłem w domu moje leki. A im bezpieczniej czułem się u Laury, tym mniej miałem chęć wyściubić nos z kryjówek. Co zaś do niepewności, to tak, ona zawsze przychodzi pierwsza. Zaczynam dłużej zatrzymywać wzrok na przedmiotach i nie jestem pewien, czy to normalne czy nie. Niektóre rzeczy zajmują mi więcej czasu niż dotychczas. Zanim zawiążę buty, długo na nie patrzę. Zanim przystąpię do mycia naczyń, przez kilka minut mogę obserwować kręgi na wodzie w misce. Po przespanej nocy nie chcę wyjść z łóżka, za to po zmierzchu leżę długo, patrząc w sufit i nie mogę zasnąć. Pytam: czy to spowolnienie jest moim zwyczajnym trybem, czy też pojawiło się dopiero teraz? Opowiadam: nie, na pewno nie jest zwyczajne, bo gdyby było, nie zwróciłbym przecież na nie uwagi. To coś nowego. Coś innego. Ale tak naprawdę nie jest ono ani czymś „nowym”, ani „innym”. Jest czymś dobrze znanym, czymś, czego bardzo nie chcę, i próbuję zaklinać rzeczywistość, milcząc uparcie i nie nazywając tego po imieniu: nawrót depresji. Powolne, leniwe zapadanie się w ciszę. Spowolnienie myśli. Zagęszczenie się rzeczywistości do konsystencji kremowanego miodu. I skrajne uczucia, bo przecież po odstawieniu leków pozytywny efekt powinien utrzymać się długo. Niedowierzenie, że ostatnia deska ratunku, farmakologia, również zawodzi. Ale rozsądek i logika mówią mi o koszmarach, które przez lata rozrosły się do takich rozmiarów, że próba zniwelowania ich tabletkami to zakrywanie słonia chusteczką do nosa. Wiedziałeś, że to runie, stary człowieku. „Jeśli pan zabije deskami wszystkie drzwi i okna, to w końcu rozpadną się ściany”. Wyprostowałem się i wziąłem głęboki wdech. Liczyłem na to, że depresja nie wie o mnie wszystkiego, a mianowicie, że nie zna mojego uporu i nie wie, do czego potrafi on być zdolny. Jestem już starym człowiekiem. Przeżyłem życie po cichu. Ale kiedy trzeba

przekopać ogródek, chwytam łopatę i nawet jeśli niebo wali mi się na głowę, przekopuję ten jebany ogródek. Tak mi dopomóż bóg. Zatrzymałem się teraz, nieco roztrzęsiony, splątany i zdezorientowany. Spróbowałem się wyciszyć i posłuchać własnych myśli. Czyżbym stawał się w nich patetyczny? A jeśli tak, to czy to źle? Skoro całe życie byłem szarym człowiekiem, to czy teraz, w obliczu jakiegos tam, bliżej niesprecyzowanego końca, nie mogę sobie przez chwilę pobyc patetyczny i to tylko we własnych myślach? Kto mi tego zabroni? Spojrzałem na Adama. Siedział w fotelu, patrząc na zasłonięte okno, i niczego mi nie zabraniał. W rękę trzymał obgryzione do połowy jabłko. Może już gryźć jabłko, pomyślałem i powinszowałem nam w duchu wspólnego sukcesu. Należało przestać się nad sobą użalać i zacząć działać. Z własnego doświadczenia wiedziałem, że wykonywanie jakichkolwiek czynności, choćby najgłupszych, potrafi skutecznie zahipnotyzować umysł i odciągnąć go od niedobrych myśli. Potem wystarczy utrzymywać tę tendencję i smutki same odejdą. Nigdy nie wiadomo jednak kiedy odejdą – to zawsze pozostaje zagadką. Machnąłem ręką na leki. Skoro, z wyjątkiem dnia, w którym zjawił się Dziadek, nie brałem ich już od trzynastu dni, to tym bardziej bez sensu byłoby do nich wracać teraz. Zwłaszcza że i tak zostało mi ich raptem kilka. Odnowienie recepty wiązało się z opuszczeniem kryjówki i wizytą u psychiatry, a tego nie mogłem zrobić. Żeby wyciszyć rozedrgany mózg, postanowiłem zająć się tym, co najlepiej sprawdzało mi się w takich sytuacjach – sprzątaniem. Porządki zawsze świetnie mi robiły. Ich podwójne działanie, na płaszczyźnie dosłownej (porządek w domu) i metaforycznej (porządek w głowie) często przynosiło zbawienny efekt. Wziąłem się do pracy. Przez kolejne godziny całkowicie zatopiłem się w zamykaniu, szorowaniu, ścieraniu i polerowaniu. Oczywiście wszystko to przy zasłoniętych oknach, ze względu na bezpieczeństwo. Wycierając kurze w komodzie, natrafiłem na piękną, drewnianą szachownicę, składaną na pół i zamykaną stalowym klipsem. Potrząsnąłem nią. W środku zagrzechotały bierki. Zszedłem na dół i przyciągnąłem stół kawowy do fotela, na którym siedział Adam. Zbliżał się wieczór. Zaciągnąłem dokładniej zasłony w oknach i zapaliłem parę świeczek. Włożyłem okulary, dostawiłem sobie krzesło i rozłożyłem szachy.

– No – powiedziałem podekscytowany. – Gramy. Podobno jesteś w tym dobry.

Jedyną reakcją, na jaką zdobył się mój towarzysz, było ledwo widoczne uniesienie płatków nosa.

– Świetnie – odparłem.

Nie zamierzałem dać się wyprowadzić z równowagi. Wziąłem w dłonie białego i czarnego pionka, przetasowałem je za plecami i podstawiłem Adamowi pod nos dwie zaciśnięte pięści.

– Czarne czy białe? Wybieraj.

Tym razem nawet nie drgnął, ale ja także nie zamierzałem ustąpić.

– Posłuchaj mnie, ty ślepy skurwysynu. Obaj dobrze wiemy, że zasłużyłeś sobie na wszystko, co cię spotkało. Jeśli chcesz się obrażać, to proszę bardzo. Ale nie licz na to, że zarazisz mnie swoim niemym nihilizmem. Ja się nie poddam, właśnie to sobie postanowiłem. Z takim świeżym postanowieniem nie wygrasz. Myślisz, że nie wiem, że to wszystko przez ciebie? Wszystko, co mnie boli, jest przez ciebie. Gdyby nie ty, miałbym całkiem dobre, zwyczajne życie. To z twojego powodu mam zatwardzenia i bóle brzucha. Przez ciebie drżą mi ręce i nie mogę spać. Tak, przez ciebie, ponieważ jakaś część mnie daje mi do zrozumienia, że to, co ci zrobiłem, jest złe. Ale ty na to zasłużyłeś, a ja doprowadzę to do końca. Więc powiedz albo, nie wiem, mrugnij, kurwa, smarknij, pierdnij, cokolwiek. Czarne czy białe?

Blade oczy Adama tkwiły wciąż wpatrzono nieruchomo w ścianę. Cały czas trzymałem przed nimi pionki schowane w garściach. Adam zamarł tak, że nie słyszałem nawet jego oddechu. Tkwieliśmy w tym bezdotykowym kłinczu, a czas mijał. Czekałem na najdrobniejszy znak z jego strony, najmniejszy gest, który rozpocznie grę. Nagle krzyknąłem:

– Czarne czy białe!?

Adam drgnął, przymykając odruchowo lewą powiekę. Zorientowałem się, że popełniłem głupstwo i szybko podbiegłem do okna. Ulica była pusta. Strugi deszczu spływały poboczami. Woda otoczona kołnierzem brudnej piany wlewała się do studzienek. Uspokojony wróciłem do stolika. A więc przynajmniej słuch miał dobry. Teraz byłem pewien. Lewa powieka oznaczała w moim rozumowaniu lewą rękę, otworzyłem więc dłoń, w której spoczywał biały pionek.

– No widzisz, jakie to łatwe – powiedziałem. – Zaczynasz.

Adam zwlekał z wykonaniem pierwszego ruchu przez prawie godzinę. W tym czasie poszedłem do kuchni, zrobiłem sobie kolację i jadłem ją, nucąc w myślach *Blue in green*. Tęskniłem za moim gramofonem i kolekcją płyt. Po kolacji zaserwowałem sobie whisky z colą na poprawę humoru. Z początku trochę biłem się z myślami, ale w końcu zdecydowałem, że w obliczu tak niehumanicznych warunków zasłużyłem sobie na odrobinę rozluźnienia. Otworzyłem też paczkę papierosów i wróciłem do stolika. Szachy stały tak jak je zostawiłem, czekając w cieniu, który Adam rzucał na stolik. Wziąłem łyk, zapaliłem papierosa i podszedłem do mojego rywala.

– Trochę ci pomogę – powiedziałem i ruszyłem koniem na C3.

Wróciłem na swoje miejsce i przesunąłem pionka o dwa pola. Następnie znów podszedłem do Adama i ruszyłem również jego pionka. Przez jakiś czas kursowałem między moim a jego miejscem i z rozmysłem, bez pośpiechu przesunowałem figury. Gra była na tyle wciągająca, a whisky tak mocna, że pozwoliły mi się trochę wyrwać z odrętwiającej melancholii. Bawiłem się całkiem dobrze. W pierwszym starciu zbiliem Adamowi gońca, ale ruch był zbyt gorliwy i nieprzemyślany, przez co w kilka sekund później żegnałem się już ze swoją wieżą, którą stanowczo za wcześniej wysunąłem przed szereg.

– Nieźle, cholera! – popatrzyłem na Adama z uznaniem, po czym wzniosłem szklanekę z drinkiem w jego stronę. – Ty naprawdę jesteś dobry!

Po tym nagłym ataku zaczęła się krwawa jatka, w której wyniku obie strony potraciły kilka mniej i bardziej istotnych bierek, aż w końcu tłum na szachownicy rozrzedził się i wielka cisza zaległa na polu bitwy. Teraz już w głębokim skupieniu i z nadludzką cierpliwością analizowałem możliwe ruchy, cmokałem, rozmyślałem się, wzdychałem, dolewałem sobie whisky, chodziłem po pokoju, krążyłem wokół szachownicy jak lew, co chwila wpadałem na jakiś genialny pomysł i zaraz go odrzucałem w wyniku dostrzeżenia zmiennej, którą przeoczyłem wcześniej. Na dworze zaszło już słońce, a my wciąż graliśmy. Bitwa była długa i wyczerpująca. Cały entuzjazm i dobry humor zdążyły ze mnie wyparować, ustępując miejsca znużeniu i rozdrażnieniu. W przeciwieństwie do Adama. Jego emocjonalne zaangażowanie było niezmienne.

– Wygląda na to, że mamy pata – wysapałem i zatoczyłem się, przytrzymując ramienia Adama. – Czego tam wypatrujesz? Nie kombinuj, gra jest skończona. Wielkie rozczarowanie. Poklepałem go w policzek, specjalnie trochę mocniej niż zezwalała dżentelmeńska etykieta. – Miałeś być Kasparowem z piwnicy, a okazałeś się zwykłym przeciętniakiem. Na całe szczęście... – usiadłem na podłodze i popatrzyłem na jego nieruchomą sylwetkę – ...na całe szczęście będziemy jeszcze mieli szansę na rewanż – dokończyłem, ale to nie było to, co naprawdę chciałem powiedzieć.

Patrzyłem jak Adam podnosi się z fotela, przemierza pokój, chaszając powietrze wyciągniętymi rękami, zatrzymuje się przy stole, wymacuje kiść winogron i zaczyna wkładać sobie po jednym do ust, siorbiąc i mlaskając. Nigdy wcześniej nie zwracałem uwagi na jego zwierzęce maniery, ale teraz, kiedy byłem podпиты i podirytowany, śliskie i mokre dźwięki wydobywające się z jego paszczy były dla mnie torturą.

– Jedz normalnie – upomniałem go. – Przeżuwaj z zamkniętą buzią.

Jego szczęka zatrzymała się na moment, żeby bez zakłóceń wysłuchać komunikatu, po czym maszynaria ruszyła na nowo, wydając dźwięki podobne do ciężkich butów brodzących w błocie.

Uporczywe ciamkanie wwiercało mi się w mózg jak wiertło. Schowałem twarz w dłoniach.

– Przestaaaaań Adaaaaaam – powtórzyłem, przeciągając z irytacją głoski.

Adam powtórnie umilkł na chwilę i zaraz znów zamlaskał.

– Posłuchaj. – Byłem już poważnie rozgniewany. – Jeśli nie przestaniesz, podejść tam i wcisnę ci te winogrona w twój pomarszczony tyłek.

Pociągnął nosem i nadal wsuwał sobie do ust owoce przy pełnym możliwym akompaniamencie dźwięków. Zerwałem się z miejsca i doskoczyłem do niego, przykładając mu twarz prawie do policzka akurat, kiedy winogrono zniknęło w jego sinych wargach.

– DOSYĆ! – wydarłem mu się prosto w ucho, po czym natychmiast, przestraszony, podbiegłem do okna sprawdzić, czy nikt akurat nie przechodzi ulicą albo czy w pobliskich domach nie zapalają się światła.

Wróciłem do niego i silnym uderzeniem wytrąciłem mu kiść z ręki. Owoce poturlały się po podłodze. Z wściekłością chwyciłem go za szczękę i przyciągnąłem jego głowę do mojej. Moje zmęczone, pijane oczy i jego szare, nieruchome oczy spotkały się.

– A teraz przepróż – wycedziłem.

Mężczyzna uchylił na chwilę wargi, pokazując zęby tak drobne, że niemal było widać przez nie wewnątrz jego ust. Z jego gardła wydobył się cichy szmer.

– No tak. Nie wiesz, jak to powiedzieć... To posłuchaj: „przepraszam”. Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam. – Przycisnąłem jego czoło do mojego. – Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam. – Zerknąłem w te jego puste oczy i nagle poczułem do niego absolutną nienawiść.

Popchnąłem go za całej siły, stracił równowagę, zatoczył się i runął na podłogę. W odruchu przerażenia zakrył głowę rękami. Zorientowałem się, że płacze. Nie wiedziałem dlaczego. A może nie chciałem wiedzieć. Wytarłem oczy w rękaw. Wszedłem po schodach do sypialni, położyłem się na łóżku i oddychałem szybko, chowając głowę w rękach tak, jak przed chwilą Adam. Kiedy się uspokoiłem, zszedłem na dół, zaprowadziłem go na kanapę i przykułem go do poręczy czerwonymi kajdankami Laury.

Wczesnym rankiem obudził mnie grzmot. Podeszedłem do okna i uchyliłem zasłonę. Niebo i ulice pływały w ciemnej, przygnębiającej szarości. Liście drzew opadały ku ziemi przygniecione przez ciężkie krople. Rynny domów wypełniły się po brzegi i deszcz kapał z nich, tworząc długie sznury błyszczących paciorków. Przeszedłem się trochę po pokoju i szedłem na dół. Adam siedział na kanapie, swoim starym zwyczajem patrząc w zasłonięte okno, i jadł śliwkę, którą musiał schować sobie wcześniej do kieszeni. Usiadłem na krześle po drugiej stronie szachownicy i również zapatrzyłem się w nieruchome blade-granatowe zasłony.

– Może... – zacząłem i umilkłem na chwilę. – Może dzisiaj zakradnę się do drugiego domu, przyniosę gramofon i płyty, pociągnę tu przedłużacz ogrodowy, co? Skoro masz dobry słuch, chyba miło byłoby posłuchać dobrej muzyki. Co myślisz?

Śliwka zniknęła w ustach Adama niemal bezdźwięcznie. Zebrał palcem i zlizął sok, który płynął mu po brodzie.

– Mógłbym też przynieść twoje dzienniki. Ukryłbym je gdzieś dobrze, a po wszystkim... – znowu uciałem – ...po wszystkim mógłbym sobie je przeczytać. Albo przeczytałbym je nawet teraz, na głos, żebyś też mógł posłuchać. Miałbyś ochotę?

Adam skończył jeść śliwkę.

– Zrobię nam śniadanie – powiedziałem i już zamierzałem wstać, kiedy mój wzrok zatrzymał się na szachownicy.

Coś się zmieniło. Kiedy spałem, partia się rozstrzygnęła. Biała królowa na drugim końcu szachownicy celowała prosto w mojego króla. Gdziekolwiek chciałem uciec, blokowały mnie

goniec i wieża. Nie mogłem zbić żadnej z tych figur, ponieważ mieliśmy szacha, a królem nie było dokąd uciekać. Mat. Adam wygrał. Siedział teraz nieruchomo z kroplą soku ze śliwki na wardze. Poszedłem do kuchni, włączyłem palnik, uchyliłem okno i w zamyśleniu zacząłem przygotowywać śniadanie. Zrobiłem jajecznicę z kielbasą i cebulą, a na deser budyń z malinami, do wysokiego dzbanka nalałem zimnej wody, a do drugiego kawę z kawiarki. Położyłem wszystko na szerokiej blaszanej tacy i postawiłem na stole w pokoju. Rozkułem Adama i za rękę zaprowadziłem do stołu. Jedliśmy w milczeniu, a ja co chwilę spoglądałem na szachownicę, gdzie jak kłujące wspomnienie porażki tkwił upokarzający mat, którego nie dostrzegłem we wczorajszym pijaństwie. Deszcz stracił na sile i teraz tylko mżył. Piłem kawę, zbierając pomału wczorajsze pijane myśli do kupy, i próbowałem łączyć je z dzisiejszymi, trzeźwymi myślami. Zupełnie do siebie nie pasowały. Nie miały prawa pasować. Przez uchylone okno usłyszeliśmy dzwonek roweru listonosza. Spojrzałem na Adama. Nie jadł. Zawsze od razu rzucał się na jedzenie, ale teraz tego nie zrobił. W lekko uniesionej ręce jak dyrygent przed rozpoczęciem utworu, trzymał nóż do owoców. Listonosz najechał na dziurę w asfalcie, a dzwonek zabrzmiał głośniejsze i wyraźniej. Był prawie pod naszym oknem. Poczulem, że Adam dotyka palcami mojej prawej dłoni. Spojrzałem na jego twarz. Chciałem zapytać, o co mu chodzi, kiedy jego palce zacisnęły się z całej siły na moim nadgarstku. Nie był to bardzo silny uścisk, ale wystarczył, żeby na moment unieruchomić moją dłoń. Jak we śnie ujrzałem zupełnie nierealny, dziwaczny obrazek: nóż zniknął w mojej dłoni do połowy ostrza. Metal wszedł dokładnie w spoiwo między deskami chałupniczo wykonanego stołu. Adam wstał, ujął uchwyt w obie dłonie i naparł na niego całym ciałem. Doznałem zaskakującego wrażenia, jakby moją dłoń wypełniło jednocześnie zimno i gorąco. Adam naparł jeszcze raz i nóż wszedł w moją rękę aż po rękęjść. Nauczony, żeby nie krzyczeć, wydałem z siebie tylko cichy gulgot, prychając przez wargi strumieniem śliny. Oczy zaszyły mi łzami, a żołądek zatrzęsł się, jakby chciał wyrzucić z siebie zaraz jajecznicę i chleb, które właśnie zjadłem. Wydawało mi się, że wszystko dzieje się bardzo wolno i nie jest do końca prawdziwe. Adam wstał od stołu i podreptał w stronę okna. Dźwięk dzwonka obwieścił, że listonosz jest teraz dokładnie pod furtką Laury. Mrugając z niedowierzania, patrzyłem, jak Adam dopada do okna, zrywa zasłonę i otwartą dłonią roztrzaskuje szybę. Widziałem jak łapę całą ubabraną we krwi wystawia przez wybitą dziurę i wywija nią w panice, jakby chciał żeby listonosz wyciągnął go z tonącej łodzi. Chwilę zajęło mi, nim doszedłem do siebie na tyle, żeby podjąć działanie. Pierwszym krokiem było wyrwanie noża, najpierw ze stołu, a potem z mojej ręki. W przypiływie adrenaliny zrobiłem to szybciej i sprawniej, niż się spodziewałem. Ale kiedy w dłoni została już tylko wąska, otwarta rana, impuls nerwowo eksplodował na całej drodze od ręki aż do mózgu, jak wysadzony szyb kopalni. Ból zgiął mnie w pasie i zacisnął mi szczękę. Po chwili zelżał trochę, wstałem więc i ruszyłem w stronę okna. Łzy rozmazywały mi obraz. Zrównałem się z Adamem i objąłem go pod szyję zdrowym ramieniem. Przez moment jeszcze widziałem zdumioną twarz listonosza. Machnąłem mu dziurawą dłonią, że wszystko w porządku (szybko przeszło mi przez myśl, że to było zupełnie niepotrzebne), po czym przewróciłem się na plecy, ciągnąc Adama za sobą. Wylądował na moim brzuchu, co niespecjalnie zabolalo, bo nie ważył dużo. Perspektywa rychłego wyzwolenia obudziła w nim uspięne siły. Szarpał się, jakby był zwierzęciem złapanym we wnyki, które jest w stanie nawet odgryźć sobie łapę, byle się tylko wyzwolić. Uspokoił się nieco dopiero, kiedy cztery razy uderzyłem go pięścią w głowę. Teraz gdy mniej już się wyrывał, położyłem mu ranną rękę na ustach i nosie, wymazując jego twarz krwią, a lewe ramię mocniej zacisnąłem na jego szyi. Nie wiedziałem, jak wyczuć, kiedy duszony traci przytomność, a kiedy już nie żyje, a bardzo nie chciałem go zabić. Podduszałem go pomału, przykładając ucho do jego rozwartych warg i czujnie wsłuchując się w jego oddech. W końcu przestał się szarpać, jednocześnie nie przestając oddychać, co przyjąłem z niemalą ulgą. Teraz musiałem zrobić jeszcze tylko jedno. Zatrzymać listonosza. Sprzedać mu jakąś bajkę

o niepełnosprawnym bracie, przekupić go albo zatłuc. Wstałem i spojrzałem przez okno, ale już go nie było. Przez rozcięcie w szarym poszyciu nieba na ulicę przedostało się trochę światła. Zasłoniłem wybite okno. Poszedłem do łazienki, z której Laura niczego nie zabrała, kiedy odchodziła. Ręczniki, kosmetyki, suszarka, prostownica do włosów, wszystko leżało tak, jak zostało porzucone trzy lata temu. Zabrałem gazę, bandażę, spirytus, pęsetę i ketonal, który od razu pozarłem, popijając wodą z kranu. Przemylem ranę samą wodą. Nie odważyłem się na użycie spirytusu. Mogłem poruszać palcami, więc ścięgnię były całe. Założyłem nieudolny opatrunek, który szybko nabiegł krwią. Kapała grubymi kroplami na podłogę. Jedną ręką odgarnąłem na bok dywan na drodze między oknem a łazienką. Znalazłem baniak z płynem do mycia podłóg, ułałem z niego grubą ścieżkę od pokoju do łazienki i stąpając nad nią okraciem, przeciągnąłem po niej Adama aż do kabiny prysznicowej, trzymając jego nadgarstek lewą ręką. Przepłukałem mu rany, a pęsetą usunąłem odłamki szkła. Dłoń nie oberwała mocno. Najgorzej wyglądało podłużne rozcięcie przedramienia kończące się pod kciukiem. Zarówno moja, jak i jego ręka nadawały się do szycia, ale nie było na to teraz czasu. Założyłem mu opatrunek uciskowy. Z obandażowanymi prawymi dłońmi byliśmy jeszcze bardziej podobni do siebie. Spakowałem nas w pośpiechu: trochę jedzenia, zeszyt Dziadka, woda, spirytus, bandażę, papierosy, ketonal, trochę ubrań, portfel. Jedyne parasol, jaki znalazłem, był w kolorze pastelowo zielonym, w tłuście, żółte grochy. Nie najlepszy egzemplarz, żeby pozostać niezauważonym. Ale nie miałem wyboru. Adam ocknął się, kiedy szukałem parasola. Pomogłem mu włożyć czyste ubrania i zawiązałem mu na twarzy błękitną chustę w czarną kratę. Sam również włożyłem sobie na twarz swoją wymiętą, brudną maseczkę, której nie zmieniałem od początku pandemii. Wirus był teraz w recesji, tak przynajmniej twierdził premier. Coraz mniej ludzi nosiło maseczki, ale osoby starsze nadal sumiennie to robiły, a to przemawiało na naszą korzyść. Z szafki na narzędzia wyjąłem długi, gruby śrubokręt. Zanim schowałem go do kieszeni, kazałem Adamowi go dotknąć.

– Jeśli znowu coś wywiniesz, wpakuję ci go prosto w ucho – ostrzegłem.

Do drugiej kieszeni marynarki schowałem futrzane kajdanki. Wyszliśmy z domu. Na dworze wciąż siąpiło, ale miejscami przez chmury przebijało się słońce. Poprosiłem Adama, żeby wziął mnie pod rękę, swoim zdrowym ramieniem za moje skaleczone. W lewej dłoni niosłem parasol w grochy, starając się trzymać go nad nami po równo. Kiedy doszliśmy do końca ulicy, odwróciłem się i zobaczyłem błyskające na mokrym chodniku niebieskie światło radiowozu. Samochód jechał bardzo wolno, jakby kierowca wypatrywał adresu. Delikatnie szarpnąłem Adama i ruszyliśmy dalej. Mocno krwawiliśmy. Rękawy marynarek, w których schowaliśmy zabandażowane dłonie, zdążyły już całkowicie przesiąknąć. W sklepie wędkarskim kupiłem nylonową żyłkę i komplet haczyków z naklejką Catch&Release, pozbawionych zadzióra na końcu grotu. Pieniądze miałem przygotowane w lewej kieszeni, a krwawiącą prawą rękę trzymałem schowaną poza zasięgiem wzroku sprzedawcy. Jak bardzo nie miałem ochoty na zabawę w chirurga, wiedziałem tylko ja jeden. Wiedziałem też, że w najgorszej sytuacji wykrwawimy się jak prosiaki, a w najlepszej nasze łapy będą do usunięcia, jeśli rany nie zostaną odkażone i zamknięte. Przeszliśmy zaledwie około kilometra, kiedy poczułem gwałtowną słabość, a obraz w oczach zamglili się wzdłuż obwódki, pozostając ostry jedynie pośrodku. Adam szedł tak wolno, że musiałem go niemal ciągnąć, żeby dotrzymał mi kroku, a to dodatkowo odbierało mi siły. Na ulicy Kochanowskiego stał niewielki hostelik, który zapamiętałem jako miejsce pustawe i ustronne. Dotarliśmy do niego, powłócząc nogami i stękając. Przed wejściem do recepcji jeszcze raz przypomniałem Adamowi o śrubokręcie i jego uchu. Recepcjonistka dała nam klucz i zainkasowała pieniądze, nie odklejając wzroku od telewizora, w którym wąsaty mężczyzna w koszuli z cekinami krzyczał na kobietę. Pokój był mały i schludny, z łózkami po obu stronach i oknem wychodzącym na wąski pas zieleni, odsłonięty od chodnika szeregiem karłowatych świerków. Posadziłem Adama na jednym łóżku i wsunąłem nogą

dywanik leżący na środku pokoju pod drugie. Zależało mi na śliskim kawałku parkietu, z którego można łatwo zmyć krew, żeby nie pozostawić śladów. Szafka nocna i krzeselka z Ikei były wykonane z gładkich materiałów, więc ich także mogłem użyć. Zabrałem chodniczki z łazienki, zaprowadziłem Adama pod prysznic, zdjeliśmy opatrunek, kazałem mu uciskać ranę i wróciliśmy na miejsce. Znow siedzeliśmy naprzeciwko siebie tak jak wczoraj, kiedy graliśmy w szachy. Dwoiło mi się w oczach i bardzo się pocilem. Krwawiąca ręka była słaba i zimna, jakbym ją wyjął z przerębli. Dzisiejszy poranek potwierdził moje przekonanie, że Adam naprawdę nie może mówić. W przeciwnym razie zawołałby o ratunek, po tym jak wybił szybę własną ręką, zamiast wymachiwać nią w milczeniu. Mimo to asekuracyjnie ostrzegłem go, że jeśli teraz krzyknie, zamorduję go z zimną krwią. Jak zwykle nie doczekałem się żadnego gestu z jego strony, ale teraz przynajmniej wiedziałem, że mnie słyszy i rozumie. Myślałem o tym, patrząc na krew sączącą się spod jego palców na uciskanej ranie. Nie znałem się na opatrywaniu. Wiedziałem w tym temacie tyle, co każdy, kto przynajmniej raz w życiu obejrzał *Ostry dyżur*. Ranę trzeba oczyścić, odkazić i opatrzeć, a jeśli jest głęboka, również zaszyć. Polanie spirytusem tak głębokiego rozcięcia, w którym widać było rozplataną tkankę mięśniową, wydawało mi się nie do końca zgodne ze sztuką pielęgniarską. Ale nie był to ani czas, ani miejsce na dobieranie optymalnego antyseptyku. Otwarta rana, od połowy przedramienia do nasady kciuka, patrzyła na mnie błagalnie z blatu stolika. Na jej końcu trwał jak zwykle niewzruszony Adam, którego twarz z minuty na minutę bladła coraz bardziej, choć jego szare oczy wciąż były otwarte i nieruchome jak niestrudzeni, chociaż ślepi wartownicy. Otworzyłem butelkę spirytusu i przełożyłem ją do rannej ręki, a zdrową złapałem go za ramię. Odchrząknąłem i wlałem płyn w jego ranę. Nagła konwulsja zatrzęsła jego ciałem jak impuls elektryczny. Gdybym go nie przytrzymał, z pewnością spadłby z krzesła. Z jego ust nie wydobył się najcichszy dźwięk. Skulił się, zwiesił głowę, jakby nie żył, zadrżał i zaczął spazmatycznie sapać. Ścisnąłem go mocniej za ramię. Uspokajał się. Z chwili na chwilę jego oddech wyrównywał się i spowalniał. Kiedy najgorszy ból minął, podniósł głowę. Pierwszy raz, od kiedy go wypuściłem, jego twarz nabrała rumieńców, rozpraszając wapienną biel policzków. Po tym brutalnym zabiegu próg bólu Adama podniósł się o kilka poziomów. Zaszycie rany cienkim wędkarskim haczykiem zdawało się nie robić na nim żadnego wrażenia. Natomiast ja odchodziłem od zmysłów. Ketonal działał poprawnie, ból był słabszy, jednak ruszanie palcami przychodziło mi z trudem. Krew sączyła się przez bandaż na stolik. Moje przedramię ślizgało się po niej. Obraz rozmazywał mi się przed oczami. Zezując, zdołałem lewą ręką przymocować żyłkę do haczyka, pomagając sobie przy tym zębami, a potem spróbowałem przełożyć go do prawej. Skostniałe palce ani myślały mi w tym pomóc. Haczyk co chwila spadał mi na blat. Przełożyłem go z powrotem do lewej ręki i szycie szło już sprawniej, choć niestarannie. Prawa dłoń nie mogła w tym czasie odpoczywać: musiałem ściągać nią do siebie brzegi rany. Bez tego skóra zwisała luźno i ugiwała się pod naciskiem haczyka, zamiast dać się przebić. To dziwne uczucie, kiedy kończyzna, która przez całe życie służy ci bez zarzutu, nagle po prostu odmawia współpracy. Palce przez jakiś czas przyciskały do siebie brzegi rozcięcia, po czym rozluźniały się samoistnie, a krawędzie rozerznętej skóry rozjeżdżały się. Patrzyłem na te przekłete paluchy i zaklinałem je w myślach: „No dalej, wy sine skurwysyny, ścisnąć!”, a one i tak robiły, co chciały, jak gdyby nie należały już do mnie.

– Musisz przytrzymać sobie skórę, Adam. Pokażę ci jak – wymamrotałem ledwo żywy.

Pot lał mi się po twarzy. Tłuste, kwaśne krople wpływały mi do oczu i piekły. Naprowadziłem rękę Adama na przedramię, ustawiłem jego palce po obu stronach rany i kazałem ścisnąć. Teraz było dobrze. Prawą rękę położyłem bezładnie na stole, jakby była już martwa, a lewą przewlekałem koniec haczyka przez skórę Adama. Kiedy wreszcie skończyłem, ledwo zaciskając potrójny supeł na skrawku żyłki przy jego skórze, byłem już bliski omdlenia. Ale nie mogłem teraz zemdleć. Przyszła kolej na mnie. Wykonałem analogiczne czynności co przy ranie Adama, ale tym

razem, mądrzejszy o doświadczenie, przy odkażaniu położyłem się na łóżku i krzyknąłem w poduszkę. Kiedy wróciłem do stolika, miałem równie czerwoną twarz co on. Rana była dwustronna i znajdowała się w mojej dłoni, więc przygotowywałem się na podwojoną dawkę bólu i wysiłku. Przelanie sobie solidnej ilości spirytusu przez otwartą dłoń całkiem dobrze mnie otrzeźwiło. Powrócił jednak problem drugiej ręki. Przymknąłem oczy, myśląc o tym, że może by tak to zostawić i wykrwawić się w tym cichym i przytulnym pokoiku. To byłby nawet całkiem miły koniec. Adam złapał mnie za nadgarstek. Wyrwałem się. Godzinę wcześniej podobny gest poprzedził przebicie mojej dłoni nożem do owoców.

– Znowu coś knujesz? Czy chcesz mi pomóc? – wybełkotałem.

Miałem dreszcze. Przez moje żyły wciąż płynęło na zmianę ciepło i zimno, jak o poranku, kiedy ten cholerny nóż dopiero co pojawił się w mojej dłoni. Gapiłem się na Adama, trzymając w powietrzu haczyk. W końcu się otrząsnąłem.

– No dobrze – powiedziałem i pomogłem jego palcom ustawić się po obu stronach rany na wierzchu mojej ręki.

Szyłem, zerkając na niego od czasu przez zaklejone potem, opadające powieki. Zastanawiałem się, co widzi. Nie wiedzieć czemu, nagle wydało mi się to strasznie interesujące. Czy ma w głowie jakiś obraz, czy może żyje w ciągłej ciemności, jak przez ostatnie dwa lata w piwnicy. Czucie ciepła jego palców na mojej chłodnej z braku krwi dłoni było trochę wstydlive, choć jednocześnie kojące. Kiedy przewlekałem haczyk ostatni raz, zasypiałem już prawie na swoim ramieniu. Adam po drugiej stronie nocnej szafki także znajdował się gdzieś między snem a swoją straszną, nieodgadnioną jawą. Nasze dłonie krzyżowały się pośrodku uwalonego krwią blatu. Pomyślałem, że wygląda to jak siłowanie się na ręce, w którym coś poszło wybitnie nie tak. Założyłem nam świeże opatrunki, przykułem Adama za nogę do łóżka, a sam przesunąłem się wraz z krzesłem pod okno, żeby zapalić papierosa. Nie wstawałem, żeby się nie przewrócić. Sukces zabiegu obudził we mnie ostatnie pokłady energii. Nie wiedziałem, że mam ich aż tak dużo. Obudził przynajmniej na tyle, że mogłem jeszcze trochę pomyśleć. Byliśmy wykończeni, ale trzeba było iść dalej. Pomyślałem o radiowozie, który sunął wolno przez Orłowskiego. Zastanawiałem się, co teraz robią ci policjanci. Czy znaleźli już wyłamane okno w piwnicy? Weszli do domu Laury? Widzą stopy jedzenia i brudne talerze, krew na podłodze? A może są już nawet u mnie. Jeden ogląda pobojowisko w kuchni, przegląda płyty, wacha niedopałki i zerkna w puste butelki po alkoholu. Zadeptuje nasze ślady w kurzu i ceglanym pyłe. Drugi schodzi do piwnicy. Świeci latarką na wilgotne, wąskie schodki, patrzy na dziurę w ścianie. Wchodzi do celi. Widzi ryty na ścianach, książki, pryczę i nieprzebraną górę puszek. Rybki pobłyskujące w brodziku. Szachy na środku sali. Martwe szczury. Co czuje? O czym myśli? Opiera się o ścianę, żeby nie upaść? Rozdziawia szeroko usta? Co się z nim dzieje? Nigdy czegoś takiego nie widział. Boi się? Mówi coś przez krótkofalówkę? Wraca na górę po drugiego? Krążą po celi, miętoszając czapki w dłoniach, i patrzą na siebie, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów?

ROZDZIAŁ 8

*Zaprawdę, wiedziałeś Boże,
Czemuż mi wdział tę obrożę,
Wiedziałeś! Byłbym tytanem,
Który by niebo szturmował,
Górę tę pchniętą kolanem
Na drugiej bym umocował,
Aż bym te słońca kryształą
Dosiągnął, potrzaskał w kawały!*⁶

Westchnąłem i zsunąłem okulary do połowy nosa. Złożyłem książkę na kolanach i spojrzałem na profil Adama i na przesuwający się za nim obraz. Pociąg wyjeżdżał z Wrocławia, sunąc wiaduktem nad rzeką. Popielate bryły blokowiska ledwo zaznaczały swoją obecność na tle nieba. Płynąca z niego szarość wdzierała się w każdą materię, jakby chciała zakryć sobą wszystkie inne barwy. Wstałem, przeszedłem się po przedziale i usiadłem przy oknie, naprzeciwko Adama. Krople deszczu rozbijały się o szybę, tworząc krzyżujące się, przerywane linie. Pociąg przejeżdżał właśnie wzdłuż czarnego murka oddzielającego torowisko od jezdni. Siedziała na nim dziewczyna o kręconych, kasztanowych włosach. Przygryzając długopis, nachylała się nad rozłożonym zeszytem. Jej spódniczka, biała koszula i szkolny mundurak były przemoczone. Kartki zeszytu także. Podniosła wzrok i na chwilę nasze oczy się spotkały. Zastanawiałem się, co pisze. Patrzyłem za nią, aż stała się tylko małym, czarno-białym punkcikiem, aż w końcu rozmyła się w szarościach jak cały ten niedobry dzień. Podciągnąłem mankiet i obejrzałem prawą dłoń. Krew i śluz sączyły się w gruby opatrunek i zasychały, tworząc na nim twardą skorupkę. Nachyliłem się do przodu i podwinąłem rękaw Adama. Operacja, którą przeprowadziłem w hostelu, udała się całkiem nieźle. Krwawienia zostały zatamowane. Pomyślałem, że przydałyby się nam lekarstwa przeciwzakrzepowe. Póki co przyszło mi do głowy, żeby lekko ruszać palcami i nadgarstkiem dla podtrzymania krążenia. Od czasu do czasu przypominałem o tym Adamowi, a on posłusznie przebierał palcami, zginał rękę w łokciu i nadgarstku. Od porannego incydentu stał się pokorniejszy, ale śrubokręt w mojej lewej kieszeni wciąż trwał w pogotowiu. Martwiło mnie, że znowu czułem się senny. Byliśmy w przedziale sami, ale w każdej chwili ktoś mógł się dosiąść. Nawet najmniej ciekawski pasażer wcześniej czy później zainteresowałby się erotycznymi kajdankami, łączącymi mojego towarzysza z rurą pod fotelem. Ten sposób zabezpieczenia musiałem więc skreślić z listy. Nie miałem pojęcia, co się dzieje w milczącej, nieruchomej głowie Adama, ale wiedziałem już, do czego może być zdolny. Czy gdybym zasnął, znowu podjąłby próbę ucieczki? Wolałem się o tym nie przekonywać. Ostatecznie postanowiłem nie spać i zmuszałem się do czytania na głos *Życia snem*, na przemian stojąc, chodząc i siedząc.

*Jakże uczuciom ja skłamię,
Jakże się oprę o ramię,
Któreś zabójstwem zaprawił?*

*Sztylet, który się zakrwawił,
Wstręt i odrazę w nas budzi,
Miejsce, gdzie człeka zgładzono
Pustkowiec staje dla ludzi:
Jakże się oprzeć o łono,
Jak ramion szukać objęcia
Krwawego zbrodnią dziecięcia?
Miłość ku tobie mnie woła,
Czyn mnie twój krwawy odtrąca,
Dusza przerażeniem drżąca
Przytulić ciebie – nie zdoła...⁷*

Na chwilę zamknąłem oczy. Poczułem, jak ogarnia mnie błogość, i z wielkim wysiłkiem podniosłem powieki. Tekst czytany setny raz był równie jednostajny i usypiający jak miarowe stukanie kół pociągu o szyny. Pomyślałem, że dobrze będzie zacząć mówić, cokolwiek, byleby coś od siebie, z głowy. Liczyłem, że jeśli mózg będzie tworzyć, zamiast odtwarzać, wskoczy na wyższe obroty i odechce mi się spać. Adam przekręcił lekko głowę, jakby podążał wzrokiem wzdłuż linii elektrycznych biegnących nad polami.

– Widziałem dziewczynę na torach – odezwałem się. – Siedziała samotnie w deszczu. Pomyślałem, że może rozważy samobójstwo. Myślisz, że chciała to zrobić?

Adam przełożył rękę z uda na stoliczek i kilka razy zgiął i rozprostował palce. Obrząk wokół rany rozlał się daleko. Czarne smugi dochodziły prawie do paznokci.

– Dlaczego ty się nie zabiłeś? Wiem, że próbowałeś.

Adam wzruszył ramionami.

– Miałeś nadzieję, że cię wypuszczę? Albo że uda ci się uciec?

Pociąg wystraszył żerujące w polu ptaki. Poderwały się do lotu, zbiły w chmurę i odleciały. Patrzyłem, jak maleją do wielkości ziarenek, jakby ktoś cisnął w niebo garść maku.

– Jak myślisz, jak to się skończy? Będzie happy end?

Ptaki zawróciły, zrobiły pętlę nad polem i znów odleciały.

– Widziałem ryty na ścianach. Nie miałeś dla mnie litości. Zabawne. – Obejrzałem swoją dłoń. – Przebitej ręki tam nie widziałem. Co byś zrobił, gdyby udało ci się uciec? Dokąd byś poszedł?

Pociąg zaczął zwalniać. Zbliżaliśmy się do stacji. Słońce schowane za chmurami zniżało się za horyzont. Zbliżał się wieczór.

– Widziałem twoją córkę – odezwałem się po długiej chwili. – O Jezu, to wrak człowieka. Była oblepiona własnymi rzygami. Leżała pod stertą flaszek i brudnych gaci.

Adam poruszył się, westchnął i przeniósł martwe oczy z szyby na podłogę.

– Jej facet to były ksiądz – ciągnąłem, byleby tylko mówić. – Ma jakąś religijną obsesję na punkcie Jonasza. Wiesz w ogóle, że jesteś dziadkiem? Jonasz i twoja córka mają trzy dziewczynki. Jedna chyba jest niemową, druga leży w śpiączce po wypadku, a trzecia jest bardzo smutna. Takie odniosłem wrażenie. Ta cicha nazywa się Katarzyna Sandra, ale mówią na nią Kasandra. Jak ta grecka wieszczka. Myślę, że może faktycznie zna przyszłość. Pogroziła mi palcem, jakbym zrobił coś złego. Albo miał zrobić. Jakby coś wiedziała.

Uśmiechnąłem się pod nosem na wspomnienie śmierci i cudownego odrodzenia białego szczura. Kiedy wspomniałem o nim Adamowi, wzdrygnął się.

– Dały ci popalić, co? Widziałem blizny. A wracając do twojego zięcia, on twierdzi, że Bóg pozwoli twojej wnuczce zbudzić się ze śpiączki, jeśli przeprosi go za grzechy i obieca poprawę. Niezłe, co? Dowiedziałem się, że wierzy w takie rzeczy. Ale twoja córka chyba już przestała czekać. Na nią, na ciebie... Tak, wyglądała jak ktoś, kto już od dawna na nic nie czeka.

Adam podniósł oczy. Nachyliłem się do przodu, opierając łokcie na udach, i spojrzałem głęboko w te zadymione, czarne punkty, podobne do luf dymiących po wystrzale.

– Chciałbyś do nich wrócić?

Pociąg szarpnął i zaskrzypiał. Wjechaliśmy na małą stacyjkę pośrodku trawiastego pustkowia. Na ogrodzeniu przy naszym oknie przysiadła jaskółka. Adam obrócił się do niej, jakby ją zauważył. Przytknął dwa palce do szyby. Ptak podfrunął do nich na chwilę i wrócił na ogrodzenie. Konduktorski gwizdek rozproszył ciszę, ptak odleciał, a pociąg ociężałe ruszył w dalszą drogę.

– Muszę się przespać, Adam. Proszę cię, nie próbuj uciekać. Nie testuj mnie więcej tak jak dziś rano.

Wstałem i usiadłem obok niego. Oparłem głowę o jego ramię, prawą ręką ostrożnie objąłem go w łokciu, a lewą wsunąłem do kieszeni i zacisnąłem na rączce śrubokręta.

Obudziłem się wtulony policzkiem w jego pierś. Pomiędzy moimi ustami a jego marynarką wisiała gruba nić śliny. Otarłem ją mankietem i spojrzałem na zegarek. Dochodziła trzecia trzydzieści. Miałem sucho w gardle i okropnie piekły mnie oczy. Potrzebowałem wody. Ta, którą zabrałem na podróż, już dawno się skończyła. Adam spał głęboko, oparty o zagłówek, a usta miał rozwarte i nieruchome jakby nie żył. Z jego krtani dochodziło ciche rżenie. Wyszedłem na korytarz i przeszedłem się wzdłuż przedziałów. W pociągu nie było wielu podróżnych. Spali rozłożeni na siedzeniach i przykryci ubraniami. Wróciłem, wyjąłem z kieszeni kajdanki Laury i przykułem Adama do ramy fotela. Zamierzałem pójść do wagonu restauracyjnego kupić butelkę wody. Dla własnego spokoju przykryłem nogi Adama swoją marynarką, tak aby zasłaniała kajdanki. W pociągu było ciepło. Odpiąłem pierwszy guzik koszuli i poszedłem. Każdy kolejny korytarz był pusty. Księżyc wyszedł zza chmur i świecił blado nad lasem, odbijając się w szybach przedziałów. W wagonie restauracyjnym zastałem jedynie barmana i młodego mężczyznę w granatowej koszuli. Kiedy kupiłem wodę i ruszyłem do wyjścia, mężczyzna coś do mnie powiedział. Odwróciłem się i poprosiłem, żeby powtórzył. Miał młodą, prawie chłopięcą twarz, pokrytą krótkim, czarnym zarostem.

– Ciężka noc, proszę pana? – uśmiechnął się łagodnie.

To był jeden z tych uśmiechów, przy których wiesz, że łatwo zaprzyjaźniłbyś się z jego właścicielem.

– Ma pan strasznie czerwone oczy – zauważył.

– Pewnie tak – odparłem. – I okropnie mnie pieką.

– Postawię panu piwo – zaoferował i wskazał wolne miejsce naprzeciw siebie.

– Dziękuję. To bardzo miłe, ale niestety muszę wracać.

– Do kobiety? – zabrzmiało to trochę jak pytanie, a trochę jak stwierdzenie.

– Do mojego brata. Jest kaleką. Nie lubię go zostawiać samego.

– Co on teraz robi?

– Śpi.

– Więc, proszę nie zrozumieć mnie źle, pańska obecność jest mu tymczasowo obojętna.

Mężczyzna nie wydawał się mieć złych intencji, a wizja wypicia zimnego piwa stała się nagle bardzo kusząca. Adam spał. Na nodze miał kajdanki. Pociąg był prawie pusty. Jedno piwo i wracam, pomyślałem. Skinąłem głową i się przysiadłem. Obandażowaną prawą dłoń położyłem na udzie poniżej poziomu blatu. Młody człowiek skinął barmanowi, pokazując na swoją szklanekę. Barman po chwili przyniósł drugą i postawił ją przede mną.

– Przelać? – zapytał mnie sennym głosem.

– Dziękuję – odparłem i wziąłem od niego samą butelkę.

Kiedy zostaliśmy sami, mężczyzna przedstawił się:

– Sylwester.

– Jan.

Stuknęliśmy się szkłem. Piwo było lekkie, słodkawe i bardzo zimne. Od razu wypilem też drugi i trzeci łyk.

– Więc mówisz... – zaczął Sylwester – ...że nie sypiasz zbyt dobrze.

– Jeszcze tego nie mówiłem, ale tak, mam z tym duży problem.

– Przykro to słyszeć. Jak sobie z tym radzisz? Jakie są twoje sposoby?

– Kiedy byłem trochę młodszy, lubiłem się solidnie zmęczyć, zanim poszedłem do łóżka. Przebiegałem kilka kilometrów, walczyłem z cieniem albo skakałem na skakance. To przez jakiś czas pomagało, ale szybko się wyrobiłem fizycznie i coraz trudniej było mi się zmęczyć. Musiałem więcej biegać i dłużej skakać, a nie miałem na to siły ani ochoty. Potem się zestarzałem i sport już zupełnie poszedł w odstawkę. Przez jakiś czas brałem leki nasenne. Leki pomagały.

– A próbowałeś kiedyś krzyczeć?

– Krzyczeć?

– Aha. – Sylwester potrząsnął głową. – Ja też kiedyś przestałem sypiać i szukałem na to sposobu. Próbowałem różnych rzeczy, ale większość nie działała tak jak chciałem albo działała tylko przez krótki czas. Dopiero krzyczenie okazało się zawsze skuteczne.

– Nigdy nie słyszałem o takim sposobie. I gdzie to się tak krzyczy? Chyba nie w domu?

– W lesie. Mieszkam akurat blisko lasu. Wystarczy, że przejdę dwie ulice i już tam jestem. Wyrobiłem sobie taki zwyczaj, że każdego dnia pod wieczór wchodziłem do niego, bardzo głęboko, żeby nikt mnie nie widział ani nie słyszał, i darłem się w niebogłosy. Po solidnej dawce krzyczenia wracałem do domu i zasypiałem jak dziecko.

– A co krzyczałeś?

– Głównie samogłoskę „a”. Czasem jakieś przekleństwa.

– I to naprawdę działa?

– Och, i to jak. Przysięgam.

– Będę musiał sprawdzić.

– Nie pożałujesz.

Sylwester przecesał ręką włosy i napił się piwa.

– Dokąd jedziesz? – zapytałem, bo nic ciekawszego nie przychodziło mi do głowy.

– A nie wiem – uśmiechnął się.

– Nie wiesz?

– Nie mam bladego pojęcia.

Popatrzyłem, jak kącik jego ust unosi się, podrygując lekko. Roześmiał się. Miał ciepły, przyjemny śmiech, przy którym można by się ogrzać w zimny dzień jak przy kominku. Ja też się roześmiałem.

– Ściemniasz – powiedziałem, jeszcze trochę się śmiejąc.

– Nie, naprawdę. – Jego oczy pociemniały odrobinę. – Naprawdę, nie wiem dokąd jadę.

Próbowałem odgadnąć, czy znowu żartuje czy nie.

– No dobrze – powiedziałem w końcu. – Jak nie wiesz, to nie wiesz.

– Chyba mogę nie wiedzieć, no nie?

Patrzył wyczekująco, jakby moje zdanie w tej sprawie miało dla niego istotne znaczenie.

– Chyba... – zbierałem przez chwilę myśli. – To chyba zależy od wieku. Myślę, że taki młody chłopak jak ty może sobie jeździć bez celu, jeśli chce. Odkrywać nieznane. Eksperymentować. Ja tak nigdy nie robiłem, ale wiem, że inni robili. Nic w tym złego. To chyba nawet fajne.

– Nigdy nie podróżowałeś?

– Nigdy. To znaczy nie na poważnie. Jeździłem trochę po Polsce z rodzicami, kiedy jeszcze żyli. Wakacje, ferie i takie tam. Ale potem już nie.

– Dlaczego? Nie chciałeś poznać świata?

– Chciałem. – Nagle zrobiło mi się smutno. – Bardzo chciałem. Ale nie mogłem. Sylwester podniósł oczy do góry, jakby coś liczył albo łączył ze sobą fakty.

– Chryste, przepraszam cię – zawołał nagle. – Jestem zbyt wścibski. Już wszystko rozumiem. Nie musimy o tym rozmawiać.

– Co rozumiesz? – zapytałem trochę zagubiony. – Bo teraz to nawet ja nie rozumiem.

– Musiałeś przecież zająć się bratem. Wspominałeś o nim na początku naszej rozmowy. Wypadło mi to z głowy, przepraszam. Czasami zupełnie brak mi wyczucia.

– Nawet ja o tym zapomniałem – powiedziałem, żeby nie czuł się już taki skruszony. – Nie przejmuj się, chłopcze. Ja się przecież nie gniewam.

Wypiliśmy po łyku piwa. Sylwester otarł pianę z górnej wargi i oparł się łokciami o stół. Zapatrzył się gdzieś w ciemność za oknem. Coś nie dawało mu spokoju.

– To musi być takie trudne – powiedział nagle. – Nie wyobrażam sobie tak poświęcić życia dla innego człowieka, nawet bliskiego, nawet dla rodziny. To przecież taki ciężar...

– Owszem – przytaknąłem. – Ciężar. Czasem nie do zniesienia. Ale trzeba go nieść.

– I nie było ci szkoda tego wszystkiego, co cię ominęło?

– Pewnie, że było. Ale staram się o tym nie myśleć. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym go zostawić.

– Nie rozumiem. Przecież są jakieś, nie gniewaj się, że to mówię... ośrodki, zakłady opieki...

– Jasne, że są. Ale ja musiałem zrobić to sam.

– Dlaczego?

– Ponieważ tak trzeba.

– Podziwiam cię, człowieku. Naprawdę cię podziwiam.

– Sam byś tak zrobił. Nie wiesz o tym, bo nie byłeś w takiej sytuacji. Ale zrobiłbyś.

– Może. Nie wiem. Nie mam pojęcia. – Sylwester pokiwał głową i przechylił butelkę.

– Ale masz jakąś kobietę, prawda? – zapytał po chwili z taką lekkością, jakby tematy opieki nad kalekim bratem i bycia w związku z kobietą były ze sobą jakoś połączone.

– Oczywiście – skłamałem swobodnie. – Mam żonę. Poznaliśmy się bardzo późno. Niecały rok temu. Piękna kobieta.

– Jak ma na imię?

– Ma na imię Ewa.

– I mówisz, że jest piękna? – zapytał z niedowierzaniem. – A ile ma lat?

– Tyle co ja. Uwierz mi, młody człowieku, kobiety w moim wieku potrafią być niezwykle urodziwe.

– Ale...

– Tak, tylko dla mężczyzn w moim wieku. Po co miałyby się podobać komuś innemu?

Sylwester przytaknął tej logice niemym skinieniem głowy.

– Z kobietą żyje się o wiele łatwiej niż samemu, prawda? – zapytał po chwili.

– Zdecydowanie. Kobieta jest dla mężczyzny jak druga noga. Można skakać ciągle o jednej, ale po co się tak męczyć?

– Ty długo skakałeś na jednej.

– Długo. Ale warto było poczekać. A ty? – zapytałem, pocierając oko. – Masz kogoś?

Mężczyzna znowu spoważniał.

– Nie. Już nie.

– Chciałbyś o tym pogadać?

– Chyba nie. Nie czuję się jeszcze gotowy.

– Jasne, rozumiem. Ty wiesz najlepiej.

W mojej butelce została jeszcze odrobina piwa. Sylwester też już kończył swoje.

– Czym się zajmujesz? – zapytałem go po chwili.

– Niczym ważnym. Na pewno nie tym, co chciałbym robić.

– A co chciałbyś robić?

– Mam kilka pomysłów. Kiedyś trochę pisałem. Pomyślałem sobie, że może napiszę powieść.

– To piękny pomysł. Dobrych powieści nigdy za wiele. Będę trzymał kciuki, żeby ci się udało.

– Dziękuję. A ty? Jak zarabiasz na życie?

– Cóż, mało w tym zarabiania... Jestem teraz na emeryturze. A wcześniej uczyłem angielskiego w szkole. Póki jeszcze nie jesteś autorem bestsellerów – dodałem – to jak zarabiasz na chleb z masłem i na rachunki?

– Wstyd się przyznać. Jestem maszynistą.

– Maszynistą? Na kolei?

– Zgadza się.

– Mam nadzieję, że nie w tym pociągu – zażartowałem.

Sylwester się nie zaśmiał ani nie odwzajemnił mojego uśmiechu. Patrzyłem, jak dopija piwo i przeciąga się na fotelu. Nagle jakby zupełnie przestał mnie zauważać. Przez chwilę czytał etykietkę na piwie, zdrapując ją po kawałku paznokciem. Potem wyciągnął telefon i zagłębił się w treści na ekranie, wolno przesuwając palcem po wyświetlaczu. Wstałem i zrobiłem parę kroków w głąb wagonu, nie spuszczać z niego wzroku. Nie podniósł nawet głowy. Podszedłem do barmana. Pił espresso, oparty brzuchem o kontuar.

– Wszystko w porządku? – zapytałem go.

– W jak największym, bracie – odparł przyjaźnie.

– Na pewno?

– Jeszcze jak.

Zostawiłem ich i przeszedłem przez następne wagony. Miejsca w lokomotywie były puste z wyjątkiem jednego, na którym chrapał pulchny konduktor w pomarańczowym krawacie przewieszonym przez ramię. Ominąłem go, wspiąłem się po schodkach i otworzyłem drzwi maszynowni. Wszedłem do środka. W dusznym świetle lampy na szerokim pulpicie migąły kolorowe przyciski i wskaźniki. Wskazówka prędkościomierza zbliżała się do stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Obraz pochłanianych szyn dygotał w świetle reflektorów za przednią szybą. Fotel maszynisty był pusty. Drugi też. Odwróciłem się i wróciłem do wagonu restauracyjnego. Sylwester zaczynał właśnie następne piwo. Usiadłem naprzeciwko niego.

– Zaraz zginiemy – powiedziałem.

– Wielkie mi co – rzucił niedbale i przechylił szklankę. – Jeszcze po jednym?

– Nie – odparłem i wyrwałem mu piwo z ręki. – Idź do lokomotywy i zatrzymaj pociąg.

Sylwester kiwnął na barmana. Tamten wyminął mnie i podał mu drugą butelkę.

– Zobacz – wskazał na szklankę w mojej dłoni. – Nie chciałeś drugiego piwa, a jednak je dostałeś. Los czasami lepiej wie, czego nam trzeba.

– Posłuchaj no. – Nachyliłem się ku niemu i mimowolnie pociągnąłem łyk. – Może ty nie masz powodów, żeby żyć, ale ja muszę załatwić coś ważnego i nie mogę dzisiaj umrzeć. Zróbmy tak: zatrzymasz teraz ten pociąg, ja i mój brat wysiadzimy, a potem ruszysz dalej i popełnisz swoje kolejowe ludobójstwo już bez nas. Co to dla ciebie za różnica?

Sylwester pokręcił głową.

– Skąd w ogóle ta pewność, że wszyscy zginą? – zapytał.

– Nawet jeśli nie wszyscy, to część.

– Zależy ci na tych ludziach? Znasz ich?

– Nie znam i nie zależy. Ale istnieje prawdopodobieństwo, że będziemy wśród tych, którzy nie przeżyją, a tego bardzo bym nie chciał.

– E, tam. – Sylwester machnął ręką. – Nie przykładalbym takiej wielkiej wagi do prawdopodobieństwa. Posłuchaj, dlaczego nie możesz po prostu usiąść tu ze mną, napić się piwa i zobaczyć, co się stanie?

– Obiecałem coś komuś i muszę dotrzymać tej obietnicy, a do tego muszę być w stu procentach żywy.

– Boże! Ale z ciebie nudziarz, Janie! – Sylwester przewrócił oczami, odstawił piwo i wstał. – Myślę, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś chociaż raz odpuścił i przestał wszystko kontrolować. Ale niech ci będzie, zatrzymam ten jebany pociąg, skoro się tak uwziąłeś.

Na początku przedziału otworzyło się z hukiem niedomknięte okno i do środka wdarł się wiatr, porywając ze stołów kubki i serwetki.

– Cholera! – zawołał Sylwester, przekrzykując hałas. – Chyba już jednak za późno!

Usłyszałem gruchotanie kamieni i szcęk wyginającej się stali. Sylwester złapał się stolika i wbił spojrzenie w koniec przedziału. Ja również tam spojrzałem. Poprzedzający nas wagon coraz bardziej odchyłał się od pionu. Pociąg wyskoczył z torów na wysokim usypisku. Wagony zjeżdżały w dół po kamieniach i jeden po drugim przewracały się na bok. Nasz wagon właśnie przekraczał czterdzieści pięć stopni nachylenia od poziomu.

– Niech ci nie będzie przykro, Janie! – usłyszałem głos Sylwestra. – Nie miałeś na to żadnego wpływu!

Wagon z jękiem przewrócił się na kamienie i zgasło światło, a pociąg sunął dalej pchany jeszcze siłą rozpędu. Upadłem na ścianę, która była teraz podłogą, i poczułem, jak wybite zęby objijają mi się po jamie ustnej. Wokół słyszałem tylko rozsadzający uszy hałas.

Otworzyłem jedno oko. Policzek bolał mnie od przyciskania go do kościstego ramienia Adama. Lewą rękę schowaną w kieszeni zaciskałem z całej siły na rączce śrubokręta. Pociąg jechał spokojnie przez łąki skąpane w szarościach. Mrugnąłem. Naprzeciw nas stała dziewczynka w zielonym sweterku. Miała piękne, gęste blond włosy obcięte równo na wysokości obojczyków. Moja źrenica powoli pokonała drogę od dziewczynki do drzwi przedziału. Zatrzymała się na młodej, równie pięknowłosej dziewczynie siedzącej po turecku przy wejściu. Miała w uszach drewniane, spiralne kolczyki. Czytała książkę, skubiąc palcami dolną wargę. Kiedy na nią spojrzałem, podniosła oczy i uśmiechnęła się.

– Czy Lena panom przeszkadza? – zapytała.

Zerknąłem na dziewczynkę wpatrzoną jak w hipnozie w oczy Adama i zaprzeczyłem ruchem głowy.

– To super – powiedziała dziewczyna i wróciła do lektury.

Za oknami szarzało, ale wciąż było widno. Spojrzałem na zegarek. Senne spotkanie i wykolejenie pociągu trwały jedyne dwadzieścia minut. Byłem teraz jeszcze bardziej zmęczony i rozsypany niż przed drzemką.

– Dlaczego pan jest smutny, proszę pana?

Pytanie nie było do mnie.

– On ci nie odpowie – westchnąłem, przecierając oczy. Chciało mi się siku, ale nie miałem ochoty wstawać. Założyłem nogę na nogę żeby przyblokować pęcherz. – Jest niemową.

Dziewczynka przybrała zatroskaną minę.

– To dlatego jest smutny? Bo nie może mówić?

Uśmiechnąłem się półgębkiem i oparłem łokieć na udzie, nachylając się ku niej.

– Dlaczego myślisz, że jest smutny? Zobacz – wskazałem obiema dłońmi twarz mojego towarzysza jakbym prezentował obraz na aukcji. – Jego twarz nie wyraża smutku. On po prostu

sobie siedzi. Nie jest smutny.

– Jest – dziewczynka nie dawała się przekonać.

Było coś uroczego w uporze, z jakim obstawała przy swoim zdaniu.

– Gdzie to widać? – spytałem zaciekawiony. – Pokaż mi. Gdzie Adam jest smutny?

– Tu – powiedziała i wskazała palcem na jego usta. On ma na imię Adam?

– Tak, Adam. Moim zdaniem jego usta wyrażają obojętność. Są jak prosta kreska, widzisz? Zupełnie jak u człowieka, który o niczym nie myśli. Albo który śpi.

– Ja uważam, że są smutne. I jeszcze tu jest smutny – wyciągnęła palce w jego stronę tak blisko, że nieomal musnęła opuszkami jego gałkę oczną.

Przez cały ten czas Adam nawet nie drgnął.

– Jego oczy nie mogą być smutne – powiedziałem.

– Dlaczego nie mogą?

– Ponieważ są martwe. Martwe rzeczy nie są smutne.

– Są.

– Nie. Martwe rzeczy są po prostu martwe. Niczego nie wyrażają. Nie ma w nich niczego smutnego.

– Pan go po prostu nie lubi – dziewczynka powiedziała z powagą. W jej rezolutnym głosie zabrzmiał ton wyrzutu.

– Oczywiście, że lubię.

– Nieprawda.

– Mieszkamy razem, wspólnie jemy posiłki i nawet czytamy te same książki. I to o wiele dłużej niż ty żyjesz na tym świecie, młoda damo.

– To o niczym nie świadczy – ucięła Lena.

– Nie?

– Nie. Mój tato też z nami mieszkał. Też jadł to, co my, i czytał te same książki, co mama, ale w ogóle nas nie lubił. Tak bardzo nas nie lubił, że pewnego dnia poszedł do pracy i nie wrócił.

– To prawda – powiedziała dziewczyna z kolczykami, nie odrywając oczu od książki.

– A może to wcale nie było tak, że was nie lubił. Może miał inny powód, żeby odejść.

– Nie lubił – odpowiedziała Lena bez krztyny wątpliwości.

– Skąd wiesz?

– Bo... – zastanawiała się przez chwilę – ...bo nigdy mi nic nie opowiadał.

– Może nie był typem gaduły? – Próbowałem bronić tego nieznanego faceta. Łatwo jest źle mówić o tych, którzy odchodzą. Rzadko kiedy ktoś próbuje ich zrozumieć.

– Mówił, i to całkiem dużo. Do swoich kumpli potrafił gadać jak najęty. Ale nie do mnie. Nigdy nie pytał, jak się czuję, nie czytał mi bajek, nie opowiadał, jak mu minął dzień, ani nie prosił, żebym ja mu opowiedziała, jak mi minął mój. Prawie nigdy nie było go w domu, a jeśli akurat był, to spał albo oglądał telewizję.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Położyłem sobie prawą rękę na brzuchu i zacząłem delikatnie podkurczać i rozprostowywać palce. Dziewczynka z zainteresowaniem przyglądała się tym nieporadnym próbom.

– A pan mu czyta? – zapytała, obserwując, jak ruszam palcami. – Albo opowiada, co się dzieje dookoła?

– Czytam – przytaknąłem, pokazując *Życie snem*. – Ale nie opowiadam.

– Dlaczego?

– A po co miałbym to robić?

– Jezu, pan jest straszny! – wykrzyknęło dziecko, trochę na popis, ale trochę też na poważnie.

– Nie jestem straszny. – Broniłem się. – Przecież powiedziałem, że mu czytam.

– To bardzo ładnie – pochwaliła mnie. – Ale musi pan też mu mówić, co jest dookoła. Przecież on tam ma ciągle ciemno! – Pokazała na jego oczy.

– Skąd to wiesz? Może ma bogatą wyobraźnię i widzi rzeczy o wiele piękniejsze niż my?

– Pan go po prostu nie lubi – powtórzyła dziewczynka, z większą pewnością niż za pierwszym razem.

– No dobrze już – wykrztusiłem. – Masz rację. Może nie lubię go na tyle, żeby opisywać mu przedział, ciebie i chmury. Nie mam na to ochoty i nie będę tego robił. Adam kiedyś bardzo mnie skrzywdził. A ja skrzywdziłem jego. Nasza przyjaźń nie jest łatwa.

Poczułem się trochę nieswojo, tłumacząc się tej małej. Popatrzyła na mnie odrobinę rozżalona, ale mimo to także z pewną dozą zrozumienia. Nie mogłem się zdecydować, na ile to ja ją idealizowałem, a na ile naprawdę była zbyt dojrzała i zbyt mądra jak na swój wiek.

– A czy w takim razie ja mogę mu coś poopowiadać? – zapytała.

– Jeśli chcesz. I jeśli on chce...

– Będzie mu miło – zapewniła.

– W takim razie nie widzę przeszkód – odparłem i przesunąłem się o jedno miejsce.

Dziewczynka usiadła między nami i od razu złapała Adama za rękę. Wzdrygnął się. Dotyk drobnej, niewinnej istoty, która nie chciała zrobić mu krzywdy, musiał być dla niego szokiem. Podobnie było z Dantem. Bliskość jego ciepłego, miękkiego ciała była dla Adama tak silnym przeżyciem, że nie mógł powstrzymać wzruszenia i rozplakał się, kiedy kot usiadł mu na udach. Teraz Adam uspokoił się i zacisnął palce na dłoni Leny. Pomyślałem, że wyglądają jak dziadek i wnuczka jadący razem na wspólne wakacje. Otworzyłem *Życie snem* i udawałem, że czytam. Dziewczynka odwróciła się do mnie plecami, zasłaniając mi Adama, złożyła rączki w trąbkę i szeptała mu do ucha. To był ich sekretny pakt, tajemne historie, do których nie miałem dostępu. Wychyliłem się, żeby spojrzeć na mojego towarzysza. Zdawało mi się, że jego surowe oblicze trochę się rozpogadza. A może tylko ruch światła i cienia na jego twarzy dawały takie wrażenie. Ślizgałem się wzrokiem po słowach La Barki bez krzty zrozumienia, jakby były napisane w nieznanym mi języku. Po chwili poczułem, że Lena delikatnie ciągnie mnie za rękaw.

– Jak pan ma na imię? – zapytała.

– Jan.

Dziewczynka kiwnęła głową i kontynuowała swoje sprawozdanie. Nie mogłem powstrzymać ciekawości i odłożyłem książkę.

– Opowiadasz mu o mnie? – zapytałem niby od niechcienia.

– Tak – rzuciła krótko.

Sprawdziłem, jak szeroko mogę otworzyć dłoń. Rozpostarłem ją mocniej niż powinienem i poczułem, jak przecięty mięsień napina się zbyt mocno. Syknąłem z bólu, jakby ktoś wlał mi za bandaż wrzątek. Matka Leny spojrzała na mnie z niepokojem, ale bez komentarza wróciła do lektury. Dziewczynka, niepomna na moje cierpienie, mówiła bez przerwy, a jej głos schowany w małych dłoniach brzmiał jak szum wody.

– I co mu o mnie opowiadasz? – zapytałem.

Zrobiła krótką pauzę, odwróciła się do mnie i cmoknęła. Nie wiedziałem, co to cmoknięcie ma znaczyć.

– Że jest pan do niego podobny – powiedziała. – Jest pan nieco niższy i nie tak bardzo chudy, ale jesteście podobni. Trochę jak bracia.

– Też to zauważyłem. A coś jeszcze?

– Żeby się na pana nie gniewał.

– To raczej niewykonalne.

– Powiedział, że spróbuje.

– Tak powiedział?

– Tak.

Spojrzałem na nią z ukosa. W jej poważnym spojrzeniu nie było drwiny.

– No dobrze – skwitowałem. – Skoro tak powiedział, to ja się bardzo cieszę.

– Jest tylko jeden warunek.

– Wiedziałem. Wiedziałem, że będzie jakiś haczyk.

– To nie żaden haczyk. On już się nie będzie na pana gniewał, ale pan go musi najpierw przeprosić.

– Tak ci powiedział?

– Aha – odparło dziecko. – Słowo w słowo.

– Dlaczego nie powiedział tego mi?

– Bo się pana boi.

– No tak.

Pogłaskałem dziewczynkę po policzku lewą ręką.

– Mogę jeszcze między wami posiedzieć? – zapytała.

Skinąłem głową. Dziewczynka wtuliła się teraz we mnie. Przez następne pół godziny, z ustami przytkniętymi do fałd mojej marynarki, ciągnęła niewyraźnie historię o swojej babci, która zna różne zaklęcia i mieszka z diabłem, ale chowa go na strychu, gdy przyjeżdżają goście. Szum jej słów działał na mnie jak kołysanka. Poczułem, że moje powieki na nowo stają się ciężkie. Zanim zasnąłem, popatrzyłem jeszcze na Adama. On również zasypiał. Jego długie palce w dalszym ciągu ścisnęły rękę dziewczynki.

Obudziło mnie delikatne uszczyknięcie w policzek. Pociąg stał na stacji. Była noc. Za oknem wiatr przegonił chmury i nad polami, jak rozsypane drobiny szkła, wisiały gwiazdy. Przez uchylone okno wpadał ciepły wiatr niosący zapach wilgotnej ziemi i traw. Lena stała nade mną z wyczekującą miną. Jej mama i Adam spali.

– Czy ja śnię? – zapytałem.

Lena uszczyknęła mnie znowu. Nie spałem. Dziewczynka przyłożyła palec do ust i wyszeptwała:

– Zrobiliście coś złego?

Wciągnąłem powietrze nosem i westchnąłem głęboko. Wygiąłem plecy w łuk i poczułem szarpnięcie w łędzwiach. Nie przywykłem do spania na siedząco.

– Nie... – odparłem zaspiany. – Dlaczego?

– Na stacji jest policja. Stoimy już bardzo długo.

Poderwałem się z miejsca i wypadłem na korytarz. W szybie odbijało się niebieskie światło. Na korytarzu stali inni pasażerowie. Ziewali i przecierali oczy, gdzieś pomiędzy snem a ciekawością, szeptali do siebie i zaglądali przez szyby, żeby sprawdzić, co się dzieje. Kilkoro wyszło na płytę stacji i zapaliło papierosy. Jeden z policjantów odłączył się od zwartej grupy stojącej w kręgu, podszedł do pasażerów i kazał im wrócić do środka. Pomrukując z niezadowolenia, rzucili niedopałki na tory i weszli do pociągu.

– Co jest? – usłyszałem głos kobiety i zaraz odpowiedź mężczyzny:

– Jakaś dziewczyna się rzuciła...

– Rany boskie...

Dalej już nie słuchałem. Nie wiedziałem, co policja już o nas wie, i nie zamierzałem spokojnie czekać, aż przy okazji samobójstwa odkryją nas i aresztują. Wszedłem do przedziału i szturchnąłem Adama.

– Idziemy.

Podniosłem go za łokieć, zarzuciłem torbę na ramię i ruszyliśmy. Kiedy zamknąłem za nami drzwi przedziału, Lena pomachała mi na pożegnanie. Popychałem Adama przed sobą i tak

doszliśmy do końca wagonu. Drzwi, które wychodziły na pole po drugiej stronie stacji, były zablokowane. Podważyłem śrubokrętem plastikową klapkę zasłaniającą blokadę, przekręciłem pokrętło i zamek odskoczył. Strome, kratowane schodki schodziły prosto na zarośnięte, wyłączone z użytku szyny, za którymi rozpoczynała się wysoka trawa. Kazałem Adamowi chwycić moją prawą rękę powyżej nadgarstka. Lewą przytrzymałem się rurki. Zanim dosięgnął ziemi, zawisł na chwilę w powietrzu. Napiąłem mięśnie i rana rozboleła tak, że chciałem krzyczeć, ale ograniczyłem się tylko do krótkiego jęku. Po chwili dołączyłem do Adama i zamknąłem za nami drzwi. Weszliśmy na łąkę. Rozmoknięta ziemia wlała mi się do butów. Złapałem mojego towarzysza pod ramię, a drugą ręką pochyliłem jego głowę, by nie wystawała ponad linię traw. Musiałem mocno podkurczać palce u stóp, żeby błoto nie zabrało mi butów. Miałem nadzieję, że Adam robi to samo. Mniej więcej w połowie drogi między pociągiem a lasem nad naszymi głowami przetoczyło się światło reflektora. Zatrzymałem się, blokując Adama ramieniem. Kiedy światło oddaliło się, wyprostowałem się odrobinę, żeby zobaczyć, skąd pochodzi. W otwartych drzwiach pociągu stało dwóch ludzi. Z powodu jasności bijącej od latarki widziałem tylko ciemne plamy ich sylwetek. W nocnej ciszy przerywanej szelestem trawy dobiegały mnie strzępki ich głosów, ale nie potrafiłem wyłowić żadnego konkretnego słowa. Stali tam jeszcze jakiś czas, ale chyba nie mieli ochoty na nocny spacer w błocie, bo w końcu zgasili latarkę i zatrzasnęli za sobą drzwi. Ruszyliśmy dalej. Teraz szliśmy wolniej, bo co chwila odwracałem się, żeby sprawdzić, czy jednak pościg nie ruszył naszym śladem. Trawa falowała lekko ruszana podmuchami wiatru, a pociąg, w miarę jak się oddalaliśmy, malał w mroku, otoczony nimbem latarni świecących od strony stacji. Doszliśmy do końca łąki, przebrnęliśmy przez ugór, przekroczyliśmy ścieżkę biegnącą wzdłuż drzew i weszliśmy do lasu. Usiedliśmy na mokrej ziemi, ciężko dysząc. W końcu niesiony echem sygnał lokomotywy oznajmił, że pociąg odjeżdża. Niebieskie światła radiowozów zgasły. Skuliłem się, targnięty nagłym dreszczem. Byliśmy przemoczeni. Potrzebowaliśmy się ogrzać, ale żeby rozpalić ognisko, musieliśmy wejść głębiej w las. Nie chciałem, żeby ktoś zobaczył ogień. Byłem niewyspany, przemęczony i rozdrażniony. Przy każdym trzaśnięciu patyka zatrzymywałem się i nasłuchiwałem, czy nikt za nami nie idzie. W szaleńczym zapamiętaniu brnąłem wciąż głębiej między drzewa. Skołatane nerwy dyktowały mi, że gdziekolwiek staniemy, możemy zostać wykryci. Jednocześnie rozsądek podpowiadał, że jesteśmy w lesie zupełnie sami. Nie umiałem pogodzić tych sprzecznych myśli, a moja irytacja promieniowała na Adama, którego wściekle szarpałem, by dotrzymywał mi kroku. W pewnym momencie nie zauważyłem, że jego stopa weszła pod korzeń, i znów pociągnąłem go z całej siły. Poczulem, jak wyslizguje mi się z rąk, i usłyszałem, jak upada w błoto. Spróbowałem go podnieść, ale również się pośliznąłem. Klęcząc, złapałem go za marynarkę, a prawa ręka, błądząc w ciemnościach, natrafiła na sterczący badył. Drewno naparło na bandaż i znajdujący się pod nim amatorski szew. Jęknąłem i upadłem na drugie kolano obok mojego towarzysza. Z początku wydawało mi się, że krzyk pochodzi z daleka. Może las niósł echo jakiejś pobliskiej pijatyki. W końcu zdałem sobie sprawę, że to ja krzyczę. Krzyczałem na całe gardło, najpierw głoskę „a”, a potem cały korowód „kurew” i „chujów”, mieszając w to bagno także pana Boga, do którego nic bym nie miał, gdybym w niego wierzył. Po prostu oberwał przy okazji. Wyczerpany, osunąłem się na ziemię, twarzą w błoto. Nie przeszkadzało mi to. Już nic mi nie przeszkadzało. Wziąłem kilka głębokich wdechów, obserwując, jak źdźbło trawy przy moich ustach oddala się i przybliża. Zerknąłem na Adama, który leżał obok, z twarzą zwróconą w moją stronę. Jego ślepe oczy patrzyły na mnie, jakby prosił, żebym się uspokoił. Nie byłem pewny, dlaczego z taką pewnością interpretowałem ruchy jego twarzy. Może po prostu potrzebowałem komunikacji, jakiegokolwiek, skoro nie mogłem liczyć na rozmowę. Nie wiedziałem, na ile jego twarz naprawdę wyraża jakieś uczucie, a na ile to wymyślam, żeby poczuć chociażby złudzenie interakcji. Żeby podtrzymać iluzję, że nie jestem w tym wszystkim sam.

– Zostaniemy tu – powiedziałem.

Usiadłem, wydłubałem ze ściółki grudkę ziemi i rzuciłem Adamowi w twarz.

– Zresztą po co ja do ciebie mówię. Nie jesteś mądrzejszy od psa.

Adam strącił ziemię z policzka i również usiadł. Wygrzebałem z kieszeni kajdanki i przykułem go do pieńka leszczyny. Poszedłem poszukać miejsca, w których gęste korony drzew przepuszczały mniej deszczu. Spodziewałem się odnaleźć choć kilka garści suchego chrustu, wszystko jednak było wilgotne. Kiedy zebrałem już naręczę najmniej zamokniętych patyków, długo męczyłem się z ich osuszeniem i rozpaleniem. Na rozpałkę poświęciłem cały zeszyt Dziadka; jedyny papier, jaki mieliśmy. Patrzyłem, jak praca jego życia, śledcze *opus magnum*, marszczy się, szarzeje i odpływa ku niebu we wstęgach gryzącego dymu. Kiedy jutro będę myślał o tym starym policjancie, którego imienia nigdy nie poznałem, ten zeszyt również mi się przypomni. Minęła prawie godzina, zanim udało mi się rozpałić kiepskie, kopcące gęstym dymem ognisko. Kiedy patyczki już się zapaliły, dorzuciłem parę grubszych szczap. Usiadłem dopiero, kiedy ogień płonął na wysokości mniej więcej pół metra i nie zanosilo się, by miał za chwilę zgasnąć. Byłem mokry, brudny, spocony i wyczerpany. Marzyłem, żeby jutro rano obudziło nas słońce. Nie mieliśmy nic do jedzenia. Żeby oszukać głód, zapaliłem papierosa. Po drugiej stronie ogniska, w rozedrganym, ciemnopomarańczowym świetle, posępna twarz Adama migotała jak jakaś straszna, indiańska maska. Poparzyłem na tłące się w moich palcach marlboro. Wstałem, otrzepałem spodnie z ziemi i włożyłem Adamowi fajkę do ręki. Myślałem, że się rozkaszle, ale zaciągnął się głęboko i po chwili ze spokojem wypuścił dym jakby palił od zawsze. Zostawiłem mu tego szluga, a sobie zapaliłem drugiego. Palił powoli i w skupieniu jakby odprawiał pradawną ceremonię. Tej nocy i przy tym ogniu naprawdę bardzo przypominał Indianina. Miałem nadzieję, że zaklina słońce, żeby jutro wysuszyło nasze ciuchy.

– Tylko tyle mamy – powiedziałem, grzechocząc paczką papierosów. – Rano znajdziemy sklep i kupimy coś do jedzenia. – Chwila. Dlaczego ja dalej do ciebie gadam?

Położyłem się na wilgotnej ziemi i patrzyłem na gwiazdy pobłyskujące między liśćmi.

⁶ P. Calderon de la Barca, dz. cyt., s. 9.

⁷ Tamże, s. 32.

ROZDZIAŁ 9

Obudziłem się skulony obok wypalonego ogniska. Nie ruszając się, zerknąłem na zegarek. Było kilka minut po dziesiątej. Słońce stało już wysoko i świeciło w nas przez korony drzew. Od kiedy pojawiło się na niebie, zdążyło z pomocą ciepłego wiatru osuszyć trawę i częściowo też ziemię oraz nasze ubrania, na których zostały teraz zaschnięte smugi błota. Adam spał zwinięty w kłębek. Usiadłem i rozejrzałem się nieprzytomnie. Wyposzczony żołądek obudził się wraz ze mną i od razu rozpaczliwie zabulgotał. Poczulem, że zbiera mi się na rzyganie żółcią, ale przemogłem się, żeby zapalić papierosa. Sztuczka zadziałała. Ssanie w brzuchu ustało, ale wiedziałem, że minie tylko chwila, zanim znów się odezwie. Założyłem sobie na ramię torbę i poszedłem po naszych śladach wydeptanych wczoraj w grząskim gruncie. Doszedłem do skraju lasu, wypatrzyłem stację kolejową, jednak nie poszedłem w jej stronę. Idąc polem, okrążyłem rozległe gospodarstwo i doszedłem do domków jednorodzinnych, między którymi szutrowa ścieżka przechodziła w asfaltową jezdnię. Usiadłem na chwilę na murku, żeby rozmasować prawą nogę, która zaczynała mi dokuczać, mimo wczesnej pory i krótkiego dystansu. Idąc dalej pustymi uliczkami, zobaczyłem pijaczka w brudnej ortalionowej bluzie. Pomyślałem, że musiałem wyglądać nie lepiej niż on. Szedł konsekwentnym, równym krokiem, nie zataczał się, a w ręku nie trzymał flaszki. Poszedłem za nim i moje przypuszczenia okazały się trafione: mężczyzna zmierzał do sklepu. Była to mała, parterowa budka z kratami w oknach i tablicą z napisem tak wyblakłym, że nazwa sklepu pozostawała tajemnicą. Zatrzymałem się przed wejściem i zacząłem przegrzebywać zawartość torby w poszukiwaniu portfela. Zanim go wysupełam, pijaczek opuścił już sklep, stukając o siebie dwiema butelkami wina, i odszedł tą samą drogą, którą przyszedł. Włożyłem maseczkę, wszedłem do środka i rozejrzałem się po półkach. Młody chłopak w spłóviałym fartuchu i zaparowanej przyłbicy bawił się telefonem. Kupiłem chleb, ser, kielbasy, pomidory, cztery butelki wody, bandaż, gazę, wodę utlenioną i plastry.

– Jest dzisiejsza gazeta? – zapytałem.

Chłopak skinął głową. Zza pary, która osadzała się na jego przyłbicy, nie było widać twarzy. Za to narysował sobie w niej palcem oczka i uśmiech. Podał mi gazetę. Włożyłem okulary i przyjrzałem się pierwszej stronie. Westchnąłem rozczarowany.

– A coś bardziej ogólnokrajowego? – zapytałem.

– Przykro mi proszę pana. Mam tylko lokalną gazetę.

– Wezmę jeszcze marlboro lighty... I wie pan co? Proszę dać mi pepsi w szklanej butelce.

– Na miejscu czy na wynos?

– Na miejscu.

Spakowałem zakupy do torby, pożegnałem ekspedienta i znalazłem sobie obok sklepu pustą ławeczkę. Pożarłem od razu ketonal i pęto kielbasy, zagryzając ją chlebem. Westchnąłem z wdzięcznością. Małe domki, przyroda, skwar. Zapach ciepłego asfaltu po deszczu, obornik i kwiaty w ogrodach. Pepsi i papierosy. To jak jakieś pieprzone wakacje, pomyślałem sobie. Miejsca, zapachy i smaki jak nic innego umiały obudzić we mnie wspomnienia dawnych czasów. Uśmiechnąłem się sam do siebie i napiłem się pepsi. Czułem, jak słodki napój i dym papierosa jakimś tajemniczym sposobem zdejmują ze mnie to całe brzemię, które zważyłem sobie na głowę.

Za pomocą węchu i smaku cofnąłem się do czasów, kiedy niczego nie musiałem, a wszystko mogłem. Te czasy szybko minęły, ale przecież jednak przez chwilę były. Moją historię definiował szczegółowy plan ukarania Adama, ale przecież nie od zawsze. Wcześniej było inne życie, a w nim moi rodzice i mój brat, wspólne wakacje, Mazury, huśtawka, z której skakało się do wody, szluga w krzakach, jakieś przyjaźnie, plany i marzenia. Pomyślałem o panu Jendryczu, który pozwalał dzieciakom kraść swoje śliwki, żeby być blisko nich. Biedak znalazł sobie jakąś drogę, by być blisko ludzi. Pokrętną i niedosłowną, ale jednak ją znalazł. Zrobił wszystko, co było w jego mocy. Ciekawe, czy ja zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Nie miałem nawet czasu się nad tym zastanowić. A może miałem, tylko po prostu ukrywałem się przed tymi myślami. Oczywiście mogłem odmówić, nie angażować się w sprawę Adama i przeżyć życie po swojemu. Ciekawe, czy los przyszykowałby dla mnie jakiś inny, zastępczy dramat, czy też żyłbym zwyczajnie, otoczony dobrymi ludźmi, pielęgnując swoje pasje i sypiając spokojnie. Czy moje życie było już gdzieś zapisane, a ja bezwolnie odhaczałem je tylko punkt po punkcie? Czy jednak sam je kreowałem? I jak mogłem odróżnić pierwsze od drugiego? Jednego byłem absolutnie pewien: kiedy miałem osiemnaście lat, mniej filozofowałem i na pewno byłem szczęśliwszy. Zimna butelka przyjemnie chłodziła ranę w mojej dłoni. Zaciągnąłem się papierosem bardzo, bardzo głęboko. Przez moment było prawie jak kiedyś, w tym pierwszym życiu, które się szybko skończyło. Potem pomyślałem o Panu Dziadku. O jego miłej i niewinnej, choć zniszczonej twarzy. Kiedy wpadał do wody między chaszczce i kamienie, chlupnięcie było ledwie słyszalne. Tak odszedł człowiek, który miał jakąś rodzinę, jakąś pracę, czymś się zajmował, miał jakichś znajomych i sam był czymś znajomym. Rozwiązał się jak popiół z papierosa na wietrze. Jak skrawki jego zużytego na ognisko zeszytu. Życie jest takie małe, pomyślałem. Przyłożyłem sobie butelkę do rozgrzanego czoła. Posiedziałem tak jeszcze przez chwilę. Potem odniosłem butelkę i ruszyłem z powrotem w stronę lasu. Kiedy wróciłem, Adam siedział po turecku pod leszczyną i niewidzącymi oczami patrzył na swoją nogę. Kiedy usłyszał moje kroki, odwrócił się w kierunku, skąd myślał, że dobiegały, i przyłożył sobie palec do ust. Poczułem się urażony jego nagłą śmiałością w wysuwaniu żądań. Nie masz prawa mnie uciszać, powiedziałem, ale tylko w myślach, gdyż bardziej intrygowało mnie, na co tak uparcie „patrzy”. Zwolniłem kroku i starałem się przemieszczać ciszej. Kiedy zbliżyłem się na odległość dwóch metrów, zobaczyłem, że po udzie Adama chodzi jaskółka. Miała błyszczący, atramentowy grzbiet, biały brzusek i piękny ogon o długich, ostrych widełkach. Kiedy przystanąłem, ona również znieruchomiała. Pomyślałem, że odleci, ale tylko spojrzała na mnie, po czym zaćwierkała miękko i odwróciła się grzbietem. Zobaczyłem, że Adam zdrową ręką rozdrapuje ściółkę, rozgarnia i maca wilgotną, głęboką glebę, jakby czegoś szukał. W końcu jego czarne od ziemi palce zacisnęły się na czymś i zobaczyłem, jak podnosi wijącą się różową glistę i podaje ją jaskółce, a ta połyka ją w mgnieniu oka.

– Nie przeszkadzam? – zapytałem, pewny, że ptak odleci, kiedy usłyszy mój głos.

Ale tak się nie stało.

Usiadłem obok nich, wyciągnąłem z torby jedzenie i rozłożyłem na papierze, w który było zapakowane.

– Może zechciałbyś najpierw umyć tę rękę? – zapytałem.

Adam podniósł ją ku mnie, a ja oblałem ją wodą z butelki, potem wodą utlenioną i osuszyłem rękawem. Następnie sam umyłem i odkaziłem swoje brudne łapy.

– Po śniadaniu zmienimy opatrunek – oznajmiłem, łamiąc chleb i kielbasę.

Jadł z apetytem, niemal tak łapczywie jak w pierwszym dniu swojej wolności. Jaskółka usłużnie pochłaniała każdy okruch, który spadał mu na spodnie. Zanim zabrałem się do jedzenia, obejrzałem jeszcze swoją prawą rękę w słońcu. Szew, który zrobiłem, okazał się zaskakująco mocny i nie puścił, kiedy nadziałem się na patyk. Jednak pod wpływem uderzenia z rany wylała się

nowa krew, którą podczas snu również utarzałem w ziemi. Zastanawiałem się, na ile woda mineralna i woda utleniona chronią dziurę w mojej łapie przed zakażeniem. Pomyślałem, że nie dostać tęcza lub gangreny w takich okolicznościach byłoby cudem i że może rozsądnie będzie zacząć się przyzwyczajać do myśli o jej amputacji. Jak wygląda życie bez ręki w więzieniu? A jak wygląda życie w więzieniu ze świadomością, że umrze się w celi? Wątpiłem, czy wobec tak marnej perspektywy posiadanie lub brak ręki ma jakiegokolwiek znaczenie. Niczego nie bałem się tak jak więzienia, nie żadnej jego metafory, a tego prawdziwego, klasycznego więzienia, z murami i strażnikami, spacerami pod sufitem z kraty, obrzydliwą breją na obiad i wynaturzonymi, zdziczałymi współwięźniami. Może mądrze byłoby dać się zastrzelić podczas próby ucieczki? Nie. Nie można cedować tak ważkich zadań na jakiegoś obcego policjanta, który i tak pewnie będzie celował w ramię albo w nogę. Takie rzeczy trzeba robić samemu, jeśli mają się udać. Pożałowałem, że nie posiadam noża albo jeszcze lepiej – pistoletu. Mam tylko ten cholerny śrubokręt i chyba nie odważyłbym się go sobie wbić w ucho, nawet pod wpływem silnego stresu. Naprawdę nie chciałem pozostawiać tej kwestii losowi. Obiecałem sobie, że potraktuję sytuację serio i rozejrzę się za jakimś odpowiednim narzędziem lub środkiem, jeśli będzie na to dobry czas i miejsce.

– A ty... – zwróciłem się do jaskółki – ...skoro zamierzasz z nami zostać, lepiej trzymaj się z Adamem... – W mojej głowie powrócił obraz konających jaskółek: tej, którą poturbował drapieżnik, i tej, która rozbiła się o szybę. – Nie przynoszę jaskółkom szczęścia.

Ptak zaświergotał i pokręcił główką, jakby chciał powiedzieć, że nie jestem taki znowu straszny. Po jedzeniu dałem Adamowi tabletkę ketonalu, jeszcze raz przemyłem nasze rany i założyłem świeże opatrunki. Spakowałem nas i ruszyliśmy w drogę. W czasie drogi przez las jaskółka siedziała na ramieniu Adama. Kiedy wyszliśmy na polanę, poderwała się do lotu. Przez chwilę malała na tle nieba, a potem zniknęła całkowicie.

– Nowa koleżanka? – zapytałem.

Adam bez zastanowienia kiwnął głową.

Zaprowadziłem nas do sklepu z wyblakłym szyldem, kazałem Adamowi czekać, a sam wszedłem zapytać o drogę. Chłopak oderwał wzrok od telefonu i patrząc na mnie narysowaną na parze buźką, wytłumaczył mi wylewnie, choć niezbyt spójnie, jak dotrzeć na przystanek autobusowy. Po nocnej ucieczce wolałem trzymać się z dala od kolei.

– Dojadę stamtąd do Łodzi? Albo przynajmniej do Pabianic? – zapytałem, kiedy skończył.

– Nie wiem, proszę pana.

– A często coś stamtąd odjeżdża?

– Nie mam pojęcia. Ja nigdzie się stąd nie ruszam.

– Nigdy?

– A po co?

Zamiast odpowiedzi kupiłem jeszcze dwie gumy szczęki. Jedną wcisnąłem w dłoń Adamowi, który czekał posłusznie przed drzwiami.

– To gumy szczęki – powiedziałem. – Pamiętam je jeszcze z młodości. Spróbuj, są pyszne.

Adam włożył je sobie do ust i zaczął żuć. Idąc wzdłuż pomalowanych ogrodzeń, spojrzałem na niego i zobaczyłem, jak wypluwa napoczętą gumę szczękę na trawnik. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy widziałem, jak Adam wypluwa jedzenie. Doszliśmy do miejsca, w którym wąski pas asfaltu krzyżował się z większą drogą, i skręciliśmy w lewo. Za chwilę skończyły się domy. Po lewej stronie otwierała się szeroka połać pól. Po prawej wzdłuż drogi biegł las. Zatrzymaliśmy się na chwilę. Przy bramie ostatniego domu stało dwóch mężczyzn, stary i młody. Ubrani w czarne garnitury palili papierosy. Kiedy przechodziliśmy obok nich, usłyszałem jak starszy mówi:

– Przeżyła Niemców, a zabiła ją...

Ale tego już nie dosłyszałem. W oknie paliła się gruba świeca. Kolejni dwaj mężczyźni wynosili z domu łóżko, na którym spoczywała malutka staruszka w koszuli nocnej. Jej bardzo długie, białe włosy spływały poza krawędzie łóżka i powiewały nad ziemią. Przeszliśmy jeszcze niecały kilometr i za zakrętem w oddali zamigotała niska budka z blachy falistej. Na dachu siedziały trzy jaskółki i śpiewały, przeplatając świergot krótkimi przerywnikami w postaci frenetycznego terkotania. Na miejscu od razu zanurkowaliśmy do środka, żeby uciec przed morderczym upałem. W budce panował zatechły zapach moczu, kału i rozlanego piwa. Na jedynej ławce, która została się cała, gdyż reszta została zdewastowana, siedziała postawna stara kobieta w białej chuście na głowie. Bose nogi miała mocno napuchnięte i pokryte sinizną. Trzymała je piętami na asfalcie, między niedopałkami i potłuczonym szkłem, a podeszwy stóp i palce zadzierała do góry, by nie dotknąć nimi brudnego podłoża. Przy ławce stały skórzane, wysłużone buty na grubej podeszwie, związane nad kostką. Obok nich spoczywał wypchany mocno plecak turystyczny. Na nasz widok baba wykonała dumne, ledwie dostrzegalne skiniecie głową, jak królowa zmęczona całodziennym odkłanianiem się podwładnym. Postawiłem torbę w miejscu, które wydawało mi się najmniej zanieczyszczone, i wziąłem się do studiowania rozkładu jazdy. Tabelka przedstawiała się obiecująco. Spojrzałem na zegarek. Najbliższy autobus do Łodzi odchodził za pół godziny. Kilka minut po pierwszej bylibyśmy na miejscu. Nie miałem pojęcia, co zrobimy dalej, skoro tak bałem się podróżować pociągiem. Mimo wszystko jednak cieszyłem się, że tak szybko znaleźliśmy transport, który zabierze nas z tego pustkowie. Napiłem się wody i poczęstowałem Adama. Odgarnąłem nogą szkło i pety i siedliśmy na asfalcie, opierając się plecami o metalowe słupki, do których była przykręcona blacha. Woląłem cień w smrodzie niż zapach kwiatów w upale. Bolała noga dokuczala mi coraz bardziej. Zdjąłem but, rozprostowałem ją i zacząłem masować. Pierwszy autobus nie przyjechał. Do następnego została godzina. Gdy opuściła mnie nadzieja, że pierwszy autobus jednak się pojawi, włożyłem sobie do ust dwa papierosy, zapaliłem i jednego podałem Adamowi. Zobaczyłem, że baba co jakiś czas wodzi za mną wzrokiem, jakbym jej kogoś przypominał. Miałem wrażenie, że też ją skądś kojarzę.

– Czy my się znamy? – zapytałem, kiedy nasze spojrzenia się spotkały.

Baba pokręciła głową, wydymając wargi.

– Na pewno? Bo mi się wydaje, że panią spotkałem. We Wrocławiu, na podwórzu. Obok volkswagena. Pamięta pani?

Baba znów pokręciła głową.

– Bywa pani w ogóle we Wrocławiu?

Zaprzeczenie.

– Rozumiem. Może pani tam nie było. Może pani mi się tylko przyśniła.

Tym razem skinęła lekko głową. Odczytałem to jako „nie potwierdzam ani nie zaprzeczam”. Wyczułem, że nie dojdzie tu do udanej wymiany zdań. Zrezygnowałem z dalszych prób. Jeszcze na chwilę wyszedłem na drogę. Wydawało mi się, że od kiedy na niej jesteśmy, nie przejechał tędy ani jeden samochód. Zastanawiałem się, czy to w ogóle możliwe, czy tylko mi się wydaje. Nie mogłem się zdecydować. Zapamiętałem sobie, żeby zwrócić na to uwagę. Wróciłem do budki i usiadłem obok Adama. Babka położyła sobie brodę na obszernym biuście i zasnęła, pykając bańką śliny w kąciku ust z regularnością godną metronomu. Wyciągnąłem rękę w stronę mojego towarzysza i dotknąłem lekko jego głowy. Pomiędzy włosami wyczułem nierówną, pofałdowaną bliznę. Nacisnąłem ją palcem.

– Boli? – zapytałem.

Adam pokręcił głową. Jaskółki na dachu śpiewały.

– Ale wtedy pewnie bolało. Pamiętam ten cios. Aż mi coś chrupnęło w nadgarstku. Zabawne. Jeszcze chwilę przed tym nie czułem żadnej złości. Żadnej. W końcu minęło... ile to? – zacząłem

liczyć. – To była noc pierwszego sierpnia osiemdziesiątego piątego, a to wcześniej... siedemdziesiąty... siedemdziesiąty pierwszy. Czternaście lat. Tak, siedziałem w aucie, ścisnąłem w rękę klucz do kół i nie czułem żadnej złości. Tylko niepewność. I strach, że tego nie zrobię. Nie wyobrażałem sobie, jak mógłbym tak nagle przejść od całkowitej statyczności do wybuchu, do przemocy. Ale wszystko było już zaplanowane, w piwnicy czekała urządzona cela. Uwierz mi, naharowałem się jak wół, żeby to wszystko skonstruować, tyle lat mi to zajęło, tyle pracy, tyle... – zamilkłem. Poczulem jak jakaś czarna, lepka masa zatyka mi tchawicę. Musiałem dobrać powietrza, żeby dokończyć zdanie. – Tyle wyrzeczeń. No i stało się, w końcu. Wyszedłem z restauracji, chwiejny, roztrzęsiony. Zły. Gadałeś do siebie. Minąłeś mój samochód i nadeszła ta chwila, trzeba było to zrobić. Poczulem się nieswojo, nierealnie, jak w tych momentach, kiedy musimy się zmierzyć z czymś niewyobrażalnym. Kiedy coś, o czym przez lata tylko sobie bezpiecznie fantazjowaliśmy, wydarza się tu i teraz. Wiedziałem, że nie pójdziesz od razu do domu. Nie lubiłeś tam wracać, chyba że byłeś już tak pijany, że mogłeś od razu zasnąć. Tyle lat śledziłem twoje kroki. Na podstawie tego, co wiedziałem, mogłem naszkicować mapę twoich wędrówek po Wrocławiu i z dużą dokładnością przewidzieć, dokąd pójdziesz i kiedy tam będziesz. Skręciłeś w wąską ulicę, remontowali ją wtedy i w nocy nie paliły się latarnie. Wyszedłem z auta, chowając w rękawie ten klucz, dobiegłem do rogu i ruszyłem za tobą i, Bóg mi świadkiem, aż do końca nie wiedziałem, czy się odważę. Z każdym krokiem moje nogi coraz bardziej chciały zawrócić, wycofać się, wrócić do auta i odjechać. W głowie miałem trzęsienie ziemi, galopowało po niej milion myśli. Nawet nie wiedziałeś, że miałaś wtedy pięćdziesiąt procent szansy na to, żeby wrócić do domu, wszystko pozmieniać, poukladać, ponaprawiać i przeżyć życie jakkolwiek zechcesz. Nawet nie wiedziałeś. Szedłeś jak burza, jak zwykle wkurwiony na wszystko, sfrustrowany, pijany, zagubiony. Zły na żonę, którą kochałeś, ale chciałeś też mieć inne kobiety i nie umiałeś tego pogodzić. Zły na dziecko, bo nie chciałeś tej ciąży, wyszła wam przypadkiem i trzeba było wziąć odpowiedzialność. A ty chciałeś się jeszcze pobawić. Trzydziestoletni chłopiec, który nagle musiał stać się mężczyzną. Ile razy słyszałem jak zwierzałeś się ludziom w barze, a ja siedziałem plecami do ciebie nad filiżanką kawy i dzieliło nas tylko oparcie foteli. W przeciwieństwie do ciebie ja wiedziałem, co mam zrobić. Moje zadanie było proste. Tylko wtedy, kiedy już cię doganiałem, mijając hałdy kruszonego kamienia i zerwanego asfaltu, tylko wtedy się wahałem. Ty się odwróciłaś. Odwróciłaś się, bo usłyszałaś moje kroki, i zobaczyłem twoją twarz, znudzoną, cyniczną, zblazowaną gębę i nagle wszystkie chaotyczne myśli się wyrównały i nie było już wątpliwości i nic nie było prostsze. Dziwnie się wtedy uchyliłaś, zupełnie niemądrze. Schowałaś tylko głowę w ramiona i stanąłeś do mnie bokiem. Kto się tak zasłania przed ciosem? Uderzyłem tylko raz. Dźwięk jakby ktoś otwierał łomem drewnianą beczkę. Jezu, jak mocno cię uderzyłem. Twoja krew trysnęła mi na powiekę i na usta. Obliziałem ją odruchowo i poczułem wstręt, mogłem przecież wytrzeć ją w rękaw, w cokolwiek, ale nie zlizać. Osunąłeś się na żwir, a ja myślałem, że cię zabiłem. Teraz bałem się jeszcze bardziej niż przed chwilą. Zrujnowałem czternaście lat przygotowań jednym zbyt silnym ciosem? Tego się bałem. Nie, że zabiłem. Pochyliłem się i widziałem, jak ziarenka piasku przy twoich ustach się przesuwają. Oddychałeś. Byliśmy daleko od auta, ale ulica była zamknięta i nie było tam nikogo prócz nas. Zaciągnąłem cię za kamienie, podjechałem bliżej i wrzuciłem cię do bagażnika. Odjechałem stamtąd, ale w najbliższej ciemnej bramie zatrzymałem się jeszcze, żeby cię opatrywać. Widocznie taki już mój los, żeby zadawać ci rany, a potem się w nich babrać. Pamiętam jeszcze, że kiedy wyszedłem z piwnicy, niosąc pacę i latarkę, uwalany cementem i pyłem, pomyślałem sobie, że jeszcze zanim wszedłem w tamtą ulicę, ja także miałem pięćdziesiąt procent szansy, żeby przeżyć życie jak tylko zechcę. Żałujesz, że się wtedy nie rozmyśliłem, co?

Adam nie potwierdził ani nie zaprzeczył, ale odpowiedź była oczywista. Za to zwrócił do mnie twarzą i szturchnął mnie palcem w ramię. Pytanie również było oczywiste, zrozumiałbym je nawet i bez gestu, nawet gdyby było samym milczeniem.

– Żałuję – odparłem.

Odetchnąłem bardzo głęboko i poczułem, jak rozluźniają mi się przełyk i płuca. Jakbym w końcu wypluł tę czarną maź, która przez lata zbierała mi się w gardle. Oparłem na chwilę czoło o kolana i przymknąłem oczy, rozkoszując się tą niespodziewaną błogością. Jak ważne jest mówienie, pomyślałem sobie, jednocześnie zaskoczony i zawstydzony, że odkrywam tę prostą prawdę dopiero teraz, kiedy moje życie już się kończy. Jakoś wszyscy inni o tym wiedzieli, tylko ja nie. Ludzie przecież zawsze mówią: „Wygadaj się. Powiedz, co ci leży na sercu. Wyrzuć to z siebie”. Niesłychane, jaka to prosta, wręcz trywialna mechanika. Ale jak to w ogóle działa? Jak to jest, że kiedy człowieka boli i milczy, to boli tak samo, a kiedy komuś powie „boli mnie”, to boli już trochę mniej? Będę musiał o tym poczytać przy okazji. Jeśli będzie jeszcze jakaś okazja. Uniosłem oczy znad kolan i zobaczyłem, że siedząca na ławce baba już nie śpi, a bacznie mi się przygląda. Miała bladobłękitne oczy, jak niebo w mglisty poranek, drobne i czujne, otoczone fałdami grubej, pomarszczonej skóry. Kiedy na nią spojrzałem, charknęła i splunęła na ziemię, po czym podniosła jeden but i z trudem wciskając go na spuchniętą stopę, zaczęła mówić:

– Przyszli od wschodu, od wschodu, tak. Myśmy wiedzieli, że idą, bo ci ze wsi za lasem już uciekali i myśmy widzieli jak szli.

Wciągnęła pierwszy but i oparła się o ścianę, posapując. Po chwili zabrała się za drugi.

– U nas mówili, że nas miną, bo jesteście nie po drodze, bo front się tu łamie i nie wiedzieli u nas ludzie co myśleć. Jedni się modlili, drudzy czekali na walizkach, jeszcze inni to od razu zaprzęgli wozy i odjechali i ci ostatni byli najmądrzejsi, jak się okazało. Już wieczorem usłyszeliśmy strzały i było pewne, że nas jednak nie miną, i weszli do wioski, i od razu ludzi powywlekali z chat. Moja siostra to tak płakała, że nie mogła przestać, i wtedy oficer w płaszczu jej strzelił w głowę, i powiedział *Jetzt wird sie nicht mehr weinen*, i potem już nikt nie płakał ani nie wydał z siebie żadnego dźwięku. A do krów to tak strzelali. – Babka ułożyła palce w kształt pistoletu – Jedna. Ptsz! Druga. Ptsz! Po kolei. Między oczy, jak na egzekucji.

Uporała się z drugim butem, wstała i zarzuciła plecak na ramiona.

– Tak o... – podeszła do Adama i przyłożyła mu palce do czoła. – Jeden. Ptsz! Dwa. Ptsz!

Delikatnie ująłem jej rękę. Była zimna jak lód. Odsunąłem ją od jego głowy.

– Proszę tak nie robić. To niegrzeczne.

Nie spojrzała już na mnie, tylko wyszła z budki, stękając z każdym ruchem. Jej zbolące nogi nie wypoczęły jeszcze. Zza ściany słyszeliśmy jej ciężkie kroki, kiedy przechodziła przez jezdnię i jej cichnące wraz z odległością słowa: „Jedna. Ptsz! Druga. Ptsz!”. Wraz z jej odejściem umilkł śpiew jaskółek. Wstałem, otrząpiałem się i spojrzałem na tabliczkę przystankową. Mieliśmy jeszcze dużo czasu. Wyszedłem na drogę i spojrzałem w lewo i w prawo. Nadal była pusta. Kiedy mówiłem do Adama, także nic nas nie mijało. Za drogą zobaczyłem babkę. Szła przez środek pola, ociężała chybocząc się na boki jak olbrzym, który dopiero uczy się chodzić. Jaskółki krążyły nad jej głową. Co jakiś czas któraś nurkowała w zboże, z pewnością w poszukiwaniu robaków, a potem wracała do kręgu. A ja wróciłem do budki. Przesiedzieliśmy tam kolejne czterdzieści minut, milcząc, pijąc wodę i paląc. Minęła godzina i autobus znów się nie pojawił. Kilka minut po czternastej pomogłem Adamowi wstać i przygotowałem nas do dalszej drogi. Ściągnąłem mu z ramion marynarkę, ze swoją zrobiłem to samo, złożyłem je w kostkę i schowałem do torby. Wyjąłem dwie białe koszule i zawiązałem je sobie i jemu na głowie, a potem polałem je obficie wodą z butelki. Wyszliśmy z cienia. Żar. Żar jak na pustyni. Nic nie mówiąc, ruszyliśmy przed siebie, wzbijając butami kurz z pobocza.

ROZDZIAŁ 10

Droga Widmo. Droga Donikąd. Droga Nic. Droga Zero. Takie nazwy nadawałem w myślach temu mistycznemu fragmentowi mapy, po którym bez żadnego racjonalnego powodu nie poruszały się pojazdy. Frekwencja na Drodze Zero na dzień dzisiejszy wynosiła trzy osoby piesze, czyli nas i babkę, trzy jaskółki, kilka ślimaków, much, komarów oraz sarny. O osiemnastej, kiedy słońce łaskawie zniżyło się do horyzontu i dało nam odetchnąć, daleko przed nami zobaczyłem skrzyżowanie. Po prostopadłej szosie mknęły samochody, ale żaden nie skręcał w Drogę Nic. Dotarliśmy do krzyżówki i zdjęliśmy z głów koszule, żeby wyglądać mniej dziwnie w razie, gdyby ktoś zdecydował się nas podwieźć. Moja noga pulsowała i drętwiała z bólu i zmęczenia. Marzyłem, żeby usiąść i nie musieć już wstawać. Zamiast tego stałem jeszcze przez prawie pół godziny z wyciągniętym kciukiem, ignorowany przez pędzące auta. W końcu jakaś ciężarówka z brudną plandeką zjechała na pobocze i włączyła światła awaryjne. Chwyciłem Adama za ramię i podeszliśmy do szoferki. Za kierownicą siedział młody człowiek w czapce z daszkiem. U jego boku spał zwinięty w kłębek czarny pies. Kiedy uniósł łeb, zobaczyłem, że nie ma lewego oka, a jego lewe ucho jest wiszącym strzępem skóry. Jego właściciel spojrzał na nas spod daszka i zobaczyłem, że ma bardzo smutne oczy.

– Jadę do Warszawy – odezwał się pierwszy.

To było więcej niż mogłem oczekiwać. Warszawa miała być naszym kolejnym przystankiem po Łodzi. Wszedłem do szoferki i wciągnąłem Adama za sobą. Pies wydał z siebie niezadowolone sapnięcie i wtulił się mocniej w udo swojego pana. Zerknąłem na niego niepewnie i splotłem ręce na brzuchu, bojąc się zapuszczać dłońią na jego terytorium. Chłopak musiał to zauważyć, bo powiedział:

– Proszę się nie bać. Banjo nie ugryzie dobrego człowieka.

Wtedy zawahałem się jeszcze bardziej.

– Niech mu pan pozwoli się obwąchać.

Zerknąłem na chłopaka, a on skinął głową dla poparcia swoich słów. Ostrożnie podstawiłem psu pod nos wierzch dłoni, gotowy w każdej chwili ją cofnąć. Banjo niuchnął ją kilka razy, wtulił głowę w podkurczone łapy i znów zasnął. Zdałem. Byłem dobrym człowiekiem. Tak zadecydował pies. Dobry pies Banjo. Dobry człowiek Jan. Przedstawiłem siebie i Adama naszemu smutnookiemu kierowcy. Miał na imię Michał. Ciężarówkę prowadził od czterech lat i lubił to, bo jak sam powiedział: „Uwielbia jeździć i przy okazji nie musi z nikim gadać”. Druga część tego wyznania nie do końca jednak odpowiadała prawdzie. Michał gadał i to całkiem sporo. Kiedy minęliśmy Pabianice, wygłosił długi monolog, z którego wywnioskowałem, że nienawidzi absolutnie wszystkiego poza dwiema rzeczami: swoim psem i prowadzeniem ciężarówki. Za Sosnowcem ominął zjazd na autostradę i wjechał na drogę krajową numer czternaście.

– Nienawidzę autostrad – wyjaśnił.

Potem opowiedział nam jeszcze całkiem długą historię o tym, jak znalazł się w posiadaniu Banja. Chociaż wcale go o to nie zapytałem.

– Za magazynem, gdzie ładujemy ciężarówki, stoi biurowiec – mówił, patrząc wciąż na drogę. – Taki rozpadający się, popeerelowski moloch do rozbiórki. Wieczorami przed wejściem na

schodach zbiera się element. No wiecie, żuliki. Bimbrownicy, drobni dilerzy, złodziejaszki. Absolutne dno, żadni błyszczący gangsterzy, zwykła, obskurwiała patologia. Tacy obrobiją monopol i zamiast uciec, zaleją ryje na miejscu, a potem psiarnia tylko przenosi ich śpiących do radiowozu. Nienawidzę ich. Policji zresztą też. W biurowcu jest cieć, ale sam jest pijakiem i za flaszkę pozwala żulikom tam przesiadywać. Jakoś sobie upodobali to miejsce. Może dlatego, że teren jest bezpieczny, głęboko schowany między hurtowniami, ogrodzony. Zanim psiarnia tam dojedzie, towarzystwo rozbiegnie się między fabryki. No więc zbierają się tam wieczorami, palą ogniska i piją. Kwitnie drobny handelek, idą jakieś żałosne, groszowe transakcje. Kiedy zaczynałem pracę, oprócz jeżdżenia nosiłem też towar. Teraz już tego nie robię, ale wtedy musiałem. Nienawidziłem tego. Żaden ze mnie atleta, a o prawie pracy nikt tam nie słyszał, więc nosiliśmy paczki nawet po czterdzieści, pięćdziesiąt kilo, czasem i więcej. Nabawiłem się od tego dyskopatii i nie zobaczyłem złamanego grosza z ubezpieczenia. Powiedzieli, że jeśli zgłoszę, że to się stało w pracy, to mnie wywalą. Pieprzone mendy, robaki. Ale nadal dla nich pracuję. Dla robaków. Nieważne. Była akurat ciepła noc, rozładowałem furgon i czekałem na tira. Nie było nic do roboty. Wyszedłem sobie zapalić i trochę się przewietrzyć. Okrążyłem magazyn i usiadłem na murku przy siatce, za którą stoi ten biurowiec. Często tam przychodziłem żeby oglądać to zbiegowisko. Ogniska, pijaństwo, przechwałki, niezdarne bijatyki, bekanie, rzyganie i śpiew. Marna rozrywka, ale ciekawsza niż wypatrywanie tira na pustym placu. Żuliki stali w półkolu wokół ogniska, a na schodach biurowca stał gość w dłuższych włosach, ubrany trochę jak piłkarz, na sportowo. Na głowie nosił kaszkiet, który zupełnie nie pasował mu do reszty stroju. Podszedłem do siatki i przyglądałem się. Piłkarz trzymał na łańcuchu psa. Ten warował posłusznie i nie widziałem po nim, żeby się bał, a piłkarz w tym czasie przemawiał. Dużo żartował, flirtował ze słuchającymi, nazywał każdego „bratem” albo „przyjacielem”. Miał ten drażniący, handlowy styl wysławiania się. Taki, który stara się podporządkować sobie słuchającego pod pozorem dobrych intencji, a wszystko po to, żeby mu coś sprzedać albo wyłudzić kasę. Miał też typowe spojrzenie osiedlowego Judasza, takiego, co długo będzie rozprawiał o honorze i dumie ludzi ulicy, a potem sprzeda kolegę za paczkę fajek i powie, że to był chujowy kolega i tyle. Takich nienawidzę najbardziej. Mówił tak: „To jest Banjo, pies stworzony i wychowany do miłości. Zaprogramowany, by bezgranicznie kochać człowieka. Tak, przyjacielu, ciebie, ciebie i ciebie. Zależy, kto da lepszą cenę” – tu mrugnął znacząco, a kilku żulików zarechotało. „Nie ma się co śmiać. Za miłość trzeba zapłacić. Powiem więcej: za miłość należy zapłacić. Dlaczego, skoro wszystko kosztuje, miłość miałaby być za darmo? Czy nie oddajemy najbliższemu tego, co mamy najcenniejszego? Dajemy im swój czas, swoją energię, poświęcamy się dla nich, często nawet przekładamy ich dobro nad swoje. To przecież nic innego jak właśnie cena, którą płacimy. Banjo akurat chodzi w najprostszej walucie, bo w polskich złotych, ale tego, co odda wam w zamian, nie da się przeliczyć na pieniądze. Banjo skoczy za wami w ogień. Dosłownie. Popatrzcie”. Piłkarz popuścił łańcuch, stanął za ogniskiem i kazał psu podejść do siebie. Kiedy Banjo próbował obejść ognisko, Piłkarz wystawił dłoń i krzyknął „nie”. Pies jeszcze kilka razy próbował dotrzeć do pana naokoło, aż w końcu zrozumiał, o co jest proszony, i przebiegł przez ogień. Musiał nadepnąć na żar, bo pisnął, ale wzdrygnął się tylko i stanął dumnie obok właściciela. Piłkarz otrzepał jego sierść, która tliła się w kilku miejscach. Tłumek zamruczał z uznaniem. Paru żulików klasnęło w dłonie. „Widzicie. Miłość Banja to poświęcenie. Ale to także bezpieczeństwo. Banjo rzuci się na każdego, kto was zaatakuję, i będzie próbował go zabić nawet za cenę własnego życia. Rzuciłby się nawet na pociąg, gdybyście po pijaku zasnęli na torowisku”. Znowu rozbrzmiały chropowate, nieprzyjemne śmiechy. „Ale on nie ma oka. Będzie jakaś zniżka za to, że on nie ma oka?” Piłkarz zignorował to pytanie. „Banjo to pies stworzony do miłości – ciągnął. – Będzie was kochał bez względu na wszystko. Banjo, siad!”. Pies usiadł przy nodze pana. Piłkarz pogłaskał go za uchem, a potem podniósł łańcuch i uderzył go w głowę. Pies zaskomlał ale

nie uciekł. Żuliki stały i patrzyły. Wyposzczeni emocji, zanurzeni w beznadziei, goryczy i smutku, z utęsknieniem wyczekiwali rozkoszy jaką daje oglądanie cierpienia. Wiadomo było, że żaden z nich nie kupi Banja. Pies to ciężar, kula u nogi, dodatkowa morda do wykarmienia. Głupcy albo szaleńcy płacą za coś takiego. Chcieli tylko sobie popatrzeć. Darmowa rozrywka. Piłkarz pogłaskał psa po grzbiecie. „Dobry pies” powiedział i uderzył znowu. Pies zachwiał się i po chwili znów się wyprostował. Chciałem mieć wtedy karabin, tak sobie myślałem, patrząc na to wszystko. Wtargnął tam i zmasakrować tę ludzką padlinę, przerobić te kurwy na papkę. Ale miałem tylko te swoje chude, słabe ręce. Nie mogłem ich pokonać, a przynajmniej nie tak, jak o tym rozmyślałem. Tylko jedno naprawdę mogłem zrobić. Jedną taką prawdziwą rzecz, która zmieni tę złą rzeczywistość, trochę ubarwi tę czarną chujnię. Krzyknąłem do nich, że go kupuję. Najpierw krzyknąłem, a potem dopiero pomyślałem. I dlatego wiedziałem, że robię dobrze. Jakbym zaczął o tym myśleć, analizować zyski i straty, to bym pewnie nie uratował Banja. Piłkarz skinął na ciecia, żeby otworzył furtkę. Żuliki z Piłkarzem na czele stłoczyli się przy wejściu. „Wezmę za niego cztery stówy” – powiedział Piłkarz. Dla żulików musiała być to duża kwota, ale ja byłem akurat po wypłacie i miałem przy sobie znacznie więcej. Kiedy dałem mu pieniądze, uśmiechnął się obrzydliwie i powiedział: „Albo daj mi wszystko, co tam masz”. Nie chciałem mu dać, ale byłem sam przeciwko całej tej bandzie. Patrzyłem na ich mordy i wiedziałem, że aż się, kurwa, modlą po cichu o pretekst, żeby mnie przekopać. Nie dzieliła nas już brama. Bałem się. Dałem mu cały portfel, a on podał mi łańcuch. Banjo zaparł się nogami o ziemię. Nie chciał iść. Patrzył z miłością na swojego pana, który bił go łańcuchem i kazał mu chodzić po ogniu. Banjo, pies stworzony do miłości. Piłkarz kopnął go w zad, a wtedy Banjo podszedł do mnie, a cieć zamknął za nami bramę. Przez pierwsze miesiące Banjo chodził przy mnie na całą długość łańcucha. Kulił się lub warczał, kiedy wyciągnąłem do niego rękę. Podejrzliwie traktował jedzenie, które ode mnie dostawał. Musiały minąć dwa lata, zanim udało mi się go przytulić tak, żeby nie uciekał. Ale nawet wtedy czułem, że on nie do końca rozumie, o co chodzi w przytulaniu. Dalej tego nie rozumie. Ale to nic. Banjo, pies stworzony do syndromu sztokholmskiego. Jest dzielny, robi duże postępy, ale nie łudzę się. Będzie już trochę taki autystyczny do końca życia. Nie boi się ludzi tylko wtedy, kiedy ja jestem obok. Staram się go z nikim nie zostawiać sam na sam. A jeśli już muszę, to niezbędne są kaganiec i smycz. Nie łańcuch. Nigdy więcej łańcucha. Mamy wielkie szczęście, że Banjo może jeździć ze mną. Już do śmierci trzeba będzie z nim pracować, specjalnie go traktować. Nie będzie jak pies z hodowli, który będzie niósł smycz w pysku i czekał na pana pod sklepem. Myślę sobie o tym piłkarzu. Myślę o nim bardzo często. O tym, jak mnie okradł i upokorzył, o tym, jak bez mrugnięcia okiem krzywdził Banja. Jak tu lubić ludzi? Jak tu komuś, kurwa, zaufać, jeśli po świecie pętają się gorsze i lepsze wersje tego ludzkiego ścierwa w kaszkiecie? Wiecie, że on nawet mi się śni? W tych snach biorę jego łeb i napierdalam nim o ścianę, aż zostaje z niego zakrwawiony wór skóry. To dobre sny. Robi mi się od nich lżej na sercu. Budzę się spokojny. Nieraz myślałem o tym, żeby wrócić na tamten murek, wyczekać, aż Piłkarz zostanie sam, i obić mu mordę albo połamać ręce i nogi... No wiecie... Zadać mu b ó ł. Ale się bałem. Bałem się, że mnie pokona, że to on mnie połamie i nie będę mógł jeździć. Zawsze się bałem przegrać na pięści. Bałem się upokorzenia. I bólu. Została mi tylko złość. Czasem sobie myślę, że nie mogłem trafić do lepszej roboty. Zamknięty, ciągle w drodze, z dala od ludzi. Myślę, że gdybym musiał z nimi dłużej przebywać, to prędzej czy później po prostu bym kogoś zjebał. Mam w sobie tyle złości. Tyle złości – powtórzył i zamilkł. – Włączy pan jakąś muzykę? – Wskazał po chwili na klapę schowka.

Otworzyłem szufladę i przeglądałem płyty w poszukiwaniu jazzu.

– Masz jakiś jazz? – zapytałem.

– Nienawidzę jazzu – odparł. – Może być Mozart. Mozart pasuje do nocy.

Spośród kilku Mozartów wybrałem najmroczniejszego, mszę żałobną Requiem d-moll KV 626. Włożyłem płytę do odtwarzacza. Nie odezwaliśmy się już ani słowem. W małym miasteczku dwadzieścia kilometrów przed Warszawą zobaczyłem przydrożny hotelik i poprosiłem Michała, żeby nas przy nim wysadził. Nie potrzebowałem szarpać się ze ślepym Adamem przez centrum stolicy. Małe miasteczko było strategicznie o wiele lepszym miejscem. Na pożegnanie Michał przestrzegł nas, żebyśmy na siebie uważali, bo świat jest pełen skurwysynów. I tak człowiek, który nienawidzi wszystkiego, i pies stworzony do miłości odjechali w ciemną noc, a my zostaliśmy sami na pustym parkingu. Hotelik mimo dość wczesnej pory był pustawy i cichy. W pokoju była łazienka. Wzięliśmy z Adamem wspólny prysznic i ubraliśmy świeże ubrania, ostatnie, które mieliśmy. Brudne spodnie i koszule wyprałem mydłem pod ciepłą wodą i rozwiesiłem na oparciach krzeseł. Przełożyłem *Życie snem* do świeżej marynarki. Zmieniłem nam opatrunki, ogoliłem się i uczesałem. Było kilka minut po dwudziestej drugiej, ale byłem rozbudzony i nie zamierzałem jeszcze się kłaść. Przykułem Adama do poręczy łóżka i dałem mu reszkę chleba z kiełbasą. Nakazałem, żeby zjadł i spróbował zasnąć. Nie miałem żadnego planu na dalszą podróż. Musiałem się przewietrzyć i pomyśleć. Wyszedłem na parking i zapaliłem papierosa. Kawalek za terenem hotelu, przy drodze stała jedna z tych mniej popularnych stacji benzynowych, zapewne jakaś rodzinna firma, dwa dystrybutory i sklepik podobny do spożywczego. Na takiej stacji nie dostaniesz hot doga z sosem tysiąca wysp ani cafe machiatto, ale kupisz za to papierosy na sztuki, niszowe erotyki i gumy kulki. Samotna biała budka migiała pośród nocy ledwo zauważalnym, wiśniowym neonem. Pomyślałem, że moglibyśmy pójść tam wcześniej rano i wypytować przejeżdżających o podwózkę do Olsztyna. W sprawie pościgu i poszukiwań byłem dziwnie spokojny. Gdzieś w głębi siebie czułem pewność, że poruszamy się po drogach i miejscach zapomnianych zarówno przez Boga, jak i przez policję, i nikomu nie przyjdzie do głowy szukać nas akurat tutaj. Pałac papierosa, poszedłem poboczem w stronę tej neonowej stacji. Samochody miały mnie z hukiem powietrza i szumem kół. Na niebie świeciły gwiazdy. Stacja była otwarta przez całą dobę. Wszedłem do środka i stanąłem przy stoisku z prasą. Były tam aktualne gazety, ale w żadnej nie znalazłem nawet najdrobniejszej wzmianki, ani o zaginięciu emerytowanego policjanta, ani zamurowaniu kogoś w piwnicy na trzydzieści pięć lat. Pomyślałem, że nie chcą jeszcze tego nagłaśniać. Zapewne liczyli, że uda im się nas szybko złapać. Wtedy upiekliby na jednym ogniu jednocześnie otwarcie i zamknięcie sprawy. Policja nie lubi, kiedy media podkreślają jej nieudolność, więc póki mogą, działają po cichu. Wydało mi się to rozsądne. Zajrzałem do paczki marlboro. Miałem dwa ostatnie papierosy. Kupiłem nową paczkę i dwa wafelki. Jutro pewnie zjemy tu śniadanie. Batoniki, rogalie z folii i coca colę. Ciekawe, czy przed śmiercią lub więzieniem uda mi się zaliczyć jeszcze choćby jeden porządny obiad. Pomyślałem o moim ogródku, o padającym do niedawna deszczu i o tym, że warzywa pewnie mają się dobrze. Ale co będzie z nimi później? Czas potraktuje je tak bezlitośnie, jak zrobił to z ogródkiem Laury. Zabierze pomidory, ogórki i rzodkiewki, a potem zabierze też mnie. Chociaż wolałbym, żeby mnie zabrał pierwszego. Na samą myśl o więzieniu czułem kwasotę i gorycz w ustach. Tym dziwnym tokiem myślenia, zaczynając od batoników, poprzez warzywa, kończąc na lęku przed więzieniem i nieuniknionym mechanizmem przemijania, przypomniałem sobie, że miałem rozejrzeć się za narzędziem lub środkiem, który w razie potrzeby pomógłby mi szybko i sprawnie przedostać się na tamten świat. Obszedłem regały, ale znalazłem tylko żyletki do golenia.

– Czy dostanę u pana broń palną? – zapytał sprzedawcy.

Pokręcił głową.

– A cyjanek potasu?

– Niestety – odparł. – Sam czasem o tym myślę. Ale po jakimś czasie mi przechodzi. Może panu też przejdzie.

Bez entuzjazmu zapłaciłem za żyletki, wafelki i papierosy, podziękowałem i wróciłem do hotelu. Przed wejściem wypaliłem jeszcze jednego papierosa. Wszedłem do naszego pokoju i nie zapalając światła, położyłem się w ubraniach na łóżku. Pogłaskałem z wdzięcznością miękkie materac i powąchałem wypraną i wykrochmaloną poszewkę poduszki. Po nocy spędzonej na gołej ziemi hotelowa pościel wydawała mi się królewskim luksusem.

– Kiedy doszedłem do siebie po śmierci rodziców... – powiedziałem w ciemność – nie chciałem być sam. Bardzo się bałem samotności. Tak, to nie nastąpiło od razu po ich śmierci, a dopiero później, kiedy już się z nią oswoiłem. Kiedy przestałem ich opłakiwać i pozwoliłem im odejść, z przerażeniem zrozumiałem, że nikogo już przy mnie nie ma. Jerzy żył już wtedy w swoim świecie, tak daleko od domu. W wieku zaledwie osiemnastu lat, całkowicie i zupełnie świadomie wycofał się z życia. Został w Kinkajmach, gdzie żył po swojemu, z dala od ludzi, jak pustelnik. Kilkukrotnie próbowałem go namówić, żeby wrócił do Wrocławia i ze mną zamieszkał, ale uparł się, że tam zostanie. Zobaczyłem się z nim jeden jedyny raz, w osiemdziesiątym roku, to wszystko. We Wrocławiu byłem zupełnie sam. Nienawidziłem tego pustego domu, tej jego strasznej ciszy. Wiesz, co jest okropne, kiedy mieszkasz sam w takim dużym domu? Dźwięki, które wydajesz, i to, jak obco one brzmią. Twoje kroki, plusk herbaty, kiedy wrzucasz do niej plaster cytryny, skrzypienie schodów, twój oddech, szelest twoich ubrań, twój kaszel. Pewnie coś o tym wiesz. Pewnie dobrze to znasz. A najbardziej chyba bolą słowa wypowiedziane do nikogo. Puste słowa, których nikt nie usłyszy i nikt na nie nie odpowie. Gadanie do siebie to domena wariatów, ale chyba to właśnie się ze mną wtedy działo. Stawałem się wariatem. Pamiętam chwile, kiedy wchodziłem na stół, zupełnie nagi, i mówiłem na głos przypadkowe słowa. Palnik. Trąbka. Morawy. Chodaki. Słuchałem, jak wybrzmiewają i gasną, a kiedy milkły, bałem się wypowiadać nowe, przez to, jak obce i nieprzyjemne mi się wydawały. Przestałem sypiać. Którejś nocy, kiedy wycieńczony błagałem o sen, a ten nie przychodził, pozdejmowałem ze ścian i stolików wszystkie zegary i zaniósłem je do łóżka. Z głową otoczoną zegarami słyszałem nie tylko ich tykanie, ale także drżenie mechanizmów w ich wnętrzach. To mnie koło, tyle różnych dźwięków, nie moich ale bliskich, jakbym przysłuchiwał się rozmowie przyjaciół. Czułem się wśród nich mniej samotny. Potem pokochałem szum junkersa i przeniosłem się z materacem do piwnicy. Jego buczenie, kiedy nagrzewał wodę, usypiało mnie jak kołysanki, które śpiewała mi mama. Ale wkrótce przyszła zima i niskie temperatury wygoniły mnie z piwnicy. Wraz z powrotem na górę wróciła bezsenność. Zegary już nie pomagały. Pytasz, dlaczego się tak dręczyłem. Jasne, miałem znajomych, choćby ze studiów czy ze szkoły, w której odbierałem praktyki jako nauczyciel. Mogłem do nich zadzwonić, wyjść na piwo czy na tańce... Może poznać jakąś miłą dziewczynę. Ale nie mogłem. Nie mogłem, bo wiedziałem, że niedługo będę musiał zrobić pierwsze przymiarki do przygotowania celi. Czekają na mnie dużo pracy, bardzo dużo ciężkiej, mozolnej pracy. Jak miałbym kogoś do siebie zaprosić? Jak miałbym ukryć to, co robiłem? A gdybym się zakochał? Przecież nie mógłbym zamieszkać z kobietą. Za sześć lat miałem ukończyć celę, a potem ogłuszyć cię kluczem do kół, zaciągnąć do tej piwnicy i w niej zamurować. Jak miałem się z kimkolwiek spotykać? Jak mogłem ukoić moją samotność, wiedząc, że w ciągu najbliższych lat każdą znajomość będę musiał zerwać, ba... będę musiał nieodwracalnie zniechęcić do siebie każdą bliską mi osobę, żeby nikomu nigdy nie przyszło do głowy, by mnie kiedykolwiek odwiedzić. Zanim to wszystko zrobiłem, była nawet taka jedna dziewczyna... Teraz nawet nie pamiętam już jej imienia. Nie pamiętam, czy ją kochałem. Nie pamiętam jej twarzy. Spotykaliśmy się przez jakiś czas, ale w osiemdziesiątym czwartym bezwzględnie uciałem już każdą znajomość i wiedziałem, że tę też muszę zakończyć. Przestałem się do niej odzywać. Dzwoniła. Słyszałem w słuchawce jej głos i nie odpowiadałem. W końcu po prostu odłączyłem telefon, ale ona nie dała się zbyć tak od razu i przyszła do mnie. Dzwoniła

i pukała, a ja siedziałem na łóżku i patrzyłem przez okno, czekając, aż odejdzie. Przychodziła potem jeszcze kilka razy, ale w końcu przestała.

Usiadłem na łóżku i przetarłem oczy.

– Byłbym zapomniał. Kupiłem ci wafelka.

Wyjąłem go z kieszeni i rzuciłem na drugie łóżko. Upadł bezgłośnie. Adam się nie poruszył. Wstałem i spróbowałem po ciemku dotknąć jego ciała, ale ręka trafiła na ciepłą pościel. Jedno, krótkie słowo zabłysło i zgasło w mojej głowie jak fajerwerk: „Nie!”. Zapaliłem światło. Łóżko było puste. Rama oparcia odstawała nieco od rury, która łączyła ją z nogami łóżka. Na podłodze leżały dwie czarne śrubki. Rozejrzałem się po łózkach, podłodze, sprawdziłem łazienkę i suszące się na krzesłach ubrania. Śrubokręt. Kiedy go zabrał? Może na przystanku, a może w ciężarówce. Jego pozorna uległość uspiła moją czujność. Wypadłem z pokoju i pognałem na parter. Puste korytarze, puste schody. Drżące ciemne jarzeniówki i bordowe wykładziny. Pusta recepcja. Wszystko nieruchome, milczące, uśpione. Przez uchylone drzwi w połowie recepcji padał snop światła. Zajrzałem. Toaleta. Pusta. Ktoś tylko zapomniiał zgasić światło. Wybiegłem na zewnątrz. Na końcu parkingu stał samochód terenowy. Zapalone światła, uniesiona klapa, dwóch ludzi. Ruszyłem w ich stronę. Był tam. Siedział na progu bagażnika i gestykulował nerwowo, próbując opowiedzieć, co się stało. Ale nawet gdyby umiał mówić, co by powiedział? Na jego wiszącej w powietrzu stopie huśtały się kajdanki. Właściciel samochodu, barczysty mężczyzna w zielonej koszulce próbował go uspokoić. Dosłyszałem jak mówi: „Proszę wziąć głęboki oddech” i „Wszystko jest w porządku”. Ale nic nie było w porządku. Podszedłem bliżej, prosto na żywioł, bez żadnego planu. Zastanawiałem się, jak zacząć rozmowę, ale mężczyzna odezwał się pierwszy.

– Zna go pan?

Kiwnąłem głową.

– To mój brat.

– Proszę tu podejść.

Zbliżyłem się. W bagażniku leżał sprzęt myśliwski. Strzelba z lunetą, futerały, kamizelka.

– Wystarczy. – Mężczyzna zatrzymał mnie ręką. Miał głos przywykły do wydawania rozkazów. – Bliżej nie. Dlaczego on ma kajdanki na nodze?

– Jest chory psychicznie. Przykuwam go, kiedy muszę zostawić go samego. Inaczej ucieka. Tak jak teraz.

– Jest przerażony.

– Jest chory – powtórzyłem.

– A jego ręka?

– Upadł na rozbite szkło.

Rzucił okiem na moją dłoń.

– Ty też?

Kiwnąłem głową.

– Słuchaj. Wezwę policję. Jeśli naprawdę wszystko jest w porządku, to nie będzie dla was żaden problem. Pójdziecie tylko później spać, to wszystko.

Patrzyłem, jak wyjmuje telefon, wybiera numer, przykładła słuchawkę do ucha. Znow budziło się we mnie to wewnętrzne rozdarcie, jak wtedy gdy trzydzieści pięć lat temu szedłem za Adamem, chowając w rękawie klucz do kół. Siła, która jednocześnie pcha do przodu i trzyma w miejscu. Lęk przed przemocą i lęk przed becznością w jednym i tym samym momencie. Dwie przeciwności, jak zimno i ciepło płynące przez moją rękę, kiedy Adam wbił w nią nóż. W następnych sekundach, jak na klatkach filmu puszczonego w zwolnieniu, widziałem siebie: podbiegam do myśliwego, łapię go w pasie i przewracam na ziemię. Jego oszołomione spojrzenie i moja ręka zadająca dwa ciosy, jeden w nos, drugi w gardło. Telefon sunący po asfalcie. Puszcza myśliwego. Wstaję.

Dobiegam do telefonu i wbijam w niego obcas buta. Raz, drugi i trzeci. Potem jego cios na moim uchu, ogłuszający dźwięk, jakby kościelny dzwon urwał się ze sznura i runął w dół wieży, a potem długi pisk... Drugi cios, a potem trzeci, prosto w przepoń. Upadłem na kolana, nie mogąc złapać powietrza. Kopnięcie przewróciło mnie na ziemię. Przez chwilę widziałem chodnik, kawałek trawnika i but myśliwego, a potem film mi się urwał, jakby ktoś nagle odłączył projektor od prądu. Kiedy prąd wrócił, jeep pędził przez pustą szosę między polami. Siedziałem za kierowcą, a ręce miałem wykręcone do tyłu i ściśnięte jakimś kablem albo opaską. Pisk wywołany spadnięciem dzwonu dalej wibrował mi w uszach. Adam siedział zgarbiony na fotelu pasażera i popijał wodę z wielorazowej butelki. Zerknąłem w lusterko. Oczy myśliwego były skupione na drodze. Pomyślałem o tym, co się teraz stanie. Zrobiło mi się słabo. Kiedy minął odruch fizjologiczny, pojawiły się myśli bliskie tym starczym, sentymentalnym myślom o przemijaniu, które nawiedziły mnie w moje urodziny. Tym razem jednak były one czarniejsze i bardziej brutalne. Ciekawe, jaką decyzję powziąłby teraz dobry pies Banjo. Czy kiedy już zrobię to, co zrobię, nadal pozwoliliby mi się pogłaskać? Czy tym razem już by na mnie warknął? Jakie są granice jego psiej empatii i wyrozumiałości? A może po prostu dobry pies Banjo nie zna się na ludziach. Miałem w kieszeni pudełko żyletek, które kupiłem na stacji jako marne pocieszenie w sytuacji braku broni palnej i cyjanku potasu. Szczerze mówiąc, wiedziałem, że nie da się przy ich pomocy szybko ze sobą rozprawić, i założyłem, że ewentualnie posłużą mi do tego, do czego pierwotnie zostały stworzone. Tak miało być, gdyby wszystko szło zgodnie z planem. Wydarzenia potoczyły się jednak inaczej i przeznaczenie żyletek znów musiało ulec zmianie. Opatrzność losu i ironia losu w małym kartonowym pudełku Gillette. Czy to byłaby dobra reklama tego produktu? Czy podniosłaby sprzedaż? Patrząc w lusterko na źrenice myśliwego, które wciąż badały drogę, wyprostowałem się i za pomocą kciuka i palca lewej ręki przysunąłem do siebie bliżej kieszeń marynarki. Dotknięcie i chwycenie pudełka wymagało nie lada gibkości, a tej mi zawsze brakowało. Napinając mięśnie, odczułem ból, który zamaskowałem kamienną miną. W jednym momencie poruszyłem się zbyt raptownie i oczy myśliwego spojrzały na mnie przez lusterko, po czym zaraz wróciły na drogę. Rozcinając kabel, zatopiłem ostrze w zgięciu palca wskazującego i na opuszkę kciuka. Rozcięta skóra paliła jak żywy ogień, a ja dokładałem starań, żeby nie drgnęła mi przy tym choćby powieka. Żeby zapobiec pogłębieniu ran, udało mi się złapać żyletkę przez materiał marynarki. Nie zmieniło to jednak faktu, że reszta procesu wyswobodzenia dokonała się niekomfortowo i boleśnie, w breji kleistej, cieplej krwi toczącej się z moich palców. Byłem już wolny i teraz należało zrobić to ostatnie. Wiedziałem, że im dłużej będę zwlekał, tym mniejsze będzie prawdopodobieństwo, że to zrobię. Żał mi było tego myśliwego. Wyglądał na pocziwego chłopca. W pasku na osłonie przeciwsłonecznej woził zdjęcie kobiety i dziewczynki, zapewne żony i córki. Pewnie właśnie do nich wracał, kiedy z jakiegoś powodu musiał zjechać na parking i spotkał tam Adama. Dobry, porządny gość. Nie uciekł, nie odwrócił głowy. Miał łeb na karku, żeby się domyśleć, że coś jest nie tak, i na tyle odwagi, żeby pomóc drugiemu człowiekowi. Złośliwy, popieprzony los rzucił mu nas pod nogi. Jemu nas, a nam jego. Żaden z tu obecnych nie miał złych intencji. Każdy chciał tylko zrobić swoje. Gdyby myśliwy nie był taki porządny, mógłby udawać, że nic się nie stało, i pojechać dalej. Ale taki już był. Tak go wychowano. Tak wybrał. Pech. Pochyliłem się do przodu, prawą ręką złapałem go za szczękę, a lewą zatopiłem mu żyletkę w gardle i pociągnąłem. Myśliwy zacharczał, złapał się za szyję i splunął krwią na szybę. Samochód zatańczył na drodze i zjechał w pole. Toczyliśmy się przez chwilę, podskakując na muldach, aż w końcu auto spokojnie wyhamowało. Rozpiąłem pas i wyszedłem, oddychając szybko. Waliło mi serce. Dotknąłem swojej piersi lewą ręką i ubabrałem marynarkę krwią. Kciuk i palec wskazujący były rozcięte prawie do kości, ale to musiało poczekać. Staliśmy zaraz przy drodze. W każdej chwili ktoś mógł nadjechać i nas zobaczyć. Otworzyłem drzwi kierowcy. Myśliwy zalewał się krwią od ust do kolan. Wsiąkała

w ubrania i przybierała kolor ciemnej czereśni. Mężczyzna charczał jeszcze, łapiąc powietrze ustami jak ryba wyrzucona na brzeg. Niezdarnie zatykał dłońmi rozcięcie na szyi, a krew pulsacyjnie przelewała mu się przez palce. Odpiąłem jego pas, wziąłem go pod ramiona i zaciągnąłem na tył samochodu. Sapałem przy tym jak wół ciągnący pług przez bruzdy twardo ubitej ziemi. Myśliwy był naprawdę dużym i ciężkim facetem. Najtrudniej było wrzucić go do bagażnika. Kiedy go podnosiłem, mój grzbiet wypełnił się kwaśnym, ostry bólem. Wziąłem go pod rękę i oparłem jego plecy o brzeg bagażnika, podłożyłem mu kolano pod lędźwie, powoli przesunąłem rękę w stronę pasa, ująłem go pod tyłkiem i wepchnąłem jego tors do środka. Z nogami poszło już łatwiej. Zgiąłem mu je w kolanach i przycisnąłem jego uda do klatki piersiowej. Otoczony sprzętem myśliwskim i torbami, leżał tam zwinięty w kłębek, jak małe dziecko, które śpi. Krew z otwartego gardła spływała na dno bagażnika i wsiąkała w czarny welur. Wróciłem do szoferki. Skulony Adam wtulał się w drzwi tak mocno, jakby miał je zaraz wyłamać. I dobrze, pomyślałem, bój się, skurwysynu. To wszystko twoja wina. To ty do tego doprowadziłeś. Przekręciłem kluczyk i poprowadziłem auto na tyły gęstego zagajnika, tak daleko, aż straciliśmy drogę z zasięgu wzroku. Podeszedłem do bagażnika, sturlałem myśliwego na ziemię i zacząłem przeglądać jego bagaż w poszukiwaniu łopaty. Znalazłem tylko małą, rozkładaną saperkę. Była też apteczka. Owinąłem kciuk i palec wskazujący gazą i związałem bandażem tak mocno, że palce prędzej odpadłyby mi z niedokrwienia, niż miałbym się przez nie wykrwawić. Zaskoczyła mnie beztroska, z jaką odnosiłem się do własnych kończyn. Może posunąłem się już tak daleko, że nic nie było w stanie mnie zatrzymać w drodze do celu. Dotarłem do kulminacyjnego momentu mojej obsesji. Dyszałem i sapałem, kłamię pod nosem, pomagałem sobie dłońmi i butami, aż w końcu wykopałem płyciutki dół między brzożami. Uniosłem głowę. Na gałęzi siedziała jaskółka i przyglądała się mojej pracy. Kiedy wciągnąłem myśliwego do dołu, jeszcze żył. Jego klatka piersiowa unosiła się drobnymi, urywanymi ruchami. Oczy miał nieobecne i spokojne, jakby większość umierania była już za nim. Wyciągnąłem Adama z jego kryjówki i zaprowadziłem za frak między drzewa. Popchnąłem go. Upadł na kolana. Złapałem jego dłoń i położyłem na szyi myśliwego. Chciał ją cofnąć, ale przytrzymałem ją siłą.

– To twoja wina – powiedziałem.

Kiedy puściłem, wstał i odszedł kilka kroków, po czym zachwiał się i usiadł na ziemi. Płakał, kiedy zasypywałem ciało. Jego łkanie mieszało się z chrobotaniem twardej ziemi pod szpicem saperki. Widywałem już łzy Adama, ale zawsze były one nieme. Teraz płakał na głos. Wył jak stróż Tomasz, który, podobny do ducha, snuje się po korytarzach uniwersytetu, oplakując śmierć matki. A ja czekałem, aż myśliwy przestanie oddychać albo chociaż straci przytomność. Nie wyobrażałem sobie, żebym mógł zacząć rzucać ziemię na twarz i ciało wciąż świadomego faceta. W czasie kiedy myśliwy umierał, zająłem się swoim ubraniem, które całe przesiąkło jego krwią w czasie pakowania go do bagażnika. Zdjąłem z siebie zakrwawione spodnie i koszulę i wrzuciłem je do dołu, tuż u jego stóp. Zerknąłem na jego twarz. Była nieruchoma i sina jak u himalaistów, którzy nie dali rady zejść ze szczytu i zostali tam na zawsze. Wciągnąłem na siebie rzeczy, które znalazłem w jednej z jego toreb: bawełniane brązowe spodnie i granatową koszulę flanelową w czarną kratę. Adrenalina buzowała we mnie na najwyższych obrotach. Nie czułem rozciętych palców, dziury w prawej ręce ani bolącej nogi. Podniosłem Adama z klęczek i zaprowadziłem go z powrotem do jeepa. Siedzenie kierowcy pływało w gęstej, czarnej krwi. Znalazłem brudną szmatę i wytarłem tyle, ile się dało, ponownie brudząc sobie ręce jego krwią. Umyłem dłonie, polewając je wodą z butelki, z której wcześniej pił Adam, a na siedzeniu rozłożyłem karimatę, żeby nie pobrudzić świeżych spodni. Włączyłem silnik i przez chwilę gapiałem się w przestrzeń, a potem dałem gazu i wjechaliśmy na drogę. Przez chwilę pomyślałem, że powinniśmy się przespać, ale byliśmy już zbyt blisko celu. Zdecydowałem, że sen może poczekać. Otworzyłem schowek, żeby

znaleźć muzykę. Na płytach leżał pistolet. Ironia losu i opatrność losu w jednym schowku. Wymieniłem pudełko żyłek Gillette na jednego trupa i pistolet o imieniu walther. Walther. Jak imię dobrego wujka. Dobry wujek walther. Dobry pies Banjo. Zły człowiek Jan. W życiu nie miałem w rękę broni... A w bonusie do pistoletu, niespodzianka. Totalne zaskoczenie. Pierwsza płyta, jaka wpadła w moje sine, brudne palce. Miles Davis. *Kind of blue*. „Znaleźć słowa i muzykę, które wskrzeszą umarłych”, pomyślałem. Kto to powiedział? Czyje to słowa? Nie mogłem sobie przypomnieć. Adam wciąż jeszcze łkał. Uciszyłem go i dałem muzykę głośniej. Otworzyłem okno i zapaliłem papierosa. Zwrócił się ku mnie skuszony zapachem dymu, ale go zignorowałem. Mijaliśmy czarne zarysy domów, kołyszące się topole, od czasu do czasu jakiś pojedynczy samochód. Na niebie zebrało się trochę chmur i zasłoniły one większość gwiazd. Nie była to wyjątkowo piękna noc. Była taka w porządku, zwyczajna. Pomyślałem, że gdyby miała to być moja ostatnia noc, to z pewnością musiałaby być piękniejsza. Myślałem o wielkim jak naleśnik księżycu w pełni, do którego mógłbym wyć, o wietrze, który gna aż znad morza, niosąc ze sobą dreszcz i obietnicę czegoś niezwykłego, o cieplej kąpieli, kieliszku wina i jazzie. Teraz miałem jazz, kradziony samochód i kałużę krwi w bagażniku. Moja ostatnia noc nie mogła tak wyglądać. Jutro jeszcze nie umrę, powiedziałem sobie w myślach, nie mogąc jednocześnie uwolnić się od przekonania, że to nieprawda. Na wysokości Szczytna zjechałem na stację, żeby zatankować. Okrążyłem parking i zatrzymałem się na samym końcu, pod świerkami. Nie mogłem już pozwolić sobie na kolejne ryzyko. Unieruchomiłem Adama najdokładniej jak potrafiłem, mocno i boleśnie. Nadgarstki spiąłem mu opaskami za oparciem, a nogi związałem ze sobą sztywno sznurem i przytroczyłem do szyn fotela. Idąc do wejścia, czułem, jak zmęczenie rozrzedza mi mózg, jak bodźce docierają do niego w spowolnieniu. Patrząc w chodnik, zorientowałem się, że mój wzrok nie przebiega po nim płynnie, tylko urywanie, klatka po klatce, jakby nie nadążał z dostarczaniem obrazu do mózgu. Potrzebowałem snu. Zapłaciłem za paliwo, wziąłem kawę i napój energetyczny. Usiadłem jeszcze na ławce za budynkiem i zapaliłem papierosa. Przysypiałem. Co by było, gdybym zasnął za kółkiem i rozwalilibyśmy się o drzewo u celu podróży? Odpowiedź: nic by nie było. Może tylko Ewa śmiałaby się z tej ironii losu, tak jak śmiała się z odstrzelonej głowy męża. Tyle że naprawdę jej to nie bawiło. Śmiała się, bo nie mogła inaczej. Śmiech obłaskawia demony. Trzyma je na dystans. Przymknąłem oczy i zacząłem masować sobie czoło. Kiedy podniosłem powieki, na oparciu ławki siedziała jaskółka. Na stojącym pod ścianą stacji śmietniku przycupnęła następna. Usłyszałem powolne, szurające kroki i zza rogu wyłoniła się baba w białej chuście. Kołysząc się, podeszła do ławki, rzuciła na ziemię plecak i bezceremonialnie usiadła obok mnie. Stękając, zdjęła pierwszy but, zrobiła przerwę na zebranie sił i zrzuciła drugi. Spojrzałem na jej stopy. Wyglądały jeszcze gorzej niż ostatnio. Obrzmiałe i niebieskie jak balony, palce grube jak u goryla, krew na podbiciu, na piętach i pod paznokciami. Baba otarła pot z czoła. Wyciągnąłem ku niej paczkę marlboro. Pokręciła głową. Za to skusiła się na napój energetyczny. Wypiła od razu całą, nie odrywając ust od puszk. Podziękowała mi skinieniem głowy, beknęła, zmieła puszkę w drobnych, mięsistych dłoniach i postawiła obok butów. Poruszyła lekko stopami i palcami, a każdy ruch musiał sprawiać jej ból, bo syknęła, układając usta w cierpiącym grymasie.

– Dla mnie fińska Tikka T3X to jest dobry sztucer – powiedziała pod nosem. – Ona jest bardzo lekka i szybko się składa do strzału. Sama się przystawia do oka. Jeden ruch i już strzelam, bach. Ja mam akurat taką rękojeść, że mi idealnie leży w łapie. Kupiłem w największym kalibrze, 30.06 i dołożyłem do niej lunetę Burrisa... Na taką zwierzynę, jaką tu mamy u nas, to, powiem ci, wystarczy aż nadto. No ale nie będę cię już zanudzał. Muszę jechać do dziewczyn. Mała ma dzisiaj urodziny.

Dopaliłem papierosa, nic z tego nie rozumiejąc. Za każdym razem, kiedy ktoś umierał, ta baba pojawiała się znikąd i mówiła do mnie słowami nieboszczyka. Uznałem, że nie muszę zawsze

wszystkiego rozumieć. Wróciłem do auta, otworzyłem bagażnik, włączyłem światło i zacząłem przebierać w rzeczach myśliwego. Plama krwi na dnie wciąż była gęsta i mokra. Zanurzyłem się głębiej i po chwili wylazłem, trzymając w rękach apteczkę i wygodne buty trekkingowe, które pachniały jeszcze nowością. Wróciłem na ławkę, postawiłem buty obok butów baby. Wyglądały na podobny rozmiar. Skinęła głową z wdzięcznością. Usiadłem obok niej i zajrzałem do apteczki. Baba też tam zajrzała. Wyjąłem wodę utlenioną, maść na obrzęki, maść na gojenie ran i bandaż. Pomyślałem przez chwilę. Włożyłem wszystko z powrotem i dałem jej całą apteczkę. Z pytającym wzrokiem wskazała na mnie palcem, a ja pokręciłem głową na znak, że nie będzie mi już potrzebna. Baba przyjęła ode mnie prezent i położyła obok siebie na ławce, po czym wyjęła z biustonosza paczkę papierosów i zapaliła jednego. To była dziwna paczka, cała biała, bez grafiki i napisów. Papierosy także były proste, pomarańczowy filtr, biała bibuła, bez nadruku, złotych pasków, kulek z miętą i innych bzdur. Wróciłem do auta. Kiedy zamknąłem za sobą drzwi, usłyszałem krótki pisk. Jeden, drugi i trzeci. Całą serię. Nie wiedziałem, skąd pochodzi. Miałem zamknięte oczy. Otworzyłem je i zobaczyłem zagłówek, kontur fotela i ręce Adama splecione przede mną. Spałem, siedząc po turecku na tylnym siedzeniu, a w lewej ręce ścisnąłem walthera. Piszczenie dochodziło z mojego zegarka. Nacisnąłem przycisk i budzik umilkł. Wskazówki pokazywały czwartą. Spałem równo godzinę. Wyszedłem z auta i spojrzałem w stronę stacji. Ławka stała pusta. Nie było babki, butów, jaskółek, plecaka, apteczki ani zgniecionej puszki. Za niecałe dwie godziny wstanie słońce. Za godzinę będziemy na miejscu.

ROZDZIAŁ 11

Kinkajmy sprawiały wrażenie, jakby czas zatrzymał się w nich pół wieku temu. A może zmieniło się wiele, a tylko mój zakurzony mózg nie umiał już tego dostrzec? Dałbym głowę, że wszystko tu było po staremu. Jakbym patrzył zza szyby jeepa na koloryzowaną fotografię sprzed czterdziestu dziewięciu lat. Przejazd nad wąziutką odnogą Pisy, która wynurza się spomiędzy drzew i znika po drugiej stronie. Klony po obu stronach szosy. Pole kukurydzy. Boisko do piłki nożnej. Tablica Kinkajmy. Kiedyś była biała, teraz jest zielona. Nowe mogło być ogrodzenie wokół boiska, bramki, asfalt na drodze i żółta barierka przy schodkach, którymi schodziło się nad rzekę. Nie pamiętałem tej żółtej barierki. Czyli czas jednak odwiedzał Kinkajmy. Po prostu robił to rzadziej. Wyrównano parking przy oczku wodnym, okrążono go drewnianym ogrodzeniem, postawiono tablicę z informacją turystyczną. Budynek gospodarczy za betonowym murem otrzymał kuriozalną wieżyczkę i awansował do rangi kaplicy. Na bramie zawisła tabliczka z godzinami nabożeństw. Przejechaliśmy przez parking i wjechaliśmy pod zakaz, w dziurawą, szutrową drogę prowadzącą nad jezioro. Minęliśmy wierzby, które szczelnie zasłaniały krajobraz, i wjechaliśmy na rozległe pole otoczone lasem od lewej strony. Po naszej prawej, kilka metrów od auta zaczynało się jezioro. Za godzinę miało wzejść słońce, ale teraz woda była jeszcze zimnoszara i nieruchoma, jakby pogrążona we śnie, z którego mogło obudzić ją tylko światło. Przed nami za bukowym zagajnikiem stał dom, ogrodzony murem ciasno posadzonych przy sobie świerków. Nie widziałem go jeszcze, ale wiedziałem, że tam jest. Samochód pokona jeszcze kilkadziesiąt metrów i pierwsze przebłyśki poranka odbiją się w szybach ukrytych między liśćmi. Nie chciałem jeszcze do niego wchodzić. Odwlekałem tę chwilę. Nie zamierzałem uciec ani się rozmyślić. Tylko jeszcze trochę poczekać. Tak naprawdę wszystko już się skończyło. Książka została przeczytana, trzeba było tylko ją zamknąć i odłożyć na półkę. Jeszcze chwila. Potrzebowałem tej chwili. Zaparkowałem na zielonym cyplu i otworzyłem drzwi na oścież. Zapach także się nie zmienił. Był tu przez cały czas, tak samo słodki i rześki od prawie pół wieku. Jakby tu na nas czekał. Zdjąłem z tylnego siedzenia torbę z kilkoma rzeczami, które kupiłem na ostatniej mijanej stacji. Uwolniłem Adama i pomogłem mu wyjść z auta i rozchodzić zdrętwiałe kończyny.

– Czujesz? – zapytałem.

Czuł. Słyszał. Pamiętał. Jego głowa kręciła się na karku niespokojnie, jak psu, podnieconemu zbyt dużą ilością zapachów. Trzymając mnie wciąż za rękę, przykucnął i pogłaskał trawę. Uśmiechnął się. Niech mnie diabli, przysięgam, że się uśmiechnął. Myślałem, że umie tylko zaciskać usta albo płakać. Skurwysyn. Posadziłem go na trawie, tam gdzie kucal, i przyniosłem torbę. Było w niej wino, kanapki, orzechy, rodzyнки i oliwki; absolutne maksimum luksusu, jakie oferowała stacja benzynowa o piątej nad ranem. To i tak całkiem sporo, pomyślałem sobie. Jak często można dostać oliwki na stacji benzynowej? Słońce pomалу wynurzało się zza lasu i docierało już do nas jego ciepło. Poczulem dreszcz na przedramionach. Adam także się wzdrygnął.

– Chodź – powiedziałem i schyliłem się, żeby mu pomóc wstać.

Nie chciał się ruszyć. Pociągnąłem go mocniej. Wstał niechętnie.

– No chodź – powtórzyłem.

Zaprowadziłem go do samochodu od strony bagażnika. Podniosłem jego rękę i oparłem na klapie. Sam zrobiłem to samo po mojej stronie.

– Pchaj – powiedziałem.

Naparliśmy na bagażnik, a jeep łagodnie dotoczył się nad brzeg jeziora. Pewnie ktoś go niedługo znajdzie. Nieważne. Czoło cypla wchodziło do wody nagłym, ostrym uskokiem. Samochód zanurzył się po dach. Po chwili zniknął, jakby nigdy go nie było, jakby nikt go nie wyprodukował, nie kupił, nie prowadził. Przepadł. Zdematerializował się jak stary policjant i jego zeszyt. Przypiąłem wolną część kajdanek Adama do swojego nadgarstka i położyliśmy się na trawie. Chyba nawet na moment przysnąłem. Kiedy otworzyłem oczy, Adam siedział z rękami na kolanach i patrzył na wodę. Otrzeptałem włosy z trawy i też usiadłem, a potem odpiąłem nam kajdanki i cisnąłem je do jeziora. Zaraz za nimi na dno powędrował kluczyk z serduszkciem.

– Może mi coś opowiesz? – spróbowałem nie wiem już który raz, a Adam, nie wiem już który raz, nic mi nie opowiedział.

Otworzyłem wino, poczęstowałem go i sam się napiłem, a potem zjedliśmy kanapki. Bakalie i oliwki zostawiliśmy na deser. Jedliśmy je pomалу, z namaszczeniem, popijając winem i przepalając papierosami.

– Wino i papierosy – odezwałem się. – Jak kiedyś.

Adam kiwnął głową.

– To też twoja wina. Zanim tu z nami przyjechałeś, byłem grzecznym chłopcem. Amatorem pepsi i gumy balonowej. To ty ukradłeś papierosy mojej matce i poczęstowałaś nas w lesie. Pamiętasz, jak na początku rzygaliśmy? Potem już smakowały. Lubię ten smak do dzisiaj. Wino to też był twój pomysł. Jezu. – Uśmiechnąłem się do własnych myśli. – Pamiętasz, jak się nawaliliśmy nad jeziorem, tam o? – Wskazałem palcem miejsce na prostopadłym brzegu. – Dostałem wtedy strasznej głupawki. Gadałem jak najęty. Wszystko mnie śmieszyło. Ty też dostałaś słowotoku, pamiętasz? Opowiadałaś, jak twoja mama chciała się spodobać twojemu ojcu i zrobiła sobie trwałą. Zapytała twojego ojca „No i jak wyglądam?”, a on, że „Trochę straszno, trochę śmieszno”. Myślałem, że się posikam w spodnie. Cały czas powtarzałem to „Trochę straszno, trochę śmieszno” i nie mogłem przestać się z tego śmiać. Chyba nawet odrobinę się wtedy posikałem. I pamiętam wieczorny powrót do domku. Żucie gumy miętowej, żeby zabić zapach wina z ust. Krzyknięcie rodzicom „cześć” na odległość i sprint do łóżka, że niby tacy jesteśmy zmęczeni. Fajnie się wtedy bawiliśmy, co?

Zamilkłem.

– Dalej nie masz mi nic do powiedzenia?

Adam napił się wina i zgasił papierosa w trawie. Nawet siedział teraz tak samo jak wtedy, kiedy mieliśmy po szesnaście lat. Oplótł kolana ramionami i wetknął w nie brodę. Patrzyłem, jak słońce odbija się w wodzie i jego martwych oczach i jak jedno i drugie jakby ożywa pod jego wpływem.

– Tak bardzo cię lubiłem, stary.

Przy brzegu chlupnęła ryba. Adam zatopił podbródek głębiej między kolana.

– A wiesz, że rozmawialiśmy ze sobą jeszcze raz? To było osiem lat po wypadku. Nie pamiętasz tego. Byłeś pijany jak szpadel. Ja też byłem pijany, ale pamiętam. To było w drugą rocznicę śmierci moich starszuchów. Zwyczajny dzień, przerażająco podobny do wszystkich innych dni. Skończyłem praktyki w szkole, wróciłem do domu, zjadłem coś i zszedłem do piwnicy. Codziennie starałem się zrobić kilka rzeczy, żeby posunąć pracę do przodu. Tego dnia z metrem i poziomnicą wyznaczyłem linie, wzdłuż której miał potem powstać mur oddzielający piwnicę od twojej celi. Zaznaczyłem je czerwoną farbą, podobnie jak obwód wnęki i miejsce, w którym miały być drzwi. Na koniec wywierciłem w murze kilka otworów pod śruby, które miały trzymać siatkę, i wróciłem na górę. Zabierałem się za różne rzeczy, żeby nie myśleć o rodzicach ani tobie, ani o Jerzym. Ale im bardziej

próbowałem przegonić wspomnienia, tym natrętniej do mnie wracały. Urwałem kontakt z każdym, kto był mi w jakiś sposób bliski, żeby mieć pewność, że nikt nie będzie mi się naprzykrzał, kiedy już się wprowadzisz... Tamtego popołudnia ta pewność działała na mnie jak trucizna. Albo żyłotka. Wiemy już, co żyłotka może zrobić z ludzkim życiem, prawda? To był jeden z tych strasznych dni, kiedy samotność nie była jak nieprzyjemny ścisk w żołądku, ale jak dosłowne umieranie. Jak siła, która po prostu cię miażdży, wobec której jesteś żałośnie słaby. Mogłem co najwyżej zamknąć oczy, położyć się i czekać, aż zada mi ostatni cios. Taki to był dzień. Upiłem się, bo upijałem się wtedy codziennie. Kiedy piłem, koszmary na chwilę schodziły mi z pleców i rozłaziły się po kątach. Czekały w ciemności, żeby znowu się na mnie rzucić. Ale przez moment, przez ten błogi moment pijaństwa, byłem rozluźniony, mogłem swobodnie oddychać i nawet myślenie wychodziło mi lepiej niż podczas stanów lękowych. Zostawiłem moje koszmary w domu. Pojechałem do miasta i znalazłem knajpę, w której zamierzałem się dobić. To był dobry sposób. Zazwyczaj kelnerzy wrzucali mnie nieprzytomnego do taksówki, a taryfiarz wyrzucał przed domem. Jedni i drudzy sami obsługiwali się moim portfelem. Wstawałem z chodnika, szedłem do domu i budziłem się rano, jakby wczorajszy dzień i noc nigdy nie istniały. Znalazłem ustronny stolik w rogu i siedziałem przy nim do wieczora, zamawiając co jakiś czas kolejkę. W końcu na chwilę przysnąłem i kiedy się obudziłem, w lokalu pomału robił się tłum. Pojawił się DJ z konsolą, pod sufitem błyskała dyskotekowa kula. Ludzie tańczyli, a ja siedziałem w kącie, kompletnie zamrożony, całkowicie nijaki, upity, sztywny, niewidzialny. Zupełnie rozmazany człowiek w swoim zupełnie rozmazanym świetle. Dziewczyny w długich spódnicach podrygiwały na jednej połowie parkietu, a na drugiej nieśmiało ruszali się chłopcy. Pamiętam dobrze ten podział, niewidoczną linię pomiędzy nimi, ten dystans, który ludzie sami budowali między sobą w obawie, że się ośmieszą albo że zostaną odtrąceni. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że szedłem za tobą i jednocześnie bałem się ciebie uderzyć i bałem się stchórzyć? To był ten sam mechanizm, ci chłopcy bez odwagi, by żyć samotnie, i równocześnie bez odwagi, by podejść do dziewczyny i spróbować ją poderwać. Takie rzeczy sobie wtedy myślałem nad kieliszkiem, a potem zakręciło mi się w głowie i wyszedłem przed lokal, żeby puścić pawia. Zwymiotowałem, oparłem się o mur i zapaliłem papierosa, a wtedy podszedłeś do mnie ty. Niesamowite, co? Od wypadku w Kinkajmach minęło osiem lat. Nasze twarze pozmiaśniały się, wydłużyły, zarosły. Ja z pewnością byłem chudszy, miałem wąsy i brodę i czesałem się do tyłu, tak jak teraz. Ty także miałeś zarost, ale twoja twarz nie zmieniła się tak bardzo, jak moja. Nie poznałeś mnie, ale ja ciebie tak. Zapytałeś „Co kolega taki smutny?” i poprosiłeś o mnie o papierosa. Pojawiła się pulchna blondynka w kręconych włosach. Twoja żona. Miała mocno zaokrąglony brzuch. Wasza córka miała przyjść na świat w październiku. Alicja także zobaczyła, że jestem smutny, i zapytała, czy wszystko u mnie w porządku. Powiedziałem wam, że rok temu zginęli moi rodzice. Trochę was to skrępowało, ale chcieliście być w porządku. Nie wyglądałem jak świr czy przybłąda, byłem normalnym, młodym gościem. Jednym z was. Spojrzeliście po sobie, pamiętam tę wymianę spojrzeń, i doszliście do wniosku, że jestem okej, że nie będę was zawstydział ani sprawiał wam problemów. Zaprosiliście mnie do waszego stolika i przedstawiliście waszym przyjaciołom. Ja oczywiście przedstawiłem się jakoś inaczej. Nie pamiętam już jak. Jeden z twoich kolegów odbywał wtedy praktyki nauczycielskie, tak jak ja. Długo z nim rozmawiałem, był bardzo miły i bardzo inteligentny. Porządny gość. Miał na imię Marcin. Był wysoki, miał czarną czuprynę zasłaniającą czoło i duże węgry na nosie, do dziś go pamiętam. Ciekawe, co się z nim teraz dzieje. Kiedy z nim rozmawiałem, przyglądałem się wam kątem oka. Słuchałem waszego śmiechu. Patrzyłem na wasze pocałunki, na ukradkowe spojrzenia, które stanowiły drugi, osobny dialog obok tego, który prowadziliście słowami. Dobrze się tam z wami czułem, z waszą miłością, z waszą energią. Pamiętam, że nawet z wami tańczyłem. Nie mam pojęcia, jak mnie do tego namówiliście, bo

przecież nienawidziłem tańczyć. Tańczyłem z twoją żoną. Pamiętam miękki dotyk jej satynowej bluzki, zapach jej szyi, mocno pomalowane usta, które pachniały piwem, i jej oczy, kiedy na mnie patrzyła. Takie przejęte i troskliwe, jakbym był jakimś bezdomnym pieskiem, a nie człowiekiem. Przy stoliku dopadłeś mnie jeszcze i męczyłeś o Hemingwaya. Kazałeś mi bronić *Starego człowieka i morze*. Mówiłeś, że to kpina, że to opowieść o gadającym ze sobą facecie, który ciągnie rybę do brzegu... Czym faktycznie trochę jest, ale bardzo to spłycałeś, chyba właśnie, żeby mnie trochę sprowokować, bo wydałem ci się nagle zbyt spokojny. A mi było z wami tak dobrze, że za nic w świecie nie dałbym się wyprowadzić z równowagi i wyłożyłem ci szczegółowo, dlaczego lubię *Starego człowieka i morze*. Byłeś już mocno pijany i zmęczony i szybko znużyło cię to moje mówienie. Przy wyjściu zatrzymałeś mnie jeszcze w drzwiach i powiedziałeś, że kiedy następnym razem mnie spotkasz, mam się bardziej cieszyć z życia, bo to marnotrawstwo tak się smucić, kiedy jest się młodym, a świat ma tyle do zaoferowania. I poszliście. Możesz tego nie pamiętać.

Z naszego śniadania zostały tylko okruchy i pusta butelka.

– Już czas – powiedziałem. – Chodź.

W zagajniku obudził się dzięcioł. Stukanie odbijało się echem na wodzie. Nie wiał wiatr. Drzewa i trawy stały nieruchomo.

– Dzisiaj znowu będzie gorąco – powiedziałem.

Albo tylko pomyślałem?

Tak jak mówiłem, wśród liści błysnęło słońce odbite w szybie. W miejscu gdzie zewnętrzna linia drzew zagajnika skręcała w pole, zobaczyłem znajomą, białą fasadę, na której kruszejący tynk odsłaniał tu i ówdzie rude cegły. Pojawiły się kamienne schodki i szerokie drzwi, parapety z doniczkami, w których kwitły begonie, piętro z wykuszem i śliwkowy dach z wiatrowskazem w kształcie kogucika. Odnowiona szopa i zadbany trawnik. Pusta buda. Jej mieszkaniec, bernardyn o zaropiałych oczach, był już stary, kiedy mieliśmy po szesnaście lat. Nie pamiętam, jak się wabił. Ilu następców miał od tego czasu? Teraz w budzie nikt nie mieszkał. Nic dziwnego. Ile psów może pożegnać ludzkie serce, zanim się nauczy, że strata jest zbyt bolesna i lepiej sobie tego psa darować? Podeszliśmy do drzwi. Pod bluszczem między drzwiami a oknem bzyzczały owady.

– Mogę liczyć na to, że niczym mnie nie dźgniesz? – zapytałem dla świętego spokoju.

Adam skinął głową, a ja zapukałem. Zza drzwi dobiegło szuranie i stukanie laski. W progu stanął niski, siwy mężczyzna. Miał pociągłą, ptasią twarz i krzaczaste brwi. Z uszu sterczały mu kępki włosów. Na nasz widok zamyślił się głęboko, po czym zapytał:

– Panowie do mnie?

Zanim zdążyłem coś odpowiedzieć, staruszek wyjaśnił:

– Dzisiaj nie przyjmuję gości. Przykro mi, ale musicie poczekać do poniedziałku.

Za jego plecami stanęła niska kobieta z czarną grzywką zasłaniającą połowę czoła. Miała około pięćdziesiątki, energiczne ciało obyte ze świeżym powietrzem i ciężką pracą oraz ciemne, pobłyskujące oczy, w których była prosta wesołość i coś jeszcze. Nie umiałem tego nazwać.

– Panie Zbyszku, czekają na pana do kanasty.

– Och, kanasta... – przypomniał sobie pan Zbyszek i odmaszerował, postukując laseczką.

Kobieta wyszła z cienia, który panował w sieni. Miała długie, arystokratyczne palce, które nie pasowały do jej mocnych rąk.

– W czym mogę pomóc? – zapytała.

– My do właścicielki, pani Józefiny. Jan Brzozowski – ukloniłem się lekko. – Brat Jerzego Brzozowskiego. A to mój przyjaciel, Adam Bartoszewicz.

Poczułem na policzku pierwszy tego dnia podmuch wiatru. Grzywka kobiety uniosła się i opadła z powrotem na czoło.

– Jadwiga Kwiatkowska – przedstawiła się. – Panowie, spóźniliście się niestety. Mama nie prowadzi ośrodka od trzech lat. Odeszła w dwa tysiące siedemnastym, w pięknym wieku siedemdziesięciu pięciu lat – dodała z uśmiechem, po czym odczekała chwilę i widząc, że nie wiem, co powiedzieć, dodała jeszcze: – Był bardzo ładny pogrzeb na cmentarzu w Bartoszycach. Przyszła cała rodzina, najbliżsi przyjaciele, współpracownicy i wszyscy nasi pensjonariusze. – Wskazała kciukiem za siebie. – Cała grupa siwych główek. Pański brat, zdaje się, też tam spoczywa, prawda?

Skinąłem tylko głową. Słowa uporczywie nie chciały przyjść mi do głowy.

– Pamiętam Jerzego z czasów, kiedy byłem dzieckiem. Przyjechał tu, kiedy miałam trzy lata. Zawsze był dla mnie tajemnicą. Osiemnastolatek, który zamieszkał w domu starców.

– Dobrze go pani pamięta? – odezwałem się wreszcie.

– Na pewno nie tak dobrze jak moja mama. Zajmowała się nim aż do jego śmierci. Ja pamiętam tyle, ile mogło zapamiętać dziecko. Pamiętam, że oboje byliśmy stanowczo za młodzi na dom starców – roześmiała się bezgłośnie. – I jeszcze kilka innych rzeczy. Mogę spróbować wam o nich opowiedzieć.

Kiwnąłem głową i zobaczyłem, że Adam również kiwnął. On także był ciekawy. Zastanawiałem się, czy wie, co się stanie. A może wiedział od początku. Weszliśmy. W środku panował zapach starości, a może nawet już śmierci, ale takiej przytulnej i spokojnej, stąpającej miękko w ciepłych kapciach. W dużym pokoju młoda dziewczyna ze wstążką we włosach wycierała kurze szmatką. W drżącym powietrzu drobinki wirowały, błyskając w jasnożółtym słońcu wpadającym zza firan. Wśród tych roztańczonych pyłków starzy ludzie grali w karty, czytali gazety albo słuchali radia w skupieniu, nachylając się nad odbiornikiem. Spiker zakończył właśnie swoją wypowiedź i z głośników cichutko popłynął Mozart, ale nie ten, który tak dobrze pasuje do nocy, tylko ten dzienny, słoneczny i radosny; zdaje się, że *Marsz turecki*. Starzec o twarzy buldoga, z brązowym plackiem na łysej czaszce siorbnął głośno herbatę, a potem podniósł oczy znad gazety i powiedział do Adama:

– Teraz likwidują elektrownie węglowe. Teraz! Ja od dawna mówiłem, że już za późno na takie ruchy. Trzeba było wcześniej pójść po rozum do głowy. Teraz to się możemy tylko modlić. No nie mam racji?

Weszliśmy za Jadwigą na taras wyłożony białą płytką. Nad stolikiem wisiał słomkowy baldachim chroniący przed słońcem. Jadwiga usiadła i my również usiedliśmy. Uśmiechnęła się przez okno do dziewczyny ze wstążką, a ta przerwała pracę i po chwili przyniosła czajnik z herbatą i trzy filiżanki.

– Nie pamiętam pana – powiedział Jadwiga, mrużąc jedno oko. – Pan do niego nie przyjeżdżał. Teraz mi się przypomina. Jerzy nigdy nie miał żadnych gości.

– To prawda. Byłem u niego tylko jeden raz. W osiemdziesiątym roku. Też nie widziałem wtedy żadnej dziewczynki.

– Musieliśmy się minąć. Dlaczego pan go nie odwiedzał? – W jej pytaniu nie było wyrzutu. Jedynie ciekawość.

– On nie chciał, żebyśmy go odwiedzali. Ja ani rodzice. Stanowczo nam tego zabronił.

– I pańscy rodzice się na to zgodzili?

– Tak. Bardzo posłusznie. Nigdy go nie odwiedzili. Często o tym rozmawiali. Nawet kłócili się z tego powodu. Pozwolił nam pisać do siebie listy. Dużo ich wysyłaliśmy, ale rzadko na nie odpisywał.

– Wciąż mamy te listy. Gdyby pan chciał je odebrać, to oczywiście nie ma problemu.

Napiłem się herbaty i popatrzyłem na las.

– Pustka po nim była w domu przytłaczająca. Niemal namacalna. Z łóżka, w którym sypiał, nie zdjęliśmy pościeli. Na jego biurku kurzyły się pozostawione na wierzchu przybory i zeszyty. Nikt

z tym nic nie robił, jakby w przekonaniu, że Jerzy sam się tym zajmie. Nikt nie zniósł do piwnicy czwartego krzesła z jadalni. Cisza i bezruch, które po sobie zostawił, drżały w powietrzu, szeptały do nas, a my nie mogliśmy nic zrobić. Dla rodziców świadomość, że ich syn żyje samotnie tak daleko od domu, była utrapieniem. Tak samo fakt, że nie chciał z nami rozmawiać, choć przecież nie było między nami niezgody. Umieli uszanować jego wybór, ale nie potrafili przywyknąć do następstw, które przyniósł. Ponoć człowiek do wszystkiego się może przyzwyczaić, ale oni nie mogli. Ojciec dostał gdzieś lornetki. To była głęboka komuna, musiał się mocno nakombinować. Pamiętam je dobrze, to były takie ciężkie, wojskowe lornety, brązowo-czarne. Trzy sztuki: dla ojca, matki i dla mnie. Co któryś piątek pakowaliśmy rzeczy i jechaliśmy na Mazury. Spaliśmy w Bartoszczykach, a rano jechaliśmy do Kinkajmów, zostawialiśmy samochód przy szosie i dalej szliśmy piechotą. Patrzyliśmy przez te lornetki, jak siedział w oknie. Spędzał tam długie godziny, nic nie robiąc. Po prostu patrzył. Pani mama zabierała go na podwórze. Czasem tylko na rundkę wokół trawnika, a czasem dalej, nad jezioro i na pomost. Ten nieszczęsny pomost, który tak go odmienił. Wyglądało na to, że mój brat i pani mama mieli dobry kontakt. Po wypadku Jerzy nie uśmiechał się i nie żartował, ale na spacerach z panią Józefiną czasem się śmiał. Tu jest dobre echo od drzew i wody, więc nie tylko go widzieliśmy, ale też słyszeliśmy, jak się śmieje. Rodziców to uszczęśliwiała. Ja też byłem szczęśliwy, widząc go w niezłej formie. I panią też wtedy widywaliśmy. Bawiła się pani godzinami na podwórku. Dziewczynka z domu starców. Pamięta pani, jak nazywał się ten kudłaty bernardyn z zaropiałymi oczami?

– Trefl. Nazywał się Trefl.

– Tak myślałem, że coś z kartami. Trefl.

– Czyli jednak spotkał mnie pan tutaj.

– Tak. Przez lornetkę.

– Dalej nie rozumiem jednej rzeczy – powiedziała Jadwiga, odstawiając filiżankę z herbatą. – Jak wasi rodzice mogli zezwolić na tę rozłąkę? Przecież byli jego opiekunami, a on był kaleką. Mogli się uprzeć, kategorycznie się nie zgodzić.

– Mogli, a mimo to zgodzili się i co miesiąc przesyłali pani Józefinie pieniądze na jego utrzymanie. Zapisali mu część majątku i połowę ubezpieczenia w razie ich śmierci. Co się zresztą przydało, bo kiedy ich zabito, mógł mieszkać w waszym ośrodku do końca życia. A dlaczego się zgodzili? Na to jest chyba jakaś prosta odpowiedź... Pewnie coś związanego z miłością. I z litością. Wie pani, on o niczym innym nie mówił. Codziennie prosił rodziców, żeby pozwolili mu zamieszkać w Kinkajmach. Zabrali go na badania psychiatryczne. Byliśmy pewni, że stracił rozum, że to jakiś rodzaj traumy, ale wyniki badań były w normie. Jerzy był zupełnie zdrowy na umyśle. Po prostu tego właśnie chciał. Zamieszkać w pokoju z widokiem na pomost, żeby móc codziennie na niego patrzeć.

– I to miało go uzdrowić?

– Raczej pocieszyć. Lekarze, którzy go badali, nie mieli złudzeń. To i tak cud, że żył aż tak długo. Myślę, że to, że mógł tu być, bardzo mu pomogło. Trzymało go przy życiu. Pani Józefina woziła go na badania, a potem wyniki konsultowała telefonicznie z moimi rodzicami. Za każdym razem lekarze rozkładali ręce i mówili „Może za tydzień, na pewno nie dłużej niż pół roku”. A Jerzy przeżył u was dziesięć lat.

– Te ostatnie lata były trudne. Dla mamy i dla niego.

– Tak. W osiemdziesiątym, kiedy objawy zaczęły się nasilać, Jerzy musiał już coś przeczuwać, bo wtedy pierwszy i ostatni raz poprosił, żebym go odwiedził. Kolejne trzy lata były już powolnym odchodzeniem. Pomału tracił władanie w palcach, potem w rękach. Szybko stracił wzrok. Ostatnie trzy lata spędził w ciemnościach. Jego organizm stopniowo się wyłączał. Ostatni rok to była już śpiączka, która gładko przeszła w śmierć.

– Przed pogrzebem mojej mamy poszłam na jego grób. Trochę go uprzątnęłam, zapaliłam świeczkę.

– To miłe z pani strony.

– Drobiazg.

– Nie widziałem go już później, po osiemdziesiątym. Jaki on był, kiedy żył tutaj?

– Jak już mówiłam, moje wspomnienia to wspomnienia dziecka. Miałam trzynaście lat, kiedy odszedł. Nie pamiętam dużo. Pamiętam na przykład, że zawsze wydawał mi się piękny.

– Piękny?

– Miał taką delikatną urodę. Nawet kiedy zbliżał się do trzydziestki, to wyglądał jak chłopiec. Jak piękny chłopiec. Miałam dziesięć lat, gdy oślepl. Wcześniej jego obecność mnie zawstydziała, ale kiedy przestał widzieć, nie bałam się już mu przyglądać. Tak jak pan mówił, Jerzy potrafił godzinami tkwić nieruchomo w oknie i patrzeć na pomost. Kiedy oślepl, nie porzucił tego zwyczaju. Jakby nic się nie zmieniło. Jakby wciąż widział. Lubiałam wtedy zostawić buty przed jego pokojem i w samych skarpetkach podkraść się do niego, żeby oglądać jego twarz. Był zawsze skupiony i często poruszał wargami, jakby mówił do siebie, ale jego usta wydawały tylko szelest. Może faktycznie mówił coś pod nosem, ale nigdy nie usłyszałam co.

– Co jeszcze pani pamięta?

– Pamiętam, że zanim stracił wzrok, dużo czytał, pisał i rysował.

– Co rysował?

– Głównie jakieś plany. Coś jak rysunek techniczny. Rzut od góry, wymierzone długości, przerywane linie. Nie pewno był tam rzut pokoju, ale też pamiętam podpisy. „Łóżko”, „regał”, „kabina prysznicowa”. Poświęcał temu całe dni. Miał też obsesję na punkcie chodzenia. Wiedziała od mojej mamy, że prognozy jego powrotu do pełnej sprawności były bardzo pesymistyczne. On także o tym wiedział ale zdawał się nie przyjmować tego do wiadomości. Był bardzo zawzięty. Tylko jeden z czterech lekarzy powiedział, że odpowiednia terapia może przywrócić mu sprawność. To już Jerzemu wystarczyło, potraktował to jak pewnik. Spędzał długie godziny, chodząc, a raczej powłócząc nogami za balkonikiem. Nie robił żadnych postępów, ale nie poddawał się. Wszyscy wiedzieliśmy, że to daremny wysiłek, ale nikt nie odważył mu się tego powiedzieć. Postanowił się, że będzie chodził. Ale największą jego obsesją był pomost. Nie chciał, by ktokolwiek z niego korzystał. Pomost wraz z plażą należą do ośrodka, ale mama pozwalała z niego korzystać wędkarzom. Jerzy bardzo się wtedy denerwował. Pamiętam, że nawet kiedy pokłócił się o to z moją mamą. Przekonywał ją, żeby ogrodziła pomost i nie pozwalała nikomu na niego wchodzić. Mówił, że jest niebezpieczny, że komuś może przytrafić się to, co jemu. Ale było w tym coś absurdałnego, bo z drugiej strony nie pozwolił nigdy załatać tej dziury, przez którą spadł. Kiedy mama wysłała woźnego, żeby zakrył ją deskami, Jerzy wpadł w szał. Ponoć nawet tego woźnego ugryzł. Nie wiem zresztą, czy to prawda, nie było mnie tu wtedy. Ale wiem, że nie chciał, by ktokolwiek kręcił się przy pomoście i, koniec końców, dopiął swego. Przed śmiercią ostatni raz poprosił moją mamę, żeby ogrodziła wejście na pomost. To było jego ostatnie życzenie. A że moja matka kochała go wtedy prawie, jakby był jej dzieckiem, pomost rzeczywiście został zagrodzony, a dziura między deskami także została tam do dziś. Myślimy teraz z córką, żeby zaadaptować pomost na nowo, ale mamy tyle roboty, że wciąż to przekładamy. Ale w końcu to zrobimy, mam nadzieję.

– To dobry pomysł. Z Adamem i Jerzym też przesiedzieliśmy tam swoje. Tam Adam uczył nas łowić ryby. Szkoda by było, gdyby pomost się rozleciał ze starości. Przyda się pensjonariuszom. I wędkarzom.

– To prawda – przytaknęła Jadwiga. – Może uda nam się za niego zabrać przed zimą. Ach, jeszcze coś pamiętam: jaskółki.

– Jaskółki?

– Uwiły gniazdko we wnęce jego okna. Dotrzymywały mu towarzystwa przez cały pobyt. Dziesięć lat. Odlatywały na zimę, ale wiosną zawsze wracały. Kiedy odszedł, one również odleciały i już nie wróciły. Puste gniazdo dalej tam jest.

Zapadła między nami długa cisza. Nie zostało wiele więcej do powiedzenia. Trzeba było iść.

– Z pewnością Jerzy wspominał o tym pani Józefinie... – powiedziałem, kiedy już się pożegnaliśmy – ...ale nie wiem, czy ona przekazała to pani. W stodole powinien być szary, płócienny worek zawiązany czerwonym sznurkiem. Chciałbym go zabrać.

– Faktycznie, nic mi o tym nie wspomniała – odparła Jadwiga. – Ale poszukam go.

Zniknęła na chwilę w stodole, po czym wróciła z workiem.

– Trochę brudny – powiedziała, otrzepując go ręką z pajęczyn.

– To nie szkodzi.

– Zostaniecie na obiad?

– Raczej nie. Pójdziemy jeszcze nad jezioro i będziemy się zbierać. Przed nami długi powrót.

– A co mam zrobić z listami?

Popatrzyłem na swoje buty, a potem na nią.

– Może je pani spalić.

– Na pewno? Ale ich są setki. Pisał je pan przez...

– ...czterdzieści siedem lat. Przynajmniej jeden tygodniowo. Niech pani je spali. Będzie z nich duże ognisko. Staruszkowie upieką sobie kielbaskę czy coś.

Usłyszałem trzepot skrzydeł tuż nad głową. Jaskółka podfrunęła do okna pokoju Jerzego. Osłoniłem ręką oczy przed słońcem i zobaczyłem gniazdo, specyficzny rożek uwity z błota i traw, schowany w cieniu okiennej wnęki.

– Niesamowite – ucieszyła się Jadwiga. – Wróciły. Mamy dziś dzień niespodziewanych wizyt.

Pomachała nam na do widzenia. Uroczą istotą. W połowie drogi nad jezioro obróciłem się jeszcze, ale przed domem nikogo już nie było. W oknie, w którym przesiadywał Jerzy, stał teraz jakiś staruszek. Kiedy mnie zobaczył, kiwnął mi kubkiem. Na zdrowie, staruszk. Weszliśmy na wzniesienie, które zasłaniało widok z parteru domu na pomost, a potem doszliśmy do bramki zatrzaśniętej kłódką. Rzuciłem wór na ziemię i wygrzebałem z niego cztery długie deski, młotek, gwoździe zawinięte w siatkę foliową i kluczyk. Kluczykiem otworzyłem kłódkę i weszliśmy na pomost. W połowie brakowało kilku desek. Spojrzałem w dół i zobaczyłem belkę, w którą Jerzy uderzył głową. Wystawała kilkanaście centymetrów ponad wodę. Nie było nawet wysoko. Półtora, może dwa metry. Tyle wystarczyło, żeby sparaliżować młodego chłopaka. Wystarczyło, żeby powikłania neurologiczne powoli zabijały go przez dziesięć lat.

– To te same deski, narzędzia i młotek, które Jerzy dla ciebie przygotował, żebyś naprawił to, co rozwaliłeś siekierą po pijaku. Pamiętasz? Obiecałeś mu, że się tym zajmiesz, ale tego nie zrobiłeś. Nie chciałeś, żeby ci truł, więc skłamałeś, że załatałeś dziurę, a on poszedł tam nocą i spadł.

Podąłem Adamowi młotek.

– Wtedy zajęłoby ci to jakieś pięć minut. Na ślepo pewnie będzie nieco dłużej. Pomogę ci.

Przykucnęliśmy nad otworem, a ja rozłożyłem deski. Podąłem Adamowi gwoździe.

– Poradzisz sobie. Przytrzymam ci te dechy. Uważaj na palce.

Adam wyszukiwał opuszkami krawędzi desek, odmierzał od nich szerokość palca do wewnątrz, przykładał gwoździe i ostrożnie, drobnymi ruchami uderzał młotkiem.

– Opowiadał mi, że kiedy uczył się chodzić, myślał wyłącznie o tobie – powiedziałem. –

Wyobrażał sobie, jak za tobą idzie, potem biegnie, a potem uderza kluczem. Bach! Cela to jego pomysł, jego dokładny plan, ale pewnie się tego domyśliłeś... I to, żeby wyrok trwał trzydzieści pięć lat. To on wszystko wymyślił. Kiedy przyjechałem do niego, zaczynał już ślepnąć. Wtedy wpadł na

pomysł, żeby na ostatnie dwa lata zgasić światło i zamurować luft. Żebyś też poczuł, jak to jest żyć w ciemnościach. Już wtedy wiedział, że nie dożyje. Wybrał mnie, żebym to za niego dokończył. Powiedział, że jeśli się nie zgodzę, każda minuta jego życia będzie nic niewarta. Że wszystko unieważnię. To był mój kochany brat. Ja już ci przebaczyłem, ale nie chciałem unieważniać jego życia. Błagał mnie, żebym mu obiecał. To obiecałem.

Adam skończył.

– Dobra. Oddaj mi młotek – powiedziałem.

Przycisnął go do piersi. Kiedy podszedłem bliżej, odwrócił się. Odebrałem mu go siłą. Trzonek był jeszcze ciepły od jego ręki. Rana w mojej dłoni goiła się nie najgorzej, ale wciąż jeszcze nie mogłem dobrze zacisnąć palców. Przełożyłem go do lewej. Lewą będzie mi trudniej. Wszedłem obiema nogami na nowe deski. Podskoczyłem kilka razy.

– Dobra robota. Będą mieli mniej pracy przy renowacji.

Kropka słońca odbijała się w czarnej główce młotka. Zerknąłem w stronę domu starców, w którym mój kochany brat umarł tak młodo. Dziadek w oknie gdzieś sobie poszedł. Nikt nas nie widział. Wyjąłem z kieszeni *Życie snem*. Jerzy dał mi je wtedy do czytania w podróży powrotnej. Jadąc do Wrocławia, przeczytałem je w pociągu, a potem jeszcze wiele, wiele, wiele razy. Spędziłem z dramatem la Barki więcej czasu niż z Jerzym, niż z moimi rodzicami, nawet niż z Adamem, kiedy mieszkaliśmy w jednym domu przedzieleni murem. A teraz nadeszła już chwila, by się rozstać. Nie lubiłem długich pożegnań. Popatrzyłem krótko na okładkę, wyjąłem ze środka liścik od Ewy i włożyłem książkę do kieszeni Adama. Przypomniałem sobie, co dziewczynka z pociągu mówiła mi o opisywaniu świata. Oparłem się o drewnianą barierkę pomostu. Zapaliłem dwa papierosy. Jednego podałem Adamowi. Jego ręka drżała lekko, kiedy podnosił go do ust. Spojrzałem na zegarek.

– Dochodzi dziewiąta – powiedziałem, wypuszczając dym. – Słońce już wstało za lasem. Za tym lasem, w którym uczyłeś nas palić szlugi. I co jeszcze... Ach, i tam gdzie zbudowaliśmy szałas, w którym przesiedzieliśmy ulewę. I gdzie piliśmy wino na ambonie i widzieliśmy sarny. Słońce wyszło już całe. W południe będzie tu pewnie ze trzydzieści stopni, jak nie więcej. Jezioro jest spokojne, bez fal, tylko lekko marszczy się przy brzegu. Ma taki sam kolor jak wtedy, pamiętasz jaki? Butelkowa zieleń. Ty mówiłeś: „brudna zieleń”. Przy brzegu narosło wodorostów, dno jest o wiele ciemniejsze niż wtedy. I nie ma już orzecha, na którym wieszaliśmy sznur, by skakać z niego do wody. Może uderzył w niego piorun i wycięli resztę. To było jedyne drzewo tak blisko brzegu. Samotne. Łakomy kąsek dla pioruna. A może zżarły go korniki. Już wtedy w pniu były dziury, pamiętasz? Tak, może coś go zżarło. Co jeszcze...? Co jeszcze...? Dom starców stoi, gdzie stał. Nigdzie nie poszedł. Nadal mają problem z wilgocią. Od tylu lat. Nieźle, co? Otynkowali, pomalowali, a mur dalej się kruszy. Zagospodarowali trawnik. Posadzili rabatki wzdłuż ścieżki. W pokoju Jerzego mieszka teraz jakiś staruszek. Kiwnął nam kubkiem, kiedy tu zśliśmy. W oknie wciąż jest gniazdo jaskółek, ale o tym już wiesz. Jedna przyleciała dzisiaj... Na niebie nie ma ani jednej chmury. Co jeszcze...?

ROZDZIAŁ 12

Tramwaj przejechał pod oknem i doniczki zadzwoniły jedna o drugą. W parku Sendlerowej zaszczekał jakiś duży, stary pies. Domyśliłem się, że jest duży i stary po barwie jego szczeku: dudniącym i chropawym, ale słabnącym, łamiącym się na końcu z braku siły. Po zegarze na ścianie został tylko szary ślad. Ojca Krzysia irytowało tykanie i zegar umieszczono w skrzyni na strychu. Tyka teraz zamknięty w ciemnościach, pochowany żywcem pośród martwych przedmiotów. Przerabiamy z Krzysiem unreal past. Jesteśmy przy wyrażeniu I wish.

– „I wish wraz z past perfect lub past perfect continuous stosujemy, odnosząc się do przeszłości, która nie może już ulec zmianie” – czyta Krzyś. – „I wish wraz z would lub could i czasownikiem stosujemy, by wyrazić życzenie, aby obecna sytuacja uległa zmianie, choć nie mamy na to ani wpływu, ani nadziei...”.

Po korepetycjach idę spacerem na stare miasto, jak zwykle przez Ostrów Tumski. Przy stoliku przed knajpą zamawiam pepsi w szklanej butelce. Wypalam dwa papierosy, a potem idę na przystanek. Czasem spoglądam w niebo, wypatrując jaskółek, ale nie pokazują mi się ostatnio. Koło bramy na Nożowniczej zatrzymuje mnie znajome miauczenie. Wchodzę w podwórko i odnajduję Blaise’a, przyczajonego między słoikami po ogórkach. Jest brudniejszy i bardziej zaniedbany niż zwykle. Biorę go na ręce i zanoszę pod bramę uniwersytetu. Otwiera mi woźny Tomasz, ma bladą twarz. Kręci głową, a ja wszystko rozumiem.

„Minęliśmy się”.

Oddaję mu Blaise’a. Ostrożnie bierze kota na ręce i zamyka przede mną drzwi.

Pusty tramwaj sunie przez Most Grunwaldzki i Rondo Reagana, mija szpital, ZOO, Halę Stulecia i domy studenckie. Trzymając rękę na biodrze, gładzę przez marynarkę rękojeść walthera, z którym się już nie rozstaję. W życiu nie miałem potrzeby użycia broni palnej, nawet z ciekawości. Teraz myślę o niej jak o brakującym kawałku mojego ja, który dziwnym zrządzeniem losu odnalazłem na starość. Nikt lepiej od niego nie mógłby zrozumieć mojego lęku przed więzieniem i nikt nie umiałby mnie lepiej przed nim obronić. Najsprawiedliwiej by było, gdyby każdy mógł w wybranym przez siebie momencie opuścić swoje życie, tak jak się wychodzi z pokoju. Nie chciałem jednak popełnić falstartu i wychodzić za wcześnie. Liczyłem na to, że może wydarzy się jeszcze coś, na co warto poczekać. Więc czekałem. Ten, który wymyślił, żeby nazywać pistolet „klamką”, z pewnością nie chciał być tak dosłowny jak ja. Dla mnie funkcjonowanie tego słowa i tego przedmiotu jako jedność było czymś oczywistym i naturalnym. Tym właśnie miała stać się dla mnie ta czarna, oksydowana rzecz. Klamką. Naciskam ją i wychodzę. Zostawiam za sobą pusty pokój. Ale walther nie od razu stał się dla mnie klamką. Kiedy się spotkaliśmy, przyjąłem jego pojawienie się z obojętnością. Do tej pory byłem przekonany, że pistolet pozwoli poczuć mi się swobodnie, da mi zapewnienie, że będę mógł się zabić w dowolnej chwili. Ale prawda była taka, że awet nie miałem pojęcia, jak go używać. Wcześniej widywałem broń jedynie na filmach. Nie umiałbym nawet jej odbezpieczyć. Mimo to, czy to z powodu intuicji czy pragmatyzmu, który kojarzy broń z bezpieczeństwem i przewagą, zatknąłem go sobie za pasek. Stalowy, zimny przedmiot, który dotknął mojego uda, był jeszcze wtedy dla mnie jak ciało obce, dziwne i niewygodne, jak świeżo zamontowana w nodze śruba chirurgiczna. Dopiero później dane nam

było poznać się bliżej, a z czasem nawet i polubić. Nasza relacja, jak każda dobra przyjaźń, najbardziej potrzebowała właśnie tego czynnika, żeby się sprawdzić – czasu. Ostatni tydzień sierpnia był dla mnie jak sen. Jak długi, niejasny i niespokojny sen, śniony przy otwartym oknie w upalną noc. Kiedy wróciłem do Wrocławia, ze zdumieniem odkryłem, że w moim domu nikogo nie było. Bębnek w zamku zazgrzytał z utęsknieniem za dawno niewidzianym panem, a w kuchni powitał mnie ten sam obraz, który zostawiłem za sobą rankiem pierwszego sierpnia. W gramofonie kurzyła się *Kind of blue*. Na stole i wokół niego leżały rozrzucone resztki jedzenia. Pod schodami wyschły na wiór moje wymiociny. W nocy, mimo krańcowego wyczerpania, nie potrafiłem zasnąć i długo szwendałem się z kąta w kąt w poszukiwaniu legowiska, które pozwoliłoby mi zmrużyć oko. Tak jakby to układ pomieszczeń, a nie mój rozstrojony organizm, był przyczyną bezsenności. Włócząc się pomiędzy snem a jawą, zaszedłem aż do piwnicy i przez dziurę w ścianie precyzyjnie się do celi, wlokąc za sobą kołdrę. Kiedy położyłem się w łóżku Adama, zasnąłem natychmiast. Na moment przed zaśnięciem wymacałem pod poduszką brudny bandaż po jego przerwany samobójstwie. Kiedy się obudziłem, ścisnąłem go w dłoni. Spojrzałem na zegarek. Spałem do południa. Na zewnątrz rozkwitał dzień, którego dźwięk ani blask nie miały tu dostępu. Pierwszy września. Dzieciaki idące do szkół. Garnitury, lakierki, koszule. Żakiety, spódniczki, grzywki. Torby, plecaki, papierosy, szminki i książki. Rozmowy. Śmiech, gwar, jazgot. Dym. Plany. Nadzieje. Postanowienia. Teraźniejszość i przyszłość. A może szkół w ogóle nie tworzą? Co z pandemią koronawirusa? Minęła? Eskaluje? Nie miałem pojęcia i niewiele mnie to obchodziło. Przewróciłem się na drugi bok i przespałem cały dzień. Wylazłem ze swojej nory dopiero nocą, brudny i rozchełstany, w wymiętej, przepoconej koszuli, skupiony i nasłuchujący. Jak zaszczute zwierzę, próbujące ustalić, z której strony zbliżają się gończe psy. Kupiłem jedzenie w sklepie nocnym i wróciłem do piwnicy. Znowu byłem sam, przeraźliwie sam, jak przez ostatnie trzydzieści pięć lat, z wyjątkiem tego ostatniego miesiąca. Pomyślałem o Ewie. Rozmyślałem, grając ze sobą na podłodze w szachy bierkami wyrzeźbionymi przez Adama. Czy kiedykolwiek miałem Ewę naprawdę? Miałem jej głos. W rozmowach snutych przez drzwi dawała mi swoje myśli, swój humor i swoją wiedzę, i swoje wspomnienia, ale nie mogła już dać nic więcej. A dla mnie to było za mało. Brakowało mi dotyku i brakowało mi spojrzeń. Patrzenia na siebie, objęć i splotu rąk. Tęskniłem do widoku żywych oczu, do niekończącej się przygody opowiadania i czytania nimi drugiego człowieka. Brakowało mi ciepła, krwi płynącej pod skórą, uścisku dłoni, objęcia, fizycznej bliskości, której od nikogo nie dostawałem, od kiedy przestałem być dzieckiem i musiałem stać się mężczyzną przez obietnicę złożoną bratu. Miniony sierpień dał mi tę bliskość. Kiedy prowadziłem Adama na nieuniknione, czułem to ciepło, miałem ten dotyk, który mnie uspokajał, tę bliskość, którą dostałem wcześniej tylko od matki, a potem mogłem już o niej jedynie myśleć i śnić. Myłem go i karmiłem jak syna, którego nigdy nie miałem. Pilnowałem, by nic mu się nie stało, chroniłem, prowadziłem pod rękę. Nauczyłem go chodzić i posługiwać się sztucami. Gdy nadszedł czas, uderzyłem go młotkiem w głowę. Do kieszeni i za kłapy marynarki włożyłem mu kamienie, a potem zepchnąłem do wody jego nieprzytomne ciało i podprowadziłem kawałek od brzegu, zanim powierzyłem je w całości wodzie. Stojąc po pas w jeziorze, patrzyłem, jak bąbelki pojawiają się i znikają na powierzchni. Tak przedłużyłem życie mojego brata, tak spełniłem jego ostatnią prośbę, nadałem sens jego cierpieniu. Ale teraz, prawdę mówiąc, nie miałem już pojęcia, co to w ogóle znaczy. Zaglądałem w głąb siebie i widziałem tylko podłogę i ściany celi. Mnie nie było. Byłem przezroczysty. Byłem, kiedy on żył, kiedy go porwałem i zamknąłem w celi, kiedy dla niego gotowałem i dawałem mu książki. Byłem z nim w jego ostatniej podróży, a teraz jego już nie ma, a wraz z nim zniknąłem i ja. Byłem niewolnikiem, który zdołał uciec, ale odszukano go i siłą przytargano znowu do domu pana. Byłem narzędziem, któremu przez chwilę wydawało się, że jest człowiekiem. Dotyk. Spojrzenie. Słowa. Adam. Ewa. Składałem z nich jedną osobę, układałem z ich

fragmentów Golema, mojego przyjaciela, kochankę, dziecko, matkę i brata. Adama mogłem dotknąć, a z Ewą rozmawiać. Zostały więc tylko oczy. Kto użyczyłby mi oczu? Stróż Tomasz? Kierowca Michał, który uznaje tylko swojego psa i swoją ciężarówkę? A może stara baba, nad którą krążą ptaki, gdy kołysząc się na boki, idzie przez pola? Ilu ludzi musiałbym porąbać i zszyć ze sobą ich fragmenty, by stworzyć monstrum zdolne spełnić żądania moich wybrednych tęsknot?

Kiedy wróciłem do Wrocławia, zamieszkałem w celi Adama. Grałem ze sobą w szachy, wyobrażając sobie, że gram z nim, a czasem z Ewą, czasem ze stróżem Tomaszem, Panem Dziadkiem, małą Sandrą, jej siostrą, jej pijaną matką, Leną, kierowcą Michałem, z babą w białej chuście. Każdy z nich reprezentował inny styl gry. Dziewczynki musiałem uczyć wszystkiego od początku, objaśniać im zasady, rozgrywać próbne partie wraz z szerokim omówieniem, a w końcu przeprowadzić kilka meczy, dając im wygrać na zachętę. Najgroźniejszym przeciwnikiem był Adam, jednocześnie spokojny w swoim wyciszonym skupieniu i bezlitosny w atakach. Z nim partie trwały najdłużej, kończąc się często moim zaśnięciem, zanim któryś z nas wykonał kolejny ruch. Kiedy przegrywałem, bolała mnie rana w prawej dłoni. Dziadek grał dwojako, w zależności od tego, czy był zagubiony w swojej demencyjnej mgłę, czy nie. Woźny Tomasz i kierowca Michał grali kiepsko, od niechcenia. Jeden myślał wciąż o swojej zmarłej matce, drugi o tym, jak gardzi wszystkim, co nie jest dobrym psem Banjo albo ciężarówką. Stara baba natomiast nie grała w ogóle. Patrzyła na mnie, a na jej ramieniu siedziały trzy jaskółki, których szachownica również w ogóle nie interesowała. Kiedy nudziły mi się szachy, łowiłem ryby w niecce prysznic. Po kilku dniach nauczyłem się już łapać je za pierwszym zarzuceniem. Podniosłem więc poprzeczkę, gasząc światło. W dniu kiedy opuszczałem celę, nadal nie umiałem złapać w ten sposób nawet jednej rybki, choć nieraz machałem wędką w ciemnościach przez cały dzień. Najwięcej uwagi wśród piwnicznych rozrywek poświęcałem dziennikom Adama. Siadałem na łóżku z zapisanym tłuszczem McEwanem czy Salingerem i pytałem:

– A może teraz mi coś opowiesz?

I w końcu mówił. Mówił, mówił i mówił, a ja z każdą stroną coraz lepiej go poznawałem i coraz bardziej go kochałem. Spędziliśmy wspólnie trzydzieści pięć lat i ten jeden ostatni sierpień, wspólną podróż i przygodę, jak wtedy, gdy mieliśmy po szesnaście lat. A teraz jego już nie ma i mnie też nie ma, to znaczy jestem, łowią ryby w prysznicowej niecce, na wpół szalony gram w szachy sam ze sobą dwa metry pod ziemią, podczas gdy na powierzchni nieubłaganie wciąż wschodzi i zachodzi słońce. Nie umarłem, nie zabiłem się, nie aresztowała mnie policja. Okazało się, że zostało mi jeszcze trochę życia, a ja zupełnie nie miałem pomysłu na to, jak je przeżyć. Więc nie wychodziłem. Po dwóch tygodniach doszedłem do wniosku, że denerwuje mnie zegarek. Roszczeniowość i nachalność, z jakimi przypominał mi o mijającym czasie, stawały się przykre, a w końcu zupełnie nieznośne. Zrozumiałem ojca Krzysia, który zamknął swój zegar w drewnianej trumnie na strychu. Jego także irytował czas. Zupełnie bez żalu rozbiłem zegarek obcasem i wyrzuciłem do kibla. Od tamtej chwili żadna moja czynność nie była więcej ograniczona irytującym tykaniem wskazówek. Byłem wolny. Łowiłem ryby, słuchałem opowieści Adama o jego podziemnym i naziemnym życiu, grałem w szachy, jadłem i spałem. Raz na jakiś czas szedłem do sklepu nocnego kupić sucharki, ale robiłem to coraz rzadziej. Znalazłem w piwnicy duży plecak turystyczny i w sklepie wypełniałem go sucharami po brzegi, uparcie ignorując pytający wzrok ekspedientki. W końcu zebrałem ich tyle, że mogłem wytapetować pudełkami krótszą ścianę celi, co zresztą zrobiłem, i nie musiałem już więcej wychodzić. Szachy. Wędkowanie. Dzienniki. Suchary. Szachy. Sen. Szachy. Dzienniki. Suchary. Wędkowanie. Sen. Chociaż w celi panował chłód, moje ciało paliło się od środka, czułem ciepło na czole i policzkach, a moja skóra zalewała się potem. Zrezygnowałem z ubrań i chodziłem nago od ściany do ściany, czytając na głos dzienniki Adama, raz śmiejąc się, raz wstrzymując oddech, a to klnąc, a to płacząc i wycierając w rękę łzy

i smarki. Dobry był z niego pisarz. Rybak i pisarz, jak Hemingway. Czytałem, śmiałem się, płakałem i chudłem. Najpierw schudłem nieco podczas podróży, a teraz już doszczętnie, aż do kości. Starczy, sterczący brzuszek i oblane boki spłonęły pod wpływem gorączki i sucharowej diety. W ich miejsce pojawiły się twarde, stare mięśnie i wystające żyły. Pierwszy raz od nie wiem kiedy wyczułem opuszkami palców kręgi w lędźwiach i chyba pierwszy raz w życiu zobaczyłem swoje kości biodrowe. Naprawdę znikalem. Zniknął Adam, więc znikalem i ja. Nie czułem w sobie smutku ani gniewu, nie czułem w ogóle nic. Nie rozumiałem więc, dlaczego i z jakiego logicznego powodu moje myśli i moje oczy coraz częściej kierowały się w stronę pozostawionego przez Adama na kracie prześcieradła albo w stronę poduszki, pod którą leżała ostra blaszka po konserwie, albo w stronę leżącego na stole walthera. Krążąc w malignie po mojej celi, z książką i sucharkiem w ręce, coraz częściej przystawałem przy tych miejscach: przy stole, przy kracie, przy łóżku i pozwalałem swojej uwadze przeskakiwać dowolnie z liter na zabójcze przedmioty i z powrotem. Nie rozpraszałem swojej uwagi myślami, dawałem jej wolność, a ona, ożywiona tym nagłym wyzwoleniem, coraz mniej interesowała się tym, co ze stron książek mówił do niej Adam. Jak człowiek w takim stanie ducha ma znaleźć słowa i muzykę, które wskreszą umarłych? Wydawało mi się, że to nie jest moje zdanie, że ktoś, nie ja, powiedział je już kiedyś, nie wiadomo kiedy, do kogo i w jakim kontekście. Stojąc nad stołem, powtórzyłem je jeszcze raz, tym razem swoimi słowami, ale milcząco, w głowie, i nie wiem dlaczego, wydały mi się nagle tak bliskie i drogie, że do oczu napłynęły mi łzy. Może kiedyś wypowiedział je ktoś, kogo kochałem? Może ojciec. A może Jerzy. Albo mama. Nie pamiętałem. Podniosłem ze stołu walthera i obejrzałem go dokładnie. Miał takie same kurki po obu stronach spustu. Nawet znając broń palną wyłącznie z filmów, wiedziałem, że pistolety posiadają bezpiecznik i że znajduje się on właśnie w tym miejscu, nieco nad kabłąkiem. Odciągnąłem jeden z nich i przystawiłem sobie pistolet do czoła. Czy dobry wujek Walther potrafi to samo, co dobry pies Banjo? Czy potrafi wyczuć dobrego człowieka i oszczędzić go? Pociągnąłem powoli za spust. Ciągnąłem bardzo, bardzo wolno. Byłem niezmiernie spokojny. Niesamowicie spokojny. Spokojny jak nigdy. Palec powoli przyciągał spust do rękojeści, mechanizm napinał się coraz mocniej. Dociągnąłem go prawie do końca i przytrzymałem. Za drobnym drgnięciem opuszka czekał koniec wszystkiego. Czy to było to, czego chciałem? To była klamka. Mogłem wyjść w każdej chwili. Opuściłem broń. Podrapałem się po czole, w miejscu, którego dotykała lufa, po czym uniosłem pistolet, wycelowałem w ścianę i pociągnąłem jeszcze raz, z tym że teraz nie odpuściłem, a dociągnąłem język spustu do końca kabłąka. Z lufy wyskoczyły ogień i huk. Pocisk, wibrując jak luźna struna, odbijał się od wzmocnionych ścian, aż w końcu upadł gdzieś, wyczerpany i bezsilny. Pierwszy raz w swoim sześćdziesięcioletnim życiu wystrzeliłem z broni. Poczulem w nadgarstku i łokciu siłę, z jaką maszyna wyrzuca pocisk. Oddałem jeszcze jeden strzał, tym razem w blat stołu. Kula z łatwością przebiła się przez grube, sążniste drewno, odbiła od ściany i upadła w kącie. Poczucie się częścią tej siły było przyjemne. Nie potrzebowałem żadnej instrukcji, wszystko zrobiłem intuicyjnie i wszystko okazało się proste. Potem udało mi się jeszcze wyjąć magazynek i przeliczyć naboje. Zostało ich czternaście. Odłożyłem broń na stół i powróciłem do łowienia blaszanych rybek, ale od tamtej chwili walther niepowstrzymanie rozrastał się w mojej świadomości. Rósł, puchł i lśnił, przywołując swym blaskiem moje spojrzenie, aż w końcu nie mogłem już myśleć o niczym innym. Kilka dni później ubrałem spodnie i koszulę, które wisały na mnie jak wcześniej na wychudzonym Adamie, wziąłem walthera do ręki i wyszedłem z piwnicy. Gdzieś w domu otworzyło się okno i do środka wpadał chłód. Moja gorączka spadła i teraz czułem go wyraźnie. Miałem dreszcze. Wciągnąłem na siebie sweter i podszedłem do otwartego okna. Wiatr przesuwiał po pustej ulicy brązowe i żółte liście. Niebo było mocno granatowe. Zbierało się na deszcz. Wszedłem po schodach do swojego pokoju i włączyłem komputer. Kalendarz w prawym dolnym rogu pulpitu pokazywał dziewiąty

listopada. Ile to dni? Ostatnią datą, jaką zapamiętałem, była ta z tabliczki przystankowej pod dworcem, kiedy wróciłem z Kinkajmów do Wrocławia. To był dwudziesty czwarty sierpnia. Liczyłem. Wyszło siedemdziesiąt osiem dni spędzonych pod ziemią. Noga odpoczęła, zregenerowała się i przestała boleć, przynajmniej na razie. Spojrzałem na prawą rękę. Bandaż był brudny i suchy. Usunąłem go. Żadnej ropy, żadnej limfy, tylko nierówne, gruzłowate blizny po jednej i drugiej stronie. Palce lewej dłoni także zdołały się zasklepić. Ręka pocila się, ściskając mocno rękęjęć walthera. Walther. Rzecz, maszyna, martwy przedmiot, a jednak wcale nie. Pistolety i zegary nie są martwe. Święty Augustyn zakazał nadawania ludzkich imion zwierzętom, ponieważ te, jak twierdził, nie posiadają duszy. A czy „klamka” o ludzkim imieniu może posiadać duszę? W końcu kto kazał mi się przestać bać i wyjść z nory? Ja sam czy jednak on? Mnie tam było całkiem dobrze pod ziemią. Ja i wcale-nie-taki-martwy przedmiot, walther, potrzebowaliśmy spędzić ze sobą trzy miesiące w jednym pomieszczeniu, żeby się wreszcie usłyszeć i zrozumieć nawzajem. Z początku on pewnie także myślał, że ja jestem martwy. Dopiero później zorientował się, że żyję, a widząc moje udręki, musiało mu się zrobić mnie żal. Powiedział: „Chodź, strzel sobie raz czy dwa, zobacz, jakie to proste, i przestań się już tak zamęczać, bo to marnotrawstwo, tak się smucić, kiedy świat ma tyle do zaoferowania”. I faktycznie, to było proste. Tego tak naprawdę chciałem, o tym zacząłem myśleć już wcześniej, gdy bałem się aresztowania w drodze do Kinkajmów. Potrzebowałem narzędzia, którym będę mógł natychmiast pozbawić się życia, kiedy usłyszę „Stać” albo „Czy pan Jan Brzozowski?”, albo „Jest pan aresztowany”. Myśl, że mogę się w każdej chwili zastrzelić, wywołała paradoksalny efekt: zachciało mi się jeszcze trochę pożyć. Nie w piwnicy, głodząc się i chorując, a po staremu, z moim jazzem, ogródkiem, książkami, rowerem i spacerami. I może nawet z czymś lub kimś jeszcze? Adama już nie było, ale ja jednak byłem, byłem jak najbardziej. Wcale zniknąłem. Wiedziałem już, jak zagospodaruję ten otrzymany od losu fragment między trudem, jakim było moje życie, a niewiadomą, którą przyniesie śmierć. Zacząłem od przeniesienia do siebie na górę dzienników Adama i zamurowania celi. Jednej nocy odwiedziłem dom Laury i usunąłem z niego wszystkie ślady naszej obecności. Niedługo potem wprowadziła się tam kobieta z córką. Nazwałem ją Drugą Laurą, ale bardzo krótko nosiła to imię. Zaprosiłem ją na sąsiedzką kawę. Jej prawdziwe imię brzmiało Monika. Jej córeczka nazywała się Iza i była słodkim, rezolutnym pączkiem o wielkim apetycie na bezy i niezmiernie mądrym spojrzeniu. Monika była weterynarzem. Zamierzała wziąć pieska ze schroniska. Pomogłem im wybrać małego karmelowego bernardyna bez oka. Wybraliśmy mu imię: Karo. Pomogłem Monice oczyścić z chwastów to, co zostało z ogródka Laury. W przeciwieństwie do niej Monika zupełnie nie miała ręki do roślin, ale bardzo chciała mieć chociaż kawałek ogrodu. Posadziłem na jej ziemi kilka warzyw i trochę kwiatów. Pokazałem jej, jak o nie dbać. Pracowałem też dużo w swoim ogrodzie, przygotowując go na przyjscie zimy. Wysprzątałem dom, przywracając mu ciepło i przytulność. Nadal nie odwiedzały mnie jaskółki, za to przed moją wycieraczką coraz częściej znajdowałem niedopałki nieoznakowanych papierosów. Pomyślałem, że może to dzieciaki z pobliskiej szkoły przychodzą tu palić na przerwach. Wieczorami puszczałem jazz i z kubkiem herbaty siadałem w fotelu z dziennikami Adama.

– Może mi coś opowiesz? – pytałem znowu, a Adam mówił.

Pusty tramwaj wypuszcza mnie na Spółdzielczej. Myślę o konkubencie Alicji Bartoszewicz i o Jonaszu, który ubłagał Boga, by ten uwolnił go z trzewi wielkiej ryby. Myślę o Adamie. Myślę o tym, że wyzwoliłem go tylko po to, by zabić go młotkiem, i nie wiem czy *zbudził się z prochu ziemi do wiecznego życia*, czy raczej *ku wiecznej odrazie*. Nie wiem takich rzeczy. Myślę o trefnej

strzelbie, Hemingwayu i ironii losu. O tych sprawach wiem już trochę więcej. Kiedy mówiła mi o nich Ewa, jeszcze nie wiedziałem. Ale teraz wiem. Idę spacerem do domu, nie zdejmując ręki z Walthera, o którym piszę teraz z wielkiej litery, bo to przecież jego imię, a imiona piszemy z wielkiej litery. Mijam dzieciaki niosące naręcza sztucznych ogni. Kończy się rok dwa tysiące dwudziesty. Wchodzę do domu, karmię Dantego, robię herbatę i siadam w fotelu. Wkładam okulary i biorę do ręki zapisane ręką Adama *Życie na Missisipi*. Kiedy przysypiam, słyszę ciche stukanie o blachę parapetu. Otwieram oczy. Zza szyby przygląda mi się jaskółka. „Mamy dziś dzień niespodziewanych wizyt”, przypominają mi się słowa Jadwigi. Powoli odkładam książkę i podchodzę do okna. Ptak się nie boi. Nie odlatuje. Patrzy. Na dworze jest już ciemno i przed chwilą zapaliły się latarnie. Do jaskółki dołącza druga, a potem trzecia. Patrzą na mnie wszystkie w swoim jaskółczym skupieniu. Przystawiam nos do okna i wciskając oczy w dłonie złożone w lornetkę, spoglądam na ulicę. Baba w białej chuście brnie przez śnieg i pali papierosa. Ma na nogach trekkingowe buty, które jej dałem. Kiedy kończy palić, rzuca niedopałek na moją wycieraczkę i macha do mnie ręką. Przywołuje mnie. Muszę iść. Rusza wzdłuż ulicy, a jaskółki sfruwają z okna i krążą nad jej głową. Wracam na fotel i otwieram książkę. W szybie miga niebieskie światło. Słyszę krótki rechot syreny policyjnej. Urywane „tli” i koniec. Długo im to zajęło. W sierpniu zabiłem trzy osoby. Od pięćdziesięciu trzech dni chodzę sobie po Wrocławiu, uzbrojony i całkowicie wolny, robię zakupy, odwiedzam księgarnie, z maseczką na twarzy i w odpowiedniej odległości stoję w kolejkach po kawę na wynos. Gdyby Pan Dziadek żył, mógłby ich nauczyć, jak się prowadzi śledztwa. No ale jego już nie ma, a oni w końcu są. W domu po drugiej stronie ogrodzenia Monika bawi się z Izą. Widzę przez okno, jak układają na stole wieżę z klocków. Rozlega się dzwonek do drzwi. Potem pukanie. Zastawiam się, że czy ogród przetrzyma zimę. Glebę wokół roślin przykryłem korą, żeby nie zamarzła. Wszystko, co wystaje z ziemi, zakryłem dokładnie siatką cieniującą. Drzewka otuliłem włókniną. Nie zapowiadają silnych mrozów. Będzie dobrze. Znów pukanie. Nie ruszam się. A po zimie? Co będzie po zimie? Dzwonek staje się coraz bardziej natarczywy. Pukanie się nasila. Jest coraz głośniejsze. Przechodzi w łomot. Dzwonek wrzeszczy jak opętany. Wyjmuję ze spodni Walthera, odbezpieczam go i kładę na udzie. W gramofonie Miles kończy właśnie grać *Blue in green*. Czy to jest właśnie ta muzyka, która wskrzesi umarłych?

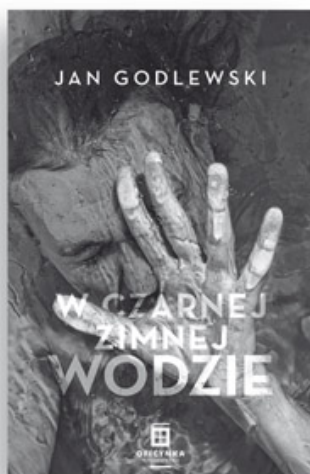
Koniec. Płyta obraca się w ciszy.

Wrocław, lipiec 2020 – luty 2021

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delectować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

tel. 510 043 387



SPIS TREŚCI:

Okładka

Strona tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12